

Holowi Smithowi

WILLIAM
FAULKNER

KIEDY
UMIERAM

Tytuł oryginału: AS I LAY DYING
Copyright © for the Polish translation by Ewa Życieńska
Wydanie drugie w języku polskim
Redakcja: Adam Biały
Opracowanie graficzne:
Joanna i Wojciech Kołyszko
ISBN 83-85156-50-X
Wydawnictwo ATEXT Spółka z o.o.
80-557 Gdańsk, ul. Załogowa 6, tel.: 43-00-01. fax.: 43-10-53
Skład: Maria Chojnicka
Druk: ATEXT

DARL

Klejnot i ja wracamy z pola, idziemy ścieżką jeden za drugim. Ja piętnaście stóp przed nim, ale jakby ktoś na nas patrzył z szopy na bawełnę, toby widział wystrzępiony i wygnieciony kapelusz Klejnota o całą głowę nade mną.

Do gładkości wydeptana ludzkimi nogami i lipcem na twardą cegłę wypalona ścieżka leci prosto jak pion między zielonymi rzędami pokładzonej kukurydzy do szopy pośrodku pola, czterema ściętymi zakrętami wymija szopę i leci dalej przez pole, wydeptana ludzkimi nogami tak, że już ich nie znać.

Szopa na bawełnę jest z surowych bali i ze szpar między nimi dawno już się wszystko wykruszyło. Jest kwadratowa, z zapadłym jednospadowym dachem, pusta i zrujnowana, i pochylona w rozedrganym żarze słońca, szerokie okna po jednym w ścianach naprzeciwko wychodzą na przestrzał na ścieżkę. Dochodzimy, ja zakręcam i idę ścieżką naokoło. Klejnot, piętnaście stóp za mną, nawet nie patrzy na boki, daje jeden krok i wchodzi przez okno. Wciąż patrzy prosto przed siebie, te blade oczy ma jak z drewna w drewnianej twarzy, robi cztery kroki przez klepisko ciężko i sztywno jak Indianin z trafiki w połatanym kombinezonie ożywiony od pasa w dół, jednym krokiem wychodzi przez okno naprzeciwko z powrotem na ścieżkę, a ja wychodzę zza rogu. Jeden za drugim o pięć stóp, teraz Klejnot na przedzie, idziemy ścieżką pod ścianę urwiska.

-5-

Wóz Tulla stoi przy źródle uwiązany do poprzeczki w płocie, z lejcami okręconymi o kołek przy siedzeniu. Na wozie dwa krzesła. Klejnot staje przy źródle, bierze czerpak z gałęzi wierzby i pije. Mijam go i wchodzę na stromiznę, i już słyszę piłę Casha.

Kiedy jestem na górze, Cash już nie piłuje. Stoi w kupie wiórów i pasuje jedną deskę do drugiej. Między smugami cienia są żółte jak złoto, jak miękkie złoto, na płaszczyznach mają faliste ślady ostrza topora - dobry cieśla z tego Casha. Przytrzymuje obie deski na koźle przypasowane brzegami do zbitej już w jednej czwartej trumny. Przyklęka, mruży oczy i sprawdza, czy równo leci spojenie, potem opuszcza deski i bierze topór. Dobry cieśla. Addie Bundren nie mogłaby sobie życzyć lepszego cieśli ani też lepszej trumny. W tej będzie leżała pewnie i wygodnie. Mijam go i idę do domu, a za mną czak czak czak topora.

-6-

CÓRA

Więc odłożyłam te jajka i wczoraj piekłam. Placki wyszły udane. Już to pewne, że do tych kur nie dokładamy.

Niosą się dobrze, ile ich się tam uchowało przed oposami i różnymi takimi. I węzami w lecie. Wąż tak samo potrafi się zakraść do kurnika albo i lepiej, więc jak się okazało, że mają o tyle więcej kosztować, niż Tuli myślał, i jak powiedziałam, że różnica w ilości jajek to wyrówna, to musiałam się starać jak nigdy, bo moje słowo przeważało, żeśmy je wzięli. Mogliśmy trzymać tańsze kury, ale się zobowiązałam, jak mi powiedziała panna Lawington, kiedy mi radziła brać dobrą rasę, bo sam Tuli się godzi, że na dalszą metę dobra rasa czy to krów, czy wieprzy popłaca. Więc kiedy nam tyle ich przepadło, nie stać nas było na to, żeby samym zjadać jajka, bo nie dopuszczę, żeby się Tuli ze mnie prześmiewał, kiedyśmy je wzięli na moje słowo. Więc kiedy panna Lawington mi powiedziała o tych plackach, pomyślałam sobie, że mogę je upiec i za jednym razem zarobić tyle, żeby się wartość netto całego stadka powiększyła o dwie głowy. I że jak co dzień po jednym jajku odłożę, to i jajka nic mnie nie będą kosztowały. I w tym tygodniu tak się dobrze niosły, że nie tylko uzbierałam o tyle więcej, niż było zamówione do sprzedania, że mogłam upiec te placki, ale jeszcze sporo odłożyłam, tak że nic mnie nie kosztowały ani mąka, ani cukier, ani drwa do pieca. Więc wczoraj piekłam i starałam się jak nigdy w życiu,

-7-

i placki wyszły udane. Dziś rano zajeżdżamy do miasta i panna Lawington mi mówi, że ta pani się rozmyśliła i na koniec nie urządza przyjęcia.

- Powinna te placki wziąć tak czy owak - powiada Kate.

- Ba - mówię. - Widzi mi się, że teraz one jej na nic.

- Powinna wziąć te placki - powiada Kate. - Ale bogaczki z miasta to mogą się rozmyślać. Biedni ludzie nie mogą.

Bogactwa są niczym w oczach Pana, Pan patrzy w ludzkie serca.

- Może je sprzedam na bazarze w sobotę - mówię. Wyszły naprawdę udane.

- Nie dostaniesz dwa dolary za placek - powiada Kate.

- No, przecież one mnie nic nie kosztowały - mówię. Odłożyłam te jajka i z tuzin wymieniłam na mąkę i cukier.

Nie o to idzie, żeby te placki mnie coś kosztowały, sam Tull rozumie, że jajka, co je odłożyłam, były dodatkowe, nie z tych, cośmy mieli sprzedać, więc to tak, jakbyśmy je znaleźli czy dostali.

- Powinna wziąć te placki, bo tak, jakby ci dała słowo - powiada Kate.

Pan widzi ludzkie serca. Jeśli Pan dopuszcza, że niektórzy mają inne pojęcie o uczciwości niż my, nie moja rzecz się wtrącać w wyroki boskie.

- Widzi mi się, że wcale jej nie były potrzebne - mówię. Ale wyszły udane jak się patrzy, szkoda gadać.

Kołodrę ma podciągniętą pod brodę, choć gorąco, tylko ręce i twarz na wierzchu. Pod głowę jej podłożyli poduszkę, żeby mogła wyglądać przez okno, a jego słycać, ile razy bierze za topór czy piłę. Choćbyśmy byli głusi, starczyłoby nam popatrzeć na jej twarz, i już byśmy go słyszeli i widzieli. Na twarzy tak zmarniała, że kości jej sterczą pod skórą białymi krechami. Oczy jak dwie świece, patrzysz, a one jakby się dopalały i wpełgały w głąb żelaznych lichtarzy. Ale nie dla niej wiekuiste zbawienie i niewyczerpana łaska boska.

-8-

- Wyszły udane, nie ma co - mówię. - Ale gdzie im do tych, jakie Addie piekła.

Po poszewce poduszki widać, jak ta dziewczucha pierze i prasuje, jeżeli w ogóle ta poszewka była prasowana. Może pojmie swoje zaślepienie, kiedy tak leży na łasce czterech chłopów i nieokrzesej dziewczuchy.

- Żadna tutaj nie dorówna plackami Addie Bundren - mówię. - Ani się obejrzymy, jak wstanie i na nowo się weźmie do pieczenia, i nie znajdzie się kupca na wasze.

Pod kołodrą znać ją tyle, co kołek, a że oddycha, poznać można tylko po szeleście plew w sienniku. Nie drgną jej nawet włosy u skroni, choć ta dziewczucha stoi tuż nad nią i wachluje ją wachlarzem. Patrzymy, a ona nie przestając wachlować przekłada wachlarz z ręki do ręki.

- Śpi? - pyta szeptem Kate.

- Toć uważa na Casha za oknem - powiada dziewczyna.

Słycać, jak piła jeździ po desce. Jakby chrapała. Eula odwraca się na pieńku i wygląda przez okno. Ładnie jej w tych koralach do czerwonego kapelusza. Nikt by nie powiedział, że dała za nie ćwierć dolara.

- Powinna była wziąć te placki - powiada Kate. Pieniądze to by mi się przydały. Ale placki kosztowały mnie tylko tyle, co robota. Mogę mu powiedzieć, że każdemu się zdarzy zrobić coś na darmo, ale nie każdy potrafi

wyjść z tego bez straty, niech wie. Niech wie, nie każdy potrafi wyjść na swoje, kiedy się przeliczy. Ktoś wchodzi do sieni. To Darl. Mija drzwi i nie patrzy do środka. Eula spogląda na niego, kiedy przechodzi i znika w głębi domu. Ręka się jej podnosi, dotyka lekko koraliki, a potem włosów. Kiedy widzi, że ja patrzę, z oczu jej wszystko znika.

-9-

DARL

Tata i Vernon siedzą na kuchennym ganku. Tata kciukiem i wskazującym palcem odciąga dolną wargę, przechyla wieczko tabakierki i wysypuje sobie tabaki. Odwracają za mną głowy, kiedy przechodzę przez ganek, zanurzam tykwę w wiadrze z wodą i piję.

- Gdzie Klejnot? - pyta tata.

Pierwszy raz się przekonałem, że woda dużo lepiej smakuje, jak postoi trochę w cedrowym wiadrze, kiedy byłem mały. Jest ciepło-chłodna, smakuje trochę jak zapach gorącego czerwcowego wiatru w cedrach. Trzeba, żeby się najmniej przez sześć godzin ustała, i trzeba ją pić z tykwy. Wody nie powinno się pić z metalu. A w nocy jest jeszcze lepsza. Leżałem zwykle na sienniku w sieni, nasłuchiwałem, czy już wszyscy śpią, i wtedy wstawałem i szedłem do wiadra. Było czarne, półka była czarna, spokojna powierzchnia wody jak okrągła dziura w pustce, a w niej, zanim ją poruszyłem czerpakiem, w wiadrze widać było gwiazdę albo dwie, i w czerpaku jeszcze, zanim wypilem, może jedną czy dwie gwiazdy. Potem podrosłem, nie byłem już taki mały. Czekałem, aż wszyscy usną, leżałem z podciągniętą koszulą, słuchałem, jak śpią i czułem sam siebie bez dotykania, czułem, jak chłodna cisza wieje mi między nogi, i zastanawiałem się, czy i Cash tam po ciemku też robi to samo, może już od

-10-

dwóch lat, zanim mnie to przyszło czy w ogóle mogło przyjść do głowy.

Tata ma strasznie rozpląszczone stopy, palce mu się pokurczyły, przygięły i łuszczą się, na najmniejszych wcale nie ma paznokci od ciężkiej pracy jeszcze za dziecka na mokrym w swojej roboty butach. Obok krzesła stoją jego buty. Wyglądają, jakby je kto wyciosał tępym toporem z surowego żelaza. Vernon jeździł do miasta. Jeszcze nie widziałem, żeby jechał do miasta w kombinezonie. To przez żonę, powiadają. Ona i w szkole kiedyś uczyła.

Wytrząsam ostatnie krople wody z czerpaka na ziemię i ocieram usta rękawem. Do rana będzie padało. Może do zmroku.

- Przy stodole - mówię. - Zaprzęga.

Cacka się tam z tym swoim koniem. Przechodzi przez stodołę na łąkę. Konia nie widać, jest na zboczu, w sosnowym zagajniku, w chłodzie. Klejnot gwizdże raz, ostro. Koń parska, Klejnot już go widzi, przez moment miga mu pstro w niebieskich cieniach. Klejnot gwizdże jeszcze raz, koń na sztywnych nogach zbiega w dół, strzyże uszami, stawia je do góry, toczy tymi swoimi oczami nie do pary i zatrzymuje się dwadzieścia stóp od niego, staje bokiem i z ukosa, po koniemu, ostrożnie zerka na Klejnota.

- Bliżej, stary - powiada Klejnot.

Rusza się. Ten ruch mu przelatuje po sierści, mięśnie grają, zwijają się po nim jęczyczki jak płomienie. Koń potrząsa grzywą i ogonem, toczy okiem, znowu boczkiem rzuca się do przodu i znowu staje, podgina kopyta i patrzy na Klejnota. Klejnot rusza prosto na niego, z rękami przy sobie. Gdyby nie nogi Klejnota w ruchu, byłiby jak dwie płaskie figurki w tym słońcu.

Kiedy Klejnot już, już go dotyka, koń wspina się na tylne nogi i tnie przednimi w Klejnota. Już Klejnota wcale nie widać w tym migocie łyskających kopyt jakby w skrzydłach; w tym migocie pod uniesioną piersią konia Klejnot rusza się gibko, błyskawicznie jak wąż. Zanim się zauważy najmniejszy ruch jego rąk, przez chwilę widać, jak cały odrywa się od ziemi i poziomo

-11-

trzepoce się w powietrzu giętki jak wąż, aż dosięga nozdrzy konia i znów dotyka ziemi. I zastygają nieruchomi, straszni, koń wypięty do tyłu na zeszywniałych, drżących nogach, z przygiętym łbem, Klejnot

zaryty obcasami w ziemi jedną ręką zatyka koniowi dech, a drugą przedziutko, drobniutko i czule klepie go po szyi i klnie go plugawie i z żarem.

Stoją straszni, sztywni, zamarli, koń drży i stęka. I już Klejnot siedzi mu na grzbiecie. Leci w górę i opada jak pętla bicza, już w powietrzu okracza konia. Jeszcze chwilę koń stoi rozparty, z pochyloną głową, a potem wystrzela. Lecą w dół karkołomnymi susami. Klejnot wysoko przypięty do kłębow konia jak pijawka, aż przy płocie koń się znów zatrzymuje i czeka.

- No - powiada Klejnot. - Mógłbyś już dać spokój, jakeś dostał swoje.

W stodole Klejnot w locie ześlizguje się na ziemię, zanim koń stanie. Koń wchodzi do boks, Klejnot za nim.

Koń na ślepo wierzga w niego, wali jednym kopytem w ścianę, jakby kto strzelił z pistoletu. Klejnot kopie go w brzuch, koń wygina szyję do tyłu i szczyrzy zęby, Klejnot wali go pięścią w pysk, przemyka się do żłobu i wchodzi na żłób. Czepia się drabinki na siano, schyla głowę i patrzy nad boksami w stronę wrót. Na ścieżce pusto, stąd nie słychać wcale piły Casha. Sięga do góry, ściąga prędko naręcz siana i wpycha za drabinkę.

- Żryj - powiada. - Zmiataj, żeby nikt nie widział, kiedy ci się trafia, ty beko szczyrn. Ty piesszozszku, skurwielu.

-12-

KLEJNOT

To dlatego on tam sterczy pod samym oknem i stuka, i piłuje przy tym diabelnym pudle. Żeby go na pewno widziała. Żeby za każdym oddechem musiała wdychać to stukanie i piłowanie, żeby słyszała, jak on powiada, patrz, patrz, jaką dobrą ci ją robię. Mówiłem mu, żeby się wyniósł gdzie indziej. Mówiłem, Boże Świety, ty chyba chcesz ją widzieć już w trumnie. Jak wtedy, kiedy był mały, a ona powiedziała, że jakby miała trochę nawozu, toby próbowała zasadzić parę kwiatów. Wziął wtedy blachę od chleba i przyniósł w niej ze stajni pełno łajna.

A ci tam siedzą jak sępy. Czekaają, wachlują się. A mówiłem, mógłbyś chociaż skończyć z tym piłowaniem i stukaniem, aż spać nie można i jej ręce leżą na kołdrze, jak wykopane korzenie, co się nie dają wymyć, choćbyś chciał. Widzę stąd tylko wachlarz i rękę Dewey Dell. Mówiłem, dajcie jej chociaż spokój. Piłują i stukają, i bez żadnego zatrzymania czy ustanku dmuchają jej to powietrze w twarz za prędko, żeby ktoś zmęczony mógł nim oddychać, i ten diabelny topór wciąż swoje Jeszcze wiór, Jeszcze wiór, Jeszcze wiór, żeby każdy, kto przechodzi drogą, musiał stanąć, popatrzeć i powiedzieć, jaki dobry z niego cieśla. Gdyby to ode mnie zależało, czy to wtedy, kiedy Cash spadł z kościoła, czy wtedy, kiedy tatę zmoгло, jak ten wóz drzewa się na niego zwałił, nie byłoby tak, żeby każdy skurwysyn z okolicy mógł przychodzić się na nią gapić, bo po czorta

-13-

jest Bóg, jeżeli jest. Bylibyśmy tylko ja i ona na wysokiej górze i zwałabym w dół kamienie prosto im w zęby, łapałbym ich i zrzucił w dół na łeb, na szyję, na pysk, niech mnie szlag, żeby miała spokój, a nie ten czartowski topór ze swoim Jeszcze wiór, Jeszcze wiór, a będzie po wszystkim.

-14-

DARL

Pokazuje się zza rogu i wchodzi po schodkach. Nie patrzy na nas.

- Gotowicie? - pyta.

- No, jakeś zaprzągl - mówię. - Czekaj. - Staje i patrzy na tatę. Vernon spluwa nie wstając. Pluje schludnie, celnie i akurat-nie w dziobaty kurz pod gankiem. Tata pomału pociera rękami o kolana. Patrzy przez pole na skraj urwiska. Klejnot mu się chwilę przygląda, potem idzie do wiadra i znowu pije.

- Nie lubię niezdecydowanych jak nikt - powiada tata.

- To dla nas trzy dolary - mówię. Koszula wyblakła tacie na karku bardziej niż gdzie indziej. Nie ma śladu potu na koszuli. Jak żyję, nie widziałem na niej śladu potu. Kiedyś, kiedy miał dwadzieścia dwa lata, pochorował się od pracy w słońcu

i wszystkim opowiada, że umarłby, jakby się spocił. Chyba w to wierzy.

- Jakby nie doczekała waszego powrotu - powiada - nie darowałyby nam.

Vernon pluje w kurz. Ale do rana będzie deszcz.

- Liczy na nas - powiada tata. - Rada by już kończyć. Znam ją. Obiecałem jej, że będę trzymał muły gotowe przy domu, i liczy na to.

- To już koniecznie trzeba nam będzie tych trzech dolarów - mówię. Tata gapi się na pole i trze rękami kolana. Odkąd

-15-

nie ma zębów, usta mu się czasami zapadają, jak przelyka. Ten wygląd starego psa daje mu szczecina na dolnej szczęce. - Lepiej się raz-dwa decyduj, żebyśmy przed zmrokiem zdążyli zajeżdżać i załadować.

- Mama nie jest taka chora - powiada Klejnot. - Zamknij się, Darl.

- Racja - mówi Vernon. - Dziś podobniejsza do siebie niż przez cały zeszły tydzień. Zanim wrócicie z Klejnotem, już będzie siadać.

- Ty dobrze wiesz, a jakże - mówi Klejnot. - Tyle razy przyłazisz i jej się przyglądasz. Ty i twoi.

Vernon spogląda na niego. Oczy Klejnota w jego zaczerwienionej twarzy wyglądają jak jasne drewno. Od wszystkich nas jest o głowę wyższy, jak zawsze był. A mówiłem, że to dlatego mama zawsze go i biła, i hołubiła bardziej niż nas. Bardziej się trzymał domu. To dlatego nazwała go Klejnotem, mówiłem im.

- Zamknij się, Klejnot - powiada tata, ale jakby nie bardzo słuchał. Gapi się przez pole i trze kolana.

- Możesz pożyczyć mułów od Vernona, jakby na nas nie zaczekała - powiadam - my was dogonimy.

- Ach, zamknij się do cholery - mówi Klejnot.

- Chciałaby jechać naszymi, własnymi - mówi tata. Pociera kolana. - Widział to kto coś gorszego.

- To przez to leżenie i patrzenie, jak Cash struga tę cholerną... - mówi Klejnot chrapliwie, dziko, ale samego tego słowa nie wypowiada. Jak mały chłopak po ciemku, dla dodania sobie odwagi, który nagle milknie wystraszony własnym głosem.

- Tego ona chce, tak jak chce jechać naszym własnym wozem - powiada tata. - Łacniej spocznie, jak będzie wiedziała, że ma dobrą i własną. Zawsze była za tym, żeby mieć własne. Dobrze to wiesz.

- Niech sobie ma własną - powiada Klejnot. - Ale skąd, do cholery, się spodziewasz, że będzie... - I patrzy na tył taty głowy, oczy ma jak wycięte z jasnego drewna.

-16-

- Ano - powiada Vernon. - To pewne, że się wstrzyma, aż on skończy. Wstrzyma się, aż wszystko będzie gotowe, aż jej czas się wypełni. A przy dzisiejszych drogach zawieziecie ją do miasta, nim się obejrzysz.

- Na deszcz się ma - mówi tata. - Pechowiec ze mnie. I zawsze tak było. - Pociera rękami o kolana, - Idzie o tego cholernego doktora, lada chwila tu będzie. Dopiero teraz mogłem mu dać znać. A niech tak wypadnie, że przyjdzie jutro i powie, że czas jej bliski, ona nie poczeka. Znam ją. Będzie wóz czy nie będzie wozu, nie strzyma się. I wyjdzie z nerw, a za Boga bym nie chciał wyprowadzić jej z nerw. Ten ich rodzinny grób jest w Jefferson i jej krewniaki tam na nią czekają, będzie jej pilno. Dałem słowo, że razem z chłopakami zawiozę ją tam, co muł wyskoczy, żeby leżała sobie spokojnie. - Pociera dłońmi o kolana. - Już tak mi się to nie widzi, że nie wiem.

- Żeby choć wszystkim nie było tak pilno ją tam wieźć - mówi Klejnot tym chrapliwym dzikim głosem. - I Cash cały dzień pod jej oknem stuka i piłuję tę...

- Taka jej wola - powiada tata. - Nie masz dla niej serca ani wyrozumienia. I nigdy nie miałeś. Nie będziemy o nic nikogo prosić, ja ani ona. Nigdy nie prosiliśmy, i spokojniej będzie jej się leżało z tą myślą. I z myślą, że to krew z jej krwi wycięła te deski i wbiła gwoździe. Ona z takich, co to sami po sobie sprzątają.

- To dla nas trzy dolary - mówię. - To chcesz, żebyśmy jechali czy nie? - Tata trze kolana. - Będziemy nazad jutro o zachodzie.

- Nno... - powiada tata. Patrzy przez pole, rozczochrany, i pomału obraca prymkę po działach.

- To chodź - mówi Klejnot.

Schodzi ze schodków. Vernon schludnie sfluwa w kurz.

- Ale bądźcie o zachodzie - powiada tata. - Lepiej, żeby nie musiała czekać.

Klejnot szybko się ogląda i obchodzi dom dookoła. Ja wchodzę do sieni i jeszcze przed drzwiami słyszę głosy. Nasz dom

-17-

stoi na zboczu trochę pochyło i zawsze przeciąg ciągnie przez sień w górę. Jeśli przy drzwiach od frontu położyć piórko, podniesie się i przesunie po suficie, znoszone na tył domu, aż wejdzie w przeciąg, co ciągnie w dół do drzwi od tyłu. Tak samo jest z głosami. Jak się wejdzie do sieni, to je tak słycać, jakby przemawiały gdzieś wysoko nad głową.

-18-

CÓRA

Piękniejszej rzeczy w życiu nie widziałam. Jakby wiedział, że nigdy jej już nie zobaczy, że Anse Bundren odpędza go od matczynego łoża śmierci i już jej na tym świecie nie będzie oglądał. Zawsze mówiłam, że Darl nie jest taki jak inni. Zawsze mówiłam, że z nich wszystkich on jeden ma naturę matki i jakieś ludzkie uczucia. Nie jak ten Klejnot, co to go w takich mękach urodziła i tak głaskała i pieściła, a on urządził fanaberie albo się zaciął i wymyślał diabelstwa jej na złość, że ja bym go chyba ze sto razy żywcem rozszarpała. Ten nie przyszedł się pożegnać. Ten by nie przepuścił okazji, żeby zarobić dodatkowe trzy dolary za cenę ostatniego pocałunku matki. To Bundren z kośćcami, dla nikogo nie ma serca i troszczy się tylko o to, jak tu najłatwiejszym sposobem co zarobić. Tull powiada, że Darl ich prosił, żeby poczekali. Powiada, że prawie na kolanach ich błagał, żeby nie kazali mu jej zostawiać w takim stanie. Ale nic nie pomoże, kiedy Anse i Klejnot uparli się zarobić trzy dolary. Nikomu, kto zna Anse'a, do głowy by nie przyszło, że może być inaczej, ale żeby i ten, ten jej Klejnot, miał sprzedawać wszystkie te jej lata wyrzeczeń i jawnych wyróżnień... mnie nie zwiódą, i Tuli powiada, że pani Bundren Klejnota lubiła najmniej ze wszystkich, ale mnie nie zwiódą. Wiedziałam, że ma do niego słabość przez to samo w nim, co i w niej było, i co jej pozwoliło znieść Anse'a

-19-

Bundrena, kiedy, jak mówi Tull, struć go powinna. Żeby dla trzech dolarów odmawiać własnej matce ostatniego pocałunku...

No, już trzy tygodnie przychodzę, kiedy mogę, a czasem i wtedy, kiedy nie powinnam, zaniedbuję swoich i obowiązki, żeby tylko kogoś przy sobie miała w tym strasznym czasie i nie musiała spoglądać w Wielką Tajemnicę bez jednej znajomej twarzy przy sobie, co by jej dodała odwagi. Nie, żeby to robiła dla jakiejś zasługi. Sama tego będę wymagała od ludzi. Ale Bogu dzięki, ja będę miała przy sobie swoją krew serdeczną, kość z kości, bo Pan Bóg bardziej mi pobłogosławił w mężu i dzieciach niż wielu innym, choć bywa, że utrapieniem to mi oni są.

A ona, biedna samotnica, zasklepiała się w swojej dumie i starała się, żeby ludzie myśleli, że jest inaczej, ukrywała, że oni ją tylko znoszą, bo przecież jeszcze w trumnie nie ostygła, jak ją czterdzieści mil wozem wlekli, żeby złożyć w ziemi, gwałcąc wolę Bożą, byle tego dokonać. Nie dali jej spocząć w tej samej ziemi co Bundrenowie.

- Ale ona chciała jechać - powiada Tull. - Taka była jej własna wola, chciała spocząć wśród swoich.

- To dlaczego za życia się nie wybrała? - pytam. - Żaden z nich jej nie trzymał, nawet ten mały już na tyle odrósł od ziemi, że stał się egoistą o kamiennym sercu, jak i reszta.

- Taka była jej własna wola - powiada Tuli. - Sam słyszałem, jak Anse mówił.

- A ty zaraz wierzysz temu Anse - mówię. - I to ty. Nie opowiadaj mi.

- Dlaczego mam mu nie wierzyć, jak mówi coś, co by mu nic nie przyniosło, gdyby nie powiedział? - powiada Tull.

- Już ty mi nie opowiadaj - mówię. - Miejsce kobiety jest przy mężu i dzieciach, żywa czy umarła. Spodziewasz się, że jak mój czas przyjdzie, to zechce mi się wracać do Alabamy i zostawię ciebie i dziewczynki, choć przyszedłam tu z własnej woli, żeby być z wami na dobre i na złe, do śmierci i na wieki wieczne?

- No, ludzie są różni - powiada.

-20-

Ja myślę. Staralam się żyć, jak trzeba, przed Bogiem i przed ludźmi, dla chluby i pociechy swojego

chrześcijańskiego męża, -i dla miłości, i poszanowania swoich chrześcijańskich dzieci. Żeby, kiedy spocznę w "świadomości spełnionego obowiązku i zasłużonej nagrody, widzieć koło siebie twarze najbliższych i wziąć w nagrodę ostatni pocałunek każdego z nich. Nie jak Ad-die Bundren, co umiera w samotności, kryjąc się ze swoją dumą i złamanym sercem. Szczęśliwa, że odchodzi. Leżała biedaczka z głową podpartą, żeby widzieć, jak Cash zbija jej trumnę, a musiała na niego uważać, żeby jej nie zbił byle jak, co by się pewno stało, bo tym chłopom o nic nie chodziło, tylko o to, żeby jeszcze zarobić te trzy dolary, zanim się rozpadła, zanim woda tak się podniesie, że nie da rady przejechać. Jak nic, gdyby nie to, że postanowili jeszcze raz obrócić, toby ją na kółdrze załadowali na ten wóz i przeprawili się przez rzekę, a potem stanęli i dali jej umrzeć według nich po chrześcijańsku.

Jeden Darl. To było takie piękne, że nic równie pięknego w życiu nie widziałam. Czasami tracę wiarę w ludzi, doświadczam mnie pokusa zwątpienia. Ale Pan Bóg za każdym razem przywraca mi wiarę i ukazuje mi swoją szczerobliwą miłość dla stworzenia. Nie Klejnot, którego tak zawsze hołubiła, nie ten. Ten poleciał na te dodatkowe trzy dolary. Jeden Darl, o którym ludzie mówią, że jakiś dziwny, że leniwy, że się obija po gospodarce tak samo jak Anse, kiedy Cash to dobry cieśla i więcej zawsze buduje, niż da radę, a Klejnot nic tylko się ugania za zarobkiem albo ściąga na siebie ludzkie gadanie, i ta półnaga dziewczucha, co nie odstępowała od Addie z tym swoim wachlarzem, tak że kiedy człowiek chciał zagadać do niej i rozerwać ją, to zaraz sama w te pędy odpowiadała, jakby chciała wszystkich bez wyjątku od niej odsunąć.

To Darl. Przyszedł, stanął w drzwiach i popatrzył na umierającą matkę. Tylko na nią popatrzył, a ja zaraz na nowo poczułam szczerobliwe Boże miłosierdzie i łaskę. Zobaczyłam, że z Klejnotem to ona tylko tak udawała, a zrozumienie i prawdziwe uczucie to było między nią a Darlem. Tylko na nią popatrzył,

-21-

nawet nie wszedł, żeby go nie zobaczyła, boby się mogła zdenerwować, jakby zobaczyła, że Anse go wypędza i że on już jej nie zobaczy. Nic nie powiedział, tylko na nią popatrzył.

- Czego chciał, Darl? - pyta zaraz Dewey Dell i nie przestaje machać tym wachlarzem, i nawet jego do niej nie dopuszcza. Nic nie odpowiedział. Stał tylko i popatrzył na umierającą matkę z sercem takim przepełnionym, że nie mógł wydobyć słowa.

-22-

DEWEY DELL

Pierwszy raz to razem z Lafe'em zrywaliśmy w jednym rządku. Tata boi się spocic, żeby się na śmierć nie pochorować, to wszyscy nam przychodzą pomagać. A Klejnot to się niczym nie martwi, z tym to się od nas wyroził, z tym to on nie nasz. A Cash jakby piłował na deski te długie, gorące smutne dni i przybijał je do czegoś gwoździami. A tata to myśli, że sąsiedzi to zawsze tacy będą jeden dla drugiego, bo on zawsze tylko czeka, aż zrobią, co trzeba, zanim on się obejrzy. I tak mi się widzi, że i Darl by o niczym nie pomyślał, siada to do kolacji z oczami, co patrzą dalej niż jedzenie i niż lampa i pełne są ziemi wykopanej z jego głowy, a w dziurach dalekość za tą ziemią.

Zrywaliśmy w jednym rządku, coraz to bliżej był las i schowanie w cieniu, i w mój worek i w Lafe'a worek zbieraliśmy coraz bliżej tego schowania w cieniu. Bo kiedy miałam pół worka, pomyślałam sobie, zrobić to czy nie, bo powiedziałam sobie, że jak worek będzie pełny, kiedy dojdziemy do lasu, to nie będzie na mnie. Powiedziałam, że jak mam tego nie robić, worek nie będzie pełny i zawrócę w drugi rząd, ale jak worek będzie pełny, nic nie poradzę. To będzie się znaczyło, że od początku miałam to zrobić i nie ma rady. I zrywaliśmy coraz bliżej schowania w cieniu, i nasze oczy coraz się spotykały to na jego, to na moich rękach, a ja nic nie mówię.

- Co robisz? - powiadam.

-23-

A on na to:

- Zrywam do twojego worka.

I worek był pełny, kiedyśmy doszli do końca rządka, i nic nie mogłam poradzić.

I tak to było, bo nic nie mogłam poradzić. I zaraz się stało, i zaraz zobaczyłam Darla, i on powiedział. Powiada,

że wiedział, bez mówienia, tak jak bez mówienia powiedział mi, że mama umiera, i wiedziałam, że wie, bo jakby powiedział, że wie, nie uwierzyłabym, że tam był i nas widział. Ale on powiada, że wie, a ja powiadam:

- Powiesz tacie, zabijesz go? - bez słów ja to powiadam, a on powiada bez słów:

- Po co?

I przez to ja mogę mówić do niego wiedzący i z nienawiścią, bo on wie.

Staje w drzwiach i patrzy na nią.

- Czegoś chciał, Darl? - powiadam.

- Ona umiera - powiada on. I ten stary indyk, ten sęp Tuli przyłazi patrzeć, jak ona umiera, ale już oni niczego się po mnie nie domyśla.

- Kiedy umrze? - pytam.

- Nim wrócimy - on na to.

- To dlaczego każecie Klejnotowi ze sobą jechać? - pytam.

- Potrzebny mi do pomocy w ładowaniu - powiada.

-24-

TULL

Anse bez ustanku trze się po kolanach. Kombinezon ma spłowiały, na jednym kolanie cajnoga łąta wycięta z niedzielnych portek, wyświecona na blachę.

- Już mnie się to najmniej widzi z was wszystkich — powiada.

- Czasem człowiek musi i naprzód przewidzieć - mówię.

- Ale jak tam było, ni w jednym, ni w drugim szkoda się nie stanie.

- Ona by chciała, żeby zaraz wyruszać - powiada. - I przy najlepszej pogodzie do Jefferson ładny kawał drogi.

- Ale droga teraz dobra - mówię.

I zbiera się na deszcz dziś wieczór. Do tego jego rodzina grzebie swoich w New Hope, niecałe trzy mile stąd.

Ale to właśnie do niego podobne żenić się z kobietą, co się rodziła o dobry dzień drogi gdzieś tam, żeby potem mieć kłopot, jak umrze.

Patrzy przez pole i trze kolana.

- Już mnie się to najmniej widzi z was wszystkich - powiada.

- W czas wrócą - mówię. - Już ja bym się nie martwił.

- To dla nas trzy dolary - powiada.

- Może być, że wcale nie będą musieli się spieszyć - mówię.

- Taką mam nadzieję.

- Już ona się zabiera - powiada. - Już się na to nastawiła.

-25-

Już to zaprawdę ciężkie życie dla kobiety. Dla niektórej. Pomnę, że moja mama żyła do siedemdziesiątki i dłużej. Dzień w dzień, słońce czy deszcz, praca. Od tego dnia, jak urodziła ostatniego chłopaka, ani dnia choroby, aż kiedyś tak się rozejrzała wkoło siebie, a potem wzięła i włożyła tę swoją nocną koszulę obszytą koronką, co ją miała od czterdziestu pięciu lat i nie wyjmowała ani razu ze skrzyni, i położyła się na łóżku, podciągnęła przykrycie pod brodę i zamknęła oczy. - Trzeba, żebyście się zajęli ojcem, jak które potrafi - powiada. - Ja jestem zmęczona.

Anse pociera ręce o kolana.

- Bóg daje... - powiada.

Za rogiem słyhać, jak Cash wali młotkiem i piłuje.

To prawda. Większej prawdy nikt nigdy nie powiedział.

- Bóg daje - przyświadczam.

Pod górę idzie ten chłopak. Niesie rybę prawie taką dużą jak on sam. Zsuwa ją na ziemię i chrząka, „hm”, i spluwa przez ramię jak mężczyzna. Niech takiego diabli. On już prawie mężczyzna.

- A to co? - pytam. - Świnia? Gdzieżeś ją złapał?!

- Przy moście - powiada.

Obraca rybę. Od spodu, tam gdzie była mokra, oblepiła się piaskiem, oko ma przesłonięte, złe pod piaskiem.

- Chcesz ją tu zostawić na ziemi? - powiada Anse.

- Chcę ją mamie pokazać - powiada Vardaman. Patrzy w stronę drzwi. Słyszemy, jak z przeciągiem dochodzi rozmowa. I jak Cash stuka i zbija młotkiem deski. - Ktoś tam jest - powiada.

- To tylko moi - mówię. - Oni ją też z chęcią zobaczą. Nic nie mówi, patrzy na drzwi. Potem patrzy w dół, na rybę

na ziemi. Obraca ją nogą i palcem od nogi szturcha wypukłe oko, dłubie w nim. Anse patrzy przez pole.

Vardaman spogląda na twarz Anse'a, a potem na drzwi. Odwraca się i idzie za róg domu, a Anse woła go nie ruszając głową.

- Ty, wypatrosz tę rybę!

-26-

Vardaman staje.

- A Dewey Dell to nie może? - pyta.

- Ty ją wypatrosz - powtarza Anse.

- Ale tam, tata - powiada Vardaman.

- Ty ją wypatrosz - mówi Anse. Nie ogląda się. Vardaman wraca i podnosi rybę. Ryba wyślizguje mu się z rąk, paprze go błotem i chłapie znowu na ziemię, i znów się oblepia ziemią, z rozdziawionym pyskiem, z wylażącymi na wierzch oczami, i zagrzebuje się w piach, jakby jej było wstyd, że nie żyje, jakby się spieszyła, żeby się schować z powrotem. Vardaman klnie rybę. Klnie jak dorosły i staje nad nią okrakiem. Anse się nie ogląda. Vardaman znowu ją podnosi. Idzie dokoła domu i taszczy ją oburącz jak naręcze drzewa, a ryba sterczy na boki, z jednej strony ogon, z drugiej łeb. Cholera, prawie taka jak on.

Anse'emu przeguby rąk wiszą z rękawów - jak żyję nie widziałem, żeby miał "koszulę, co by wyglądała na jego własną. Wszystkie tak wyglądają, jakby mu Klejnot oddawał swoje stare. Chociaż nie, nie Klejnot. Ten ma długie ręce, choć chudy. Tylko że koszule Anse'a nie są zapocone. W ten sposób bez omyłki można powiedzieć, że nie są niczyje inne, tylko Anse'a. Oczy w jego twarzy wyglądają jak dwa wypalone węgielki wpatrzone gdzieś w pole.

Kiedy cień dotyka schodków, powiada:

- Jest piąta.

Właśnie wstając, kiedy do drzwi podchodzi Cora i mówi, że czas ruszać. Anse sięga po buty.

- No, panie Bundren - powiada Cora - niech pan jeszcze nie wstaje.

Anse wkłada buty, tupie przy tym, robi to tak jak wszystko, jakby cały czas miał nadzieję, że w gruncie rzeczy nie da rady i może się przestać wysilać. Kiedy wchodzimy do sieni, słyszemy, jak tupią po podłodze, jakby były żelaznymi buciorami. Idzie do tych drzwi, za którymi ona leży, i mruży oczy, jakby patrzył przed siebie, zanim coś zobaczy, jakby się spodziewał, że zastanie ją może siedzącą na krześle albo może z miotłą przy

-27-

robotcie, i patrzy za drzwi z tym swoim zdziwieniem, z jakim zagląda i za każdym razem wciąż widzi ją w łóżku, a Dewey Dell wciąż nad nią z tym wachlarzem. I staje tam, jakby nie zamierował się już ruszyć ani nic.

- No, to chyba my już lepiej jedźmy - powiada Cora. - Muszę dać kurom.

Do tego zanosi się na deszcz. Z takimi chmurami nie ma żartów, a każdy dzień ważny dla bawelny. I to go jeszcze czeka. Cash wciąż marudzi przy deskach.

- Może w czymś możemy się przydać - powiada Cora.

- Anse da nam znać - mówię.

Anse na nas nie patrzy. Ogląda się i mruga z tym swoim zdziwieniem, jakby się nim zmęczył na śmierć, a potem i ono go zdziwiło. Oby Cash tak samo starał się przy budowie mojej stodoły.

- Mówiłem Anse, że to pewno nie będzie potrzebne - mówię. - Oby tak było.

- Już ona się zdecydowała - on powiada. - Miarkuję, że już jej czas.

- Wszystkim nam na to przyjdzie - powiada Cora. - Niechaj Pan Bóg was pocieszy.

- A co do tej kukurydzy - mówię mu. Powtarzam mu, że mu dopomogę, gdyby był w potrzebie, bo tu ona chora i w ogóle. Jak prawie wszyscy tutaj już mu tyle napomagałem, że teraz nie da rady przestać.

- Miałem się dziś do niej zabrać - powiada. - Jakoś nic mi nie idzie.

- Może ona się strzyma, aż zbierzecie - mówię.

- Wola boska - on na to.

- Niech was Bóg pocieszy - powiada Cora.
- Niechby tylko Cash starał się tak samo przy mojej stodole. Podnosi oczy, kiedy przechodzimy.
- Miarkuję, że tego tygodnia nie będę mógł zejść do was -powiada.
- Nie spieszy się - mówię. - Kiedy ci tam wypadnie.

-28-

- Siadamy na wóz. Cora stawia na kolanach pudło z ciastem. Ani chybi zbiera się na deszcz.
- Nie wiem, co on robi - powiada Cora. - Już sama nie wiem.
 - Biedny Anse - mówię. - Z górą trzydzieści lat go gnała do pracy. Już się chyba zmęczyła.
 - A mnie się widzi, że ona go jeszcze drugie trzydzieści lat pogoni - powiada Kate. - A jak nie ona, to on się postara o inną przed zbieraniem bawełny.
 - Chyba Cash i Darl mogą się już żenić - powiada Eula.
 - Ten biedny chłopak - powiada Cora - ten biedny smarkacz.
 - A Klejnot? - mówi Kate.
 - On też może - powiada Eula.
 - Ha - mówi Kate. - Widzi mi się, że on się będzie żenił, tak mi się widzi. Widzi mi się, że niejedna tutaj nie chciałaby widzieć Klejnota związanego. No, ale niech się nie martwią.
 - Co też ty, Kate! - mówi Cora. Wóz zaczyna turkotać. -Biedny smarkacz - powtarza Cora.
- Zanosi się na deszcz w nocy. To pewne. Jak wóz turkocze, to już wielce sucho jak na Birdsell. Ale niedługo tej suszy. Szkoda słów.
- Powinna była brać te placki, jak już powiedziała, że weźmie - powiada Kate.

-29-

ANSE

Cholera z tą drogą, a tu jeszcze zbiera się na deszcz. Tak jak tu stoję, jakbym na własne oczy widział, jak spada za nimi jak ściana, jak wyrasta między nimi a moją obietnicą. Ja robię, co mogę, tyle że o niczym myśleć nie potrafię, ale cholera z tymi chłopakami.

I tędy idzie, tuż pod moje drzwi, żeby musiał trafić do nich każdy pech, jaki chodzi po świecie. Mówiłem Addie, że to żadna korzyść mieszkać przy drodze, kiedy już do nas doszła, a ona ci na to jak każda baba: To się stąd zabieraj. Toć mówiłem jej, że żadna z niej korzyść, bo Pan Bóg stworzył drogi do podróżowania, inaczej dlaczego by je kładł płasko na ziemi? Kiedy chce, żeby coś się ruszało, to stwarza to coś wzdłuż, jak droga czy koń, czy wóz, ale jak zamiaruje, żeby to coś stało na miejscu, to stwarza to coś ustawione do góry jak drzewo czy człowieka. I wcale sobie nie zamierzył, żeby ludzie mieszkali na drodze, bo, powiadam, co jest pierwsze, droga czy dom? Czyście kiedy widzieli, żeby ustanowił drogę przy domu? - powiadam. Nie, nigdy, powiadam, to tylko ludzie nie spoczną, póki nie ustawią domu tak, żeby każdy, kto przejeżdża wozem, mógł im splunąć pod nogi, aż ludziska nie mają chwili spokoju i chcą się zabierać gdzie indziej, gdzie by mogli żyć jak Pan Bóg przykazał, na jednym miejscu jak drzewo czy łan kukurydzy. Bo gdyby Pan Bóg postanowił, że człowiek ma być wciąż w drodze na inne

-30-

miejsce, czyby go nie stworzył tak, żeby się posuwał wzdłuż na brzuchu jak wąż? Na zdrowy rozum to tak by zrobił.

Położyli ją tak, że każde nieszczęście, jakie się tłucze tą drogą, musi się napatoczyć na mój dom i wleźć mi prosto w drzwi, i jeszcze mnie do tego obłożyli podatkami. Musiałem płacić, kiedy Cashowi trzeba było tych jego ciesielskich papierów, a gdyby żadnej drogi do nas nie doprowadzili, nie zrobiliby tych papierów. Po to, żeby spadał z jakichś tam kościołów i przez pół roku nie mógł kiwać palcem, kiedy my z Addie harowaliśmy jak niewolnicy. Jak już zachciało mu się piłowania, to i tu do piłowania jest dosyć.

A i Darl. Gadali i przekonywali, aż go puściłem z domu, niech ich cholera. To nie to, żebym się bał pracy. Całe życie umiałem zarobić na chleb dla siebie i swoich i na dach nad głową. Ale zostałem bez rąk do pracy, i tylko przez to, że on patrzy swego, tylko przez to, że jemu cały czas ziemia się marzy. Z początku, ja im powiadam, on był w porządku, kiedy marzyła mu się ta ziemia, ziemia była wtedy jak należy. Dopiero kiedy nastąpiła ta

droga i wzięła przekręciła ziemię na płask, a z głowy mu jej nie wybiła, zaczęli mi grozić, żebym go puścił, prawem zaczęli mnie straszyć.

I muszę za to zapłacić. I jej nic by nie było, gdyby nie ta droga. Tylko się chciała położyć, odpocząć na swoim własnym łóżku, i żeby jej dali spokój.

- Chora jesteś, Addie? - pytam.

- Nie jestem chora - powiada.

- Połóż się i odpocznij - mówię. - Wiedziałem, że nie jesteś chora. Jesteś tylko zmęczona. Połóż się i odpoczywaj.

- Nie jestem chora - ona na to. - Wstanę.

- Leż spokojnie i odpoczywaj - mówię. - Jesteś tylko zmęczona. Możesz jutro wstać.

I leżałyby sobie najzdrowsza na świecie, gdyby nie ta droga.

- Wcale po pana nie posyłałem - mówię. - Sam pan zaświadczy, że wcale po pana nie posyłałem.

- Wiem, że nie - powiada Peabody. - Ręczę. Gdzie ona?

-31-

- Leży sobie - powiadam. - Trochę zmęczona, ale...

- Wyjdź stąd, Anse - powiada. - Idź, posiedź chwilę na ganku.

I teraz muszę za to płacić, ja, co nie mam jednego zęba w gębie i chciałem uskładać na wstawienie zębów, żebym mógł dary boskie jeść, jak człowiekowi przystało, a ona aż do tego dnia zdrowa była jak ryba. Muszę płacić, bo się znalazłem w potrzebie tych trzech dolarów. Płacić, bo tym sposobem chłopaki muszą jechać, żeby zarobić te trzy dolary. I już widzę, jakbym oczyma duszy oglądał, jak ten deszcz nas odcina, jak nadchodzi tą drogą jak głupi, jakby na całym Bożym świecie tylko ten dom na niego czekał.

Słyszałem, jak niejeden kłął swojego pecha, ale im się należało, nie byli bez winy. A na mnie żadne przekleństwo nie ciąży, nie powiem, nic takiego nie zrobiłem, żeby ściągnąć na siebie przekleństwo. Racja, religijny nie jestem. Ale sumienie mam spokojne, a jakże. Robiłem różne rzeczy, ale nie lepsze i nie gorsze niż ci, co udają inaczej, i wiem, że Starszy Pan zadba o mnie, tak jak dba o byle spadającego wróbla. Ale widzi mi się to za wiele, żeby droga tak rujnowała człowieka potrzebującego.

Vardaman wychodzi z domu, jak wieprz okrwawiony, po kolana, nic tylko posiekał tę rybę toporzyskiem na kawałki albo, jak to on, wyrzucił dla psów. No, może i nie mogę się więcej po nim spodziewać, jak po jego dorosłych braciach. Idzie, patrzy na dom bez słowa i siada na schodkach.

- Uff - powiada. - Tom się zmachał.

- Idź, umyj ręce - mówię mu. A już żadna baba bardziej nie dbała o wychowanie, u chłopca czy u dzieciaka, jak Addie, to jej przyznam.

- Krwi i bebeczów to miała w sobie jak wieprz - powiada. Ale ja chyba do niczego nie mam głowy, a i ta pogoda wszystkie siły ze mnie wysysa. - Tata - mówi on. - Czy mamie gorzej?

- Idź, umyj ręce - powiadam. Ale do tego też chyba nie mam głowy.

-32-

DARL

Jeździł w tym tygodniu do miasta, z tyłu ma włosy czysto wygolone, białą linię między włosami i opalenizną jak staw jakiejś białej kości. Ani razu się nie obejrzy.

- Klejnot - mówię. Droga w dole między dwoma parami podrygujących mulich uszu ucieka do tyłu pod wóz, jakby była wstążką, a przednia oś szpulą. - Klejnot, wiesz, ona umrze.

Trzeba dwojga, żeby zrobić człowieka, starczy jedno, żeby umrzeć. Tak oto świat się skończy.

Powiedziałem Dewey Dell: Chcesz, żeby umarła, żebyś mogła jechać do miasta, o to chodzi? Ona nie będzie mówiła o tym, co to ona i ja wiemy. To dlatego ani słowa o tym nie mówisz, bo gdybyś powiedziała, choćby sama do siebie, już byś wiedziała, że to prawda, o to chodzi? Ale już wiesz, że tak jest. Mógłbym ci prawie powiedzieć, którego dnia się dowiedziałas, że tak jest. Dlaczego tego nie powiesz, choćby sama sobie? Ale ona nie powie. Ona tylko powtarza: Czy powiesz tacie? Czy go zabijesz? Nie możesz uwierzyć, że tak jest, bo nie możesz uwierzyć, żeby Dewey Dell, Dewey Dell Bundren, mogła mieć takiego pecha, o to chodzi?

Słońce, jeszcze godzinę drogi nad horyzontem, wisi jak przekrwione jajko nad spiętrzoną czarną chmurą, wszystko się zrobiło miedziane, wygląda złowrogo, pachnie siarką, czuć burzę. Kiedy przyjedzie Peabody,

będą musieli użyć linki. Rozdęło

-33-

go od jedzenia zimnych jarzyn. Z pomocą linki wciągną go na Że Addie Bundren umrze?

PEABODY

Kiedy na koniec Anse Bundren sam ze siebie po mnie przysłał, powiedziałem: Zaorał w końcu kobitę. I niech mnie diabli, jeżeli nie powiedziałem prawdy, i z początku nie chciałem iść, bo a nużby się okazało, że jeszcze mogę dla niej coś zrobić, i będę musiał ją przytrzymać, na rany boskie. Przyszło mi na myśl, że może w niebie wyznają taką samą głupią etykę jak w kolegium medycznym, że to może znów Vernon Tull po mnie przysłał, żebym tam się zjawił natychmiast, jak to zawsze Vernon, żeby za pieniądze Anse'a wycisnąć, co się tylko da, tak jak chce za swoje. Ale kiedy dzień się już zrobił na dobre i można było poznać, jaka będzie pogoda, wiedziałem, że to tylko sam Anse mógł przysłać. Już wiedziałem, bo tylko pechowiec może potrzebować doktora, kiedy akurat cyklon nadciąga. I wiedziałem, że choćby i na koniec sam Anse potrzebował doktora, to już jest za późno.

Dojeżdżam do źródła, wysiadam i przywiązuję muły, a tu słońce zachodzi za czarną chmurę wielką jak niebosiężne górskie pasmo, jakby ktoś tam wysypał górę węgla, a wiatru ani, ani. Jeszcze zanim dojechałem, na milę przedtem, słychać było piłę Casha. Anse stoi nad urwiskiem nad ścieżką.

- Gdzie koń? - pytam.

- Klejnot go wziął i pojechał - powiada. - Nikt inny nie da rady go złapać. Chyba będziecie musieli włązić sami.

-35-

- Ja mam sam włązić przy moich dwustu dwudziestu pięciu funtach wagi? - powiadam. - Włązić na tę diabelską ścianę? - A ten sobie stoi pod drzewem. Co za szkoda, że Pan Bóg się pomylił i drzewom dał korzenie, a tym Anse'om Bundrenom nogi i stopy. Gdyby to tylko urządził na odwrót, nie trzeba by się było martwić, że ten kraj straci kiedyś wszystkie lasy. Czy w ogóle jakiś kraj. - Jak ty sobie myślisz, co mam robić? - powiadam. - Mam tu może czekać i dać się zmieścić z powierzchni ziemi, kiedy urwie się ta chmura? Choćby i na koniu, musiałbym mieć piętnaście minut na przejechanie przez łąkę na szczyt wzgórza i dojechanie do domu. Ścieżka wyglądała, jakby wiatr rzucił na zbocze krzywą gałąź. Anse dwanaście lat nie był w mieście. Jak też jego matka tam wlaźła, żeby go urodzić, przecież to jej syn.

- Vardaman już niesie linę - powiada.

Po chwili przychodzi Vardaman z linką od pług. Jeden koniec daje ojcu i schodząc ścieżką, rozwija ją.

- Trzymaj mocno - mówię. - Już i tak tę wizytę zapisałem do swoich ksiąg i zapłata będzie mi się należała, czy wleżę, czy nie.

- Trzymam - powiada Anse. - Możecie włązić.

Niech mnie cholera, jeżeli wiem, dlaczego nie machnąłem na to ręką. Żeby też siedemdziesięcioletni mężczyzna, z górą dwieście funtów wagi, dał się ciągnąć w tę i wewtę na linie na tę przeklętą górę! Chyba po to, żeby zapisać ostatni dolar z pięćdziesięciu tysięcy w wykazie zmarłych w swoich księgach, zanim to rzucę.

- Co, u diabła, twoja żona sobie myśli - powiadam - żeby kłaść się do łóżka na szczycie tej przeklętej góry?

- No, toć mi was szkoda - mówi. Upuszcza linę, zostawia ją i już zawraca do domu. Na górze jest jeszcze trochę światła, ma kolor siarczanych zapalek. Deski wyglądają jak smugi siarki. Cash się nie ogląda. Vernon Tull mówi, że Cash każdą deskę taszczy do okna, żeby matka obejrzała i powiedziała, czy dobra. Chłopiec nas wyprzedza. Anse ogląda się na niego.

-36-

- Gdzie lina? - pyta.

- Tam, gdzie ją zostawiłeś - mówię. - Ale już się nie martw o linę. Muszę zejść z tego urwiska. Nie mam zamiaru dać się tutaj złapać burzy. Za daleko bym poleciał, gdyby mnie porwała.

Dziewczyna stoi przy łóżku i wachluje ją. Kiedy wchodzimy, odwraca głowę i spogląda na nas. Jest martwa już od dziesięciu dni. Ani rusz nie może się przenieść, jeżeli to jakieś przenosiny w ogóle, bo chyba za długo była drugą połową Anse'a. Pamiętam, że w młodości myślałem, że śmierć to zjawisko cielesne. Teraz wiem, że

to tylko funkcja umysłu - i to umysłu tego, kto pozostaje po zmarłym przy życiu. Nihilisci mówią, że to jest koniec. Fundamentalisci, że początek, a w rzeczywistości to tylko wyprowadzka lokatora czy całej rodziny z jakiegoś domu albo miasta.

Patrzy na nas. Chyba tylko jej oczy się poruszają. Jakby nas dotykały nie widząc i nie czując, tylko tak, jak strumień wody ze szlauchu dotyka, i ten strumień w chwili, w której nas dotyka, już tak jest odłączony od wylotu szlauchu, jakby nigdy z niego nie wyszedł. Wcale nie patrzy na Anse'a. Patrzy na mnie, potem na chłopca. Leży pod kołdrą jak wiązka zbutwiałych patyków.

- Halo, Miss Addie - mówię. Dziewczyna nie zatrzymuje wachlarza. - Jak się mamy, siostró? - mówię.

Wychudzona twarz patrzy z poduszki na chłopca. - Ładną sobie porę wybieracie, żeby mnie tu sprowadzić razem z burzą.

Wysyłam zaraz z izby Anse'a i chłopca. Patrzy za chłopcem, kiedy wychodzi z izby. Nie poruszyła się, tylko jej oczy.

Chłopiec i Anse są na ganku, kiedy wychodzę, chłopiec na schodkach, Anse stoi przy słupie, nawet się nie opiera, ręce mu wiszą, włosy ma odgarnięte do tyłu i zmierzwione jak u zmoczonego koguta. Odwraca głowę i mruga szybko, kiedy patrzy na mnie.

- Dlaczego wcześniej po mnie nie przysłałeś? - mówię.

- Wciąż coś wypadło - powiada. - A to kukurydza, cośmy się do niej mieli z chłopakami zabierać, a to Dewey Dell się nią

-37-

zajęła, że nie trzeba lepiej, a to ludzie przychodzą, każdy chce pomóc, a to jeszcze co innego, aż właśnie myślałem...

- Do cholery z pieniędzmi - powiadani. - Czyś kiedy słyszał, żebym kogo dusił o zapłatę, kiedy nie ma na to?

- Nie żał mi było pieniędzy - powiada - tylko myślałem... To z nią koniec? - A ten smark cholerny siedzi na pierwszym schodku i w tym siarkowym świetle wygląda jeszcze mniejszy niż zwykle. To najgorsze u nas w Ameryce, że każda rzecz, pogoda i wszystko, za długo się trzyma. Jak i rzeki, i ziemia -mętne, leniwe, groźne, i życie człowieka urabiają i stwarzają na ten swój nieprzejezdny i posępny obraz. - Wiedziałem ja -powiada Anse - cały czas nabierałem pewności. Już sobie postanowiła.

- I całkiem słusznie - powiadam. - Żeby tylko... - A ten siedzi na pierwszym schodku od góry, mały i nieruchomy, w spło-wiałym kombinezonie. Wychodzę, a ten jak nie spojrzy na mnie, a potem na Anse'a. Ale już teraz na nas nie patrzy. Tylko siedzi.

- Powiedzieliście jej już? - pyta Anse.

- A po co? - ja na to. - Po diabła?

- Będzie wiedziała. Wiedziała, że jak was zobaczy, to tak, jakby dostała na piśmie. Nie będziecie musieli jej mówić. Postanowiła so...

- Tata - mówi za nami dziewczyna, patrząc na nią, na jej twarz.

- Lepiej się pospiesz - mówię.

Kiedy wchodzimy do izby, patrzy na drzwi. Spogląda na mnie. Jej oczy wyglądają, jak lampy rozjaśnione, tuż zanim wypali się resztką oliwy.

- Chce, żeby pan wyszedł - mówi dziewczyna.

- Co ty, Addie - powiada Anse - po tym, kiedy doktor taki kawał drogi zrobił z Jefferson, żeby ci pomóc?

Patrzy na mnie, czuję jej wzrok. Jakby mnie nim wypychała.

Już to wiedziałem u kobiet. Jak wyganiają z izby ludzi, co przyszli

ze współczuciem i litością, chcąc naprawdę pomóc, a czepiają się byle zwierzaka, dla którego zawsze były niczym innym jak

-38-

koniem roboczym. To ma być miłość, która przechodzi zrozumienie - ta duma, ta wściekła żądza ukrycia poniżającej nagości, wniesionej przez nas na salę operacyjną, wnoszonej przez nas z uporem i furią z powrotem na ziemię. Wychodzę z izby. Za gankiem piła Casha wchrapuje się uparcie w deskę. Chwilę potem ona woła go po imieniu, głos ma zachrypły i mocny. - Cash! - woła. - Ty, Cash!

-39-

DARL

Tata stoi przy łóżku. Zza jego nogi Vardaman wysuwa swoją okrągłą głowę, okrągłe oczy i już, już otwierające się usta. Ona patrzy na tatę. Reszta uchodzącego życia jakby wsiąkała jej w oczy, nagłace, nieujarzmione.

- Ona chce Klejnota - powiada Dewey Dell.

- No, Addie - powiada tata - on z Darlem pojechał jeszcze raz obrócić. Myśleli, że zdążą. Że na nich poczekasz i że te trzy dolary, i w ogóle... - Nachyla się i kładzie ręce na jej rękach. Jeszcze przez chwilę ona na niego patrzy, bez wyrzutu, bez żadnego wyrazu, jakby samymi oczami czekała, kiedy nie-uniknienie urwie się jego głos. Potem, choć się nie poruszała od dziesięciu dni, siada. Dewey Dell się nachyla i próbuje ją pchnąć z powrotem na pościel.

- Mama - powiada - mama.

Ona wygląda przez okno na Casha, który się miarowo kiwa nad deską w uchodzącym świetle i spieszy z pracą, żeby zdążyć przed zmrokiem i w zmroku, jakby ruchy piły same się oświetlały i stwarzały deskę i piłę.

- Ty, Cash! - woła głosem ostrym, silnym i nie osłabionym. - Ty, Cash!

Cash podnosi oczy na tę wychudłą twarz w ramie okna w zmierzchu. To obraz złożony ze wszystkich obrazów jej twarzy, jakie widział od czasu, gdy był dzieckiem. Upuszcza piłę

-40-

i podnosi deskę, żeby mogła ją zobaczyć, i patrzy na okno, w którym twarz się nie poruszyła. Wlecze tak samo drugą de-skę i przykłada obie razem, jak będą kiedyś złączone, i rękami pokazuje jeszcze inne na ziemi, na migi kształtując wolną ręką w powietrzu wykończoną trumnę. Jeszcze chwilę ona na niego patrzy z tego obrazu złożonego z wielu, bez nagany i bez aprobaty. Potem twarz znika.

Kładzie się z powrotem i odwraca głowę, ledwie spojrzawszy na tatę. Patrzy na Vardamana, jej oczy, to życie w nich rzuca się nagle na powierzchnię, dwa płomienie jarzą się równo przez chwilę. I zaraz gasną, jakby ktoś się pochylił i je zdmuchnął.

- Mama - powiada Dewey Dell. - Mama! - Nachyla się nad łóżkiem, podnosi trochę ręce, wachlarz porusza się tak samo jak przez te dziesięć dni, i Dewey Dell zaczyna zawodzić. Głos ma silny, młody, drżący i czysty, niesie się własną barwą i tonacją, a wachlarz wciąż się równo porusza w górę i w dół i szeleści niepotrzebnym już powietrzem. Potem rzuca się przez kolana Addie Bundren i łapie ją, potrząsa ją szaleńczą siłą młodych, i rozciąga się nagle na tej garstce zbutwiałych patyków, które zostały po Addie Bundren, i trzęsie całym łóżkiem z suchym szelestem plew w sienniku, z rozrzuconymi rękami, z wachlarzem jeszcze pulsującym ostatnim tchem w kołdrę.

Zza nogi taty wygląda Vardaman, usta ma otwarte na całą szerokość i cała krew mu ucieka z twarzy w te usta, jakby jakimś sposobem splukał, wessał w siebie własne zęby. Zaczyna się pomału cofać od łóżka z okrągłymi oczami, z bladą twarzą zacierającą się w zmierzchu jak kawałek papieru przylepiony do znikającej ściany i wycofuje się za drzwi.

Tata nachyla się nad łóżkiem i jego zgarbiona postać nabiera też w zmierzchu tego sowego wyrazu, staje się zmierzwiona i nastroszona, i sponiewierana, z przyczajoną wewnątrz mądrością za głęboką czy za nieruchawą, żeby się bodaj przemienić w myśl.

- Te cholerne chłopaki - powiada.

Klejnot, powiadam. Od góry światło dnia się przypłaszcza i szarzeje, i zasłania słońce chmurą szarych włócnii. Muły parują trochę

-41-

w deszczu, ochlapane żółtym błotem, ten z brzoza ślizga się i ciągnie za każdym razem bliżej skraju drogi, nad rów. Przechylony ładunek drwa połyskuje matowożółto, namiękły i ciężki jak ołów, przechyla się ostro i leci w rów nad złamanym kołem. Rozsypane szprychy i kostki Klejnota zalewa ni to żółta woda, ni ziemia, i kipi wirem, i spływa razem żółtą drogą ni to z wody, ni z ziemi, w dół, i rozpuszcza się w gęstą rzekę ciemnej zieleni ni to ziemi, ni nieba. Klejnot, powiadam. Cash staje w drzwiach z piłą w ręku. Tata stoi przy łóżku zgarbiony, ze zwieszonymi rękami. Odwraca głowę, stłamszony profil, podbródek pomału mu się zapada,

kiedy cofa prymkę na dziąsłach.

- Odeszła - powiada Cash.

- Wzięła i odeszła od nas - mówi tata. Cash na niego nie patrzy. - Prędko się uwiniesz? - pyta tata. Cash nie odpowiada. Wchodzi z tą piłą w rękę. - Myślę, że lepiej bierz się do roboty - powiada tata. - Musisz się zwijać, jak możesz, kiedy tak się złożyło, że chłopaków nie ma. - Cash spogląda na jej twarz. Wcale nie słucha, co mówi tata. Nie podchodzi do łóżka. Zatrzymuje się pośrodku izby i z piłą przy nodze, spocone ramiona ma lekko przykurzone trocinami, twarz opanowaną. - Jakbyś nie mógł dać sobie rady, to znajdzie się ktoś do pomocy - powiada tata. - Vernon mógłby. - Cash nie słucha. Patrzy w dół na jej spokojną, sztywną twarz, która wtapia się w mrok, jakby ciemność poprzedzała ostateczne wtopienie się w ziemię, aż wreszcie się zdaje, że ta twarz unosi się osobno na ciemności, lekko jak odbicie suchego liścia. - Starczy dobrych chrześcijan, żeby ci pomóc - powiada tata. Cash nie słucha. Po chwili nie patrząc na tatę zawraca i wychodzi z izby. I znów piłą zaczyna chrapać. - Wspomogą nas w naszej żalobie - powiada tata.

Odgłos piłowania jest równy, pewny, niespieszny i porusza gasnące światło, tak że z każdym chrapnięciem piły jej twarz jakby się trochę budziła w wyraz nasłuchiwania i czekania, jakby je liczyła. Tata patrzy w dół na jej twarz, na czarny kosmyk włosów Dewey Dell, jej rozrzucone ramiona, zaciśnięty w dłoni i już nieruchomy wachlarz na prawie już niewidocznej w zmierzchu kołdrze.

-42-

- Widzi mi się, że lepiej zrobisz, jak wstawisz kolację - powiada.

Dewey Dell się nie rusza.

- Rusz się już i wstaw kolację - powiada tata. - Musimy podtrzymać siły. Tak sobie kalkuluję, że doktor Peabody dobrze zgłodniał po tej drodze. A Cash będzie musiał szybko zjeść i wracać do roboty, żeby zdążył skończyć na czas.

Dewey Dell się podnosi i dźwiga na nogi. Patrzy z góry na jej twarz. Wygląda ona jak ciężki brązowy odlew zacierający się na poduszce, tylko ręce zachowały jeszcze odrobinę życia: zwiniętą, węzlastą ciężkość; coś zużytego, ale czujnego, co się nie zdążyło pozbyć zmęczenia, wyczerpania, znoju, jakby nie dowierzały jeszcze prawdziwości spoczynku i strzegły go, wychudłe i pełne odcisków, z czujnością, wiedząc, że nie może on trwać.

Dewey Dell nachyla się, wysuwa kołdrę spod rąk, naciąga ją na nie i aż pod brodę, i wygładza, ugłaskuje. Potem nie patrząc na tatę omija łóżko i wychodzi z izby.

Wyjdzie na dwór po doktora Peabody, gdzie może stanąć w zmroku i spojrzeć na jego plecy z takim wyrazem, że czując jej oczy i odwracając się powie: Lepiej się teraz nie poddawać smutkowi. Była stara i do tego chora. Nawet nie wiemy, jak cierpiała. Nie mogłaby wyzdrowieć. Vardaman już dorasta, no i ty tu jesteś, możesz się nimi zająć jak należy. Staralbym się nie poddawać smutkowi. Chyba lepiej idź i przygotuj kolację. To może być niewiele. Ale będą musieli jeść, a ona patrzy na niego i odpowiada: Tyle to mógłbyś dla mnie zrobić, gdybyś tylko chciał. Ja jestem ja, a ty jesteś ty, i ja o tym wiem, a ty o tym nie wiesz, i mógłbyś tyle dla mnie zrobić, gdybyś tylko chciał i gdybyś tylko chciał, to mogłabym ci powiedzieć i wtedy nikt by się nie musiał dowiedzieć poza tobą i mną, i Darlem.

Tata stoi nad łóżkiem ze zwieszonymi ramionami, zgarbiony, bez ruchu. Podnosi rękę do głowy, mierzwi włosy, słucha piłowania. Podchodzi bliżej, ociera rękę, od spodu i z wierzchu, o spodnie na udzie, kładzie ją na jej twarzy, a potem na wzgórkę na kołdrze, tam, gdzie są jej ręce, dotyka kołdry i tak, jak widział, że robiła to Dewey Dell, próbuje ją wygładzić, rękę ma

-43-

niezręczną jak jaki niedźwiedź, wygładza załamania, które sam zrobił i które wciąż powstają pod jego ręką z przekornym uporem, tak że w końcu daje temu spokój, ręka mu opada do boku i znów ociera się, z wierzchu i od spodu, o spodnie na udzie. Chrapanie piły miarowo dochodzi do izby. Tata oddycha z cicha pochrapując i obraca prymkę w dziąsłach.

- Niech będzie wola boska - powiada. - Teraz mogę wstawić te zęby.

Mokry kapelusz opada Klejnotowi na szyję i woda spływa po nim na ciężki od deszczu konopny worek uwiązany na ramionach, kiedy po kostki w pełnym wody rowie szturcha wyslizgującym się z rąk kawałkiem

kantówki, cztery cale na dwa, w oś, używając jako dźwigni obrzynka spróchniałego kołka. Klejnot, powiadam, ona nie żyje, Klejnot. Addie Bundren nie żyje.

-44-

VARDAMAN

Wtedy się rzucam biegiem. Lecę na tył domu, dobiegam do skraju ganku i staję. Wtedy zaczynam płakać. Czuję to miejsce, gdzie ryba leżała w kurzu. Już jest posiekana na kawałki, już to nie-ryba, nie-krew na moich rękach i kombinezonie. Więc to nie było tak. Więc to się nie stało. A teraz tak mnie wyprzedza, że nie mogę jej złapać.

Drzewa wyglądają jak kury, kiedy w upalne dni stroszą pióra w chłodnym piasku. Jak zeskoczę z ganku, stanę tam, gdzie była ryba, a ona cała już posiekana i już nie-ryba. Jeszcze słyszę łóżko i jej twarz, i ich wszystkich, i czuję, jak się trzęsie podłoga, kiedy wchodzi na nią ten, który przyszedł to zrobić. Który przyszedł i to zrobił, kiedy nic jej nie było, a on przyszedł i to zrobił.

- Sukinsyn brzuchacz.

Skaczę z ganku, już lecę. Ze zmroku podrywa się szczyt stodoły. Jak skoczę, mogę przez nią przelecieć, jak ta różowa pani w cyrku, prosto w ciepłe i pachnące, bez czekania. Ręce mi się wczepiają w krze. Pod stopami kamienie i piach obsuwają się w dół.

Wtedy znów łapię oddech w tym ciepłym pachnącym. Wchodzę do boksu, próbuję go dotknąć, i już mogę płakać, i wyrzucuję ten płacz. Tylko on przestaje wierzgać, już mogę, a potem mogę krzyczeć, ten krzyk już może.

-45-

- Zabił ją. Zabił ją.

Życie w nim przepływa pod skórą, pod moją ręką, przepływa przez plamki, pachnie mi pod nosem i z mdłości zaczyna się płacz, mdłości wyrzycają płacz i zaraz łapię oddech i rzygam nim. Straszny z tego hałas. Czuję nosem, jak życie wypływa mi spod rąk i idzie w górę po ramionach, i już mogę wyjść z boksu.

Nie mogę go znaleźć. Macam po ciemku na ziemi, na ścianach, nie mogę znaleźć. Z tego płaczu straszny hałas. Po co tyle hałasu. Ale znajduję go w wozowni na ziemi i lecę przez podwórze na drogę, już kij mi podskakuje na plecach.

Widzą mnie, jak na nich lecę, już zaczynają szarpać w tył, toczą oczami, parszają, szarpią w tył w chomątach.

Walę. Słyszę, jak kij spada, widzę, jak ich wali po łbach, po jarzmie, jak czasami chybia całkiem, kiedy uskakują do tyłu i szarpią się w chomacie, alem rad.

- Zabiłeś moją mamę!

Kij pęka, cofają się i parszają, głośno dudnią kopytami po ziemi, głośno, bo się zbiera na deszcz i powietrze jest puste, czeka na deszcz. Ale jeszcze nieprędko spadnie. Zalutuję z tej strony i z tej, i walę, a one się cofają i szarpią w chomątach.

- Zabiłeś ją!

Rzucam się na nie i walę, robią szerokie koło, wózek leci na dwóch kołach i w miejscu, jakby gwoździemi przybity do ziemi, i muły kręcą się w miejscu, jakby przybite gwoździemi za tylne nogi do środka wirującego talerza.

Lecę w kurzawie. Nic nie widzę, lecę w wirze kurzawy, w której znika przechylony na dwa koła wózek. Walę, kij wali w ziemię, odskakuje, wali w ziemię i znów w powietrze, i kurz wiruje w dół drogi szybciej, niż gdyby w nim był samochód. I wtedy spoglądam na kij i mogę płakać. Złamał mi się przy ręku, nie dłuższy teraz niż szczapa drewna, a to był długi kij. Wyrzucam go i mogę płakać. Teraz to nie robi tyle hałasu.

Krowa stoi we wrotach stodoły i żuje. Widzi, jak wchodzę na podwórze, i myczy z pyskiem pełnym przżutego ziela, z wy-walonym językiem.

-46-

- Nie będę cię doił. Nic dla nich robić nie będę.

Kiedy przechodzę, słyszę jak się odwraca. Kiedy ja się odwracam, jest tuż za mną z tym swoim słodkim, gorącym, mocnym oddechem.

- Nie powiedziałem ci, że nie będę?

Tryka mnie i niucha. Głęboko w sobie pojękuje z zamkniętą gębą. Macham ręką i klnę ją jak Klejnot.

- No, nastąp się.

Opuszczam rękę do ziemi i lecę na nią. Odskakuje, okręca się i staje, patrzy na mnie. Myczy. Idzie na ścieżkę i tam staje, i patrzy w stronę domu.

W stodole jest ciemno, ciepło, pachnąco i cicho. Mogę płakać po cichu i patrzę na szczyt wzgórza.

Cash wyłazi na górę, kuleje od tego upadnięcia z kościoła. Patrzy w dół, do źródła, potem na drogę i z powrotem w stronę stodoły. Idzie sztywno-ścieżką, przygląda się zerwanemu chomątu, kurzowi na drodze, a potem patrzy na drogę, tam gdzie kurz już opadł.

- Oby już dobrze minęli Tulla. O, oby.

Cash odwraca się i kuśtyka w moją stronę.

- Niech go cholera. Pokazałem mu. Niech go cholera.

Już nie płaczę. Ja już nic. Na górę wychodzi Dewey Dell i woła mnie:

- Vardaman!

Ja już nic. Siedzę cicho.

- Ty, Vardaman.

Mogę już płakać po cichu, czuję te łzy i słyszę.

- To tego nie było. To się nie stało. Leżała tam sobie na ziemi. A teraz Dewey Dell się zabiera ją ugotować.

Jest ciemno. Słyszę drzewo, milczenie: znam je. Ale nic żywego nie słyhać, nawet jego. Jakby ciemność znów mu się pozwalała rozpaść na osobne, rozrzucone cząstki - niuchanie i stąpanie, zapach stygnącego ciała i amoniakowy zapach sierści, złudzenie połączonej całości, łaciata maść i mocne gnaty,

-47-

a w nich, osobne i tajemne, i znajome jakieś jest, inne od mojego jest. Widzę, jak się rozpada - i unosi się w ciemności coraz bledsze i rzadsze. W jednym kawałku, ale jednak ani razem, ani osobno. Wszystko, a jednak nic z tego. Prawie widzę, jak słuch go owija, głaszcze i urabia jego twardy kształt - goleń nad pę-ciną, biodro, kark i łeb. Zapach i dźwięk. Nie boję się. - Ugotowana i zjedzona. Ugotowana i zjedzona.

-48-

DEWEY DELL

Tyle mógłby dla mnie zrobić, gdyby tylko chciał. Wszystko by mógł dla mnie zrobić. To tak, jakby dla mnie cały świat był w cebrzyku z flakami, aż dziw bierze, jak tam jeszcze wystarcza miejsca dla innej rzeczy bardzo ważnej. On jest wielkim cebrzem z flakami, ja jestem małym cebrzem z flakami, a jak w tym dużym cebrze flaków nie ma już miejsca na nic ważnego więcej, to skąd ma się znaleźć miejsce w tym małym. Ale wiem,- że jest, bo Pan Bóg dał kobiecie znak, jak się stało coś złego.

To dlatego, że jestem sama. Gdybym to tylko czuła, już by było inaczej, bobym nie była sama. Ale, jakbym nie była sama, wszyscy by wiedzieli. Więc on tyle mógłby dla mnie zrobić, i już bym nie była sama. Wtedy byłoby w porządku, że jestem sama.

Niechby wszedł między mnie i Lafe'a, tak jak między mnie i Lafe'a wszedł Darl, i teraz i Lafe jest sam. On jest Lafe, a ja jestem Dewey Dell, i kiedy mama umarła, to żeby ją opłakać, musiałam wyjść ze siebie i odejść od siebie, Lafe'a i Darla, bo on tyle mógł dla mnie zrobić i nie wie o tym. Nawet o tym nie wie.

Z kuchennego ganku nie widać stodoły. A potem z tamtej strony słyhać, jak Cash piłuje. Jakby pies był na podwórku i latał od drzwi do drzwi, do których by się nie podeszło, i chciał wejść. Powiedział, że się bardziej gryzie jak ja, a ja powiadam: Nie wiesz, co to zgryzota, to ja się nie mogę gryźć. Próbuję, ale nie mogę, bo myśli mi się rwać.

-49-

Zapalam lampę w kuchni. Ryba pocięta na strzępiaste kawałki powoli wykrwawia się na rynience. Prędko chowam ją do szafki, nasłuchuję czegoś w sieni i słyszę. Dziesięć dni jej zajęło umieranie. Może jeszcze nie wie, że już. Może nie odejdzie, aż Cash. Albo może, aż Klejnot. Biorę z szafki miskę z jarzynami, a z zimnej kuchni blachę chlebową i staję w miejscu, i patrzę na drzwi.

- Gdzie Vardaman? - pyta Cash.

Przy lampie jego ramiona obsypane trocinami wyglądają jak w piasku.

- Nie wiem. Nie widziałam go.

- Muły doktora poniosły. Poszukaj Vardamana. Na koniu je dogoni.

- Ano. Powiedz im, żeby szli na kolację.

Nie widać stodoły. Mówiłam, że nie umiem się gryźć. Nie umiem płakać. Próbowałam, ale nie potrafię. Po chwili zza rogu domu zgrzyt piły dolatuje ciemny przy ziemi w szarówce. I już Casha widzę, jak się schyla i unosi nad deską.

- Chodź na kolację - powiadam. - I jego zawołaj. Wszystko dla mnie mógłby zrobić. I nie wie o tym. Pilnuje swego brzucha, a ja swego. I mój brzuch to sprawa Lafe'a. O to chodzi. Nie pojmuję, po co się ruszał z miasta. My jesteśmy wsiowi ludzie, gorsi niż tamci z miasta. Nie pojmuję, po co się ruszał. I widzę już szczyt stodoły.

Krowa stoi przy ścieżce i my-czy. Odwracam się i Casha już nie ma.

Wnoszę do domu maślanekę. Tata, Cash i on siedzą przy stole.

- Gdzie ta wielka ryba, co ją Bud złapał, siostrzo? - pyta. Stawiam mleko na stole.

- Wcale nie miałam czasu jej zrobić.

- Sama rzepa to za chude jedzenie dla mężczyzny jak ja - powiada.

Cash je. Naokoło głowy wypocił mu się we włosach krąg od kapelusza. Koszulę ma sztywną od potu. Nie umył rąk.

- Musisz mieć czas - powiada tata. - Gdzie Vardaman?

-50-

Idę do drzwi.

- Nie mogę go znaleźć.

- No, no, siostrzo - powiada on - już nie myśl o tej rybie. Chyba się nie zepsuje. Chodź i siadaj.

- Ja o niej nie myślę - mówię. - Idę doić, zanim się zbierze na deszcz.

Tata nakłada sobie i podsuwa miskę tamtym. Ale się nie bierze do jedzenia. Palce przykurczył, ręce położył na stole, głowę ma trochę pochyloną, lampa mu świeci na skudłone włosy. Całkiem jak byczek ogłuszony młotem, co już nie dycha, a jeszcze nie wie, że nie żyje.

Ale Cash je i on też.

- Lepiej coś zjedz - powiada. Patrzy na tatę. - Jak Cash i ja. Przyda ci się.

- Ano - mówi tata. Ożywia się jak byczek, co przykląkł w sadzawce, a ktoś na niego wpadł. - Nie miałyby mi tego za złe.

Kiedy już mnie z domu nie widać, ruszam szybko. Krowa muczy u stóp urwiska. Dotyka mnie nosem, niucha, dmucha mi oddechem słodko, gorąco, mocno przez kieckę w goły brzuch i stęka.

- Musisz troszkę poczekać. Zaraz się tobą zajmę.

Idzie za mną do stodoły, gdzie stawiam wiadro. Dmucha w wiadro i stęka.

- Powiedziałam ci. Masz tylko trochę poczekać. Więcej mam do roboty, niż daję radę.

W stodole ciemno. Koń tnie kopytem w ścianę, kiedy przechodzę. Nie zatrzymuję się. Dziura w ścianie wygląda jak jaśniejsza deska ustawiona ostrym końcem na dół. I już widzę zbocze, czuję znowu powiew powietrza na twarzy, powolne, blade, mniej w nim ciemności i nic do zobaczenia, kępki sosen skupiają się w górze pochylego zbocza, przytająone, i czekają.

Sylwetka krowy na tle drzwi trąca nosem sylwetkę wiadra i stęka.

-51-

na długo przedtem, zanim może powiedzieć to słowo, i słuchanie boi się, że może nie starczyć czasu na powiedzenie. Czuję, jak moje ciało, kości i mięśnie zaczynają się rozchodzić i otwierać na to samotne, i stawanie się niesamą jest straszne. Lafe. Lafe. -Lafe. - Lafe. Lafe. - Pochyliam się trochę do przodu, jedną nogę wysuwam stojąc w miejscu. Czuję, jak ciemność mknie mi przez pierś, leci przez krowę, rzucam się, napieram na ciemność, ale krowa stoi mi na drodze i ciemność nie zatrzymana wali się na słodki podmuch jej jęklivego

oddechu, pełna drzewa i milczenia.

- Vardaman. Ty, Vardaman. Wychodzi z boksu.

- Ty cholerny mały szpiegu! Cholerny mały szpiegu!

Nie opiera się. Ostatek tej rozpędzonej ciemności ulatuje ze świstem.

- Co? Nic nie zrobiłem.

- Ty cholerny mały szpiegu! - Moje ręce twardo nim potrząsają. Może nie mogłam ich powstrzymać. Nie wiedziałam, że potrafią tak twardo potrząsać. Potrząsają i nim, i mną, i potrząsają.

- Wcale tego nie zrobiłem - powiada. - Ani ich nie dotknąłem.

Moje ręce przestają nim trząść, ale go nie puszczam.

- Co tu robisz? Dlaczego nie odpowiedziałeś, kiedy cię wołałam?

- Nic nie robię.

- Ruszaj do domu i zjedz kolację.

Odsuwa się. Ja go przytrzymuję.

- Puszczaj. Daj mi spokój.

- Cóżeś tu robił? Przylazłeś mnie podglądać?

- Wcale nie. Wcale nie. Puszczaj. Nawet nie wiedziałem, że tu jesteś. Daj mi spokój.

Trzymam go i nachylam się, żeby mu zajrzeć w twarz, dotknąć jej swoimi oczami. Zaraz się rozpłacze.

-52-

- Ruszaj w tej chwili. Kolacja na stole i zaraz tam będę, tylko wydoję. Lepiej leć, zanim ten wszystko zje.

Niechby ten zaprząg się nie zatrzymał, aż w Jefferson.

- Zabił ją - powiadać Zaczyna płakać.

- Cicho no.

- Nic mu nie zrobiła, a on przyjeżdża i ją zabija.

- Cicho no. - Wrywa się. Trzymam go. - Cicho no.

- Zabił ją. - Krowa podchodzi do nas od tyłu i pojękuje. Znów nim potrząsam. - Przestań no już. W tej chwili.

Zobaczysz, rozchorujesz się, a wtedy nie pojedziesz do miasta. Idź do domu i zjedz kolację.

- Nie chcę żadnej kolacji. Nie chcę jechać do miasta.

- To cię tu zostawimy. Jak się nie będziesz zachowywał, to cię zostawimy. Ruszaj już, zanim ten stary trawożerny ceber flaków wszystko ci zje.

Odchodzi i znika powoli we wzgórzu. Na tle nieba widać szczyt urwiska, drzewa i dach domu. Krowa skubie mnie pyskiem i jęczy.

- Musisz tylko poczekać. To, co ty masz w sobie, to jest nic wobec tego, co ja mam, chociaż i ty jesteś kobieta. -

Idzie za mną i jęczy. I znów dmucha mi na twarz to martwe, gorące, jasne powietrze. Mógłby z tym się załatwić raz, dwa, gdyby tylko chciał. A on nawet tego nie wie. Wszystko mógłby dla mnie zrobić, gdyby tylko wiedział. Krowa dmucha mi na pośladki i plecy, oddech ma ciepły, słodki, rześący, stęka. Niebo kładzie się płasko na zbocze, na ciemne kępy drzew. Za wzgórzem daleka błyskawica rozlewa się w górę i gaśnie.

Nieruchome powietrze okrywa zamarłą ziemię w martwej ciemności dalej, niż wzrok tę martwą ziemię obejmie. Leży na mnie martwe i ciepłe, dotyka mojej nagości przez ubranie. Mówiłam mu: Ty nie wiesz, co to znaczy zgryzota. Nie wiem, co to znaczy. Nie wiem, czy ja się gryzę, czy nie. Czy umiem, czy nie. Nie wiem, czy potrafię płakać, czy nie. Nie wiem, czy próbowałam, czy nie. Czuję się jak mokre ziarno oszalałe w gorącej, ślepej nocy.

-53-

VARDAMAN

Kiedy ją skończą włożyć ją do niej a wtedy nieprędko będę mógł to powiedzieć. Zobaczyłem jak ciemność się podnosi i wiruje i ucieka i pytam:

- Czy zabijesz ją tu gwoździami Cash? Cash? Cash? Zatrzasnąłem się w żłobie to nowe wieko' było dla mnie za ciężkie zatrzasnęło się nie mogłem oddychać bo szczur wdychał całe powietrze. Powiadam:

- Czy przybijesz gwoździami wieko Cash? Gwoździami? Gwoździami?

Tata chodzi wokoło. Jego cień chodzi wokoło przemyka po Cashu Cash kiwa się tam i z powrotem nad piłą rżnie krwawiącą deskę.

Powiedziała Dewey Dell że kupimy bananów. Kolej jest za szkłem czerwona na szynach. Kiedy jedzie szyny błyszczą za nią i przed nią. Tata mówił że mąka cukier i kawa tak dużo kosztują. Bo ja jestem wsiowy bo chłopcy w mieście. Rowery. Dlaczego cukier mąka i kawa tyle kosztują kiedy to wsiowy chłopak. „Nie wolałbyś to parę bananów?” Bananów już nie ma zjedzone. Nie ma. Kiedy ona jedzie tor znowu się świeci. „Tata dlaczego ja nie jestem chłopak z miasta?” Przecież Pan Bóg mnie stworzył. Nie kazałem Panu Bogu żeby mnie stwarzał na wsi. Jak może stworzyć kolej dlaczego wszystkich nie może stworzyć w mieście bo ta mąka i cukier i kawa. „Nie wolałbyś to bananów?”

-54-

Chodzi wokoło. Jego cień chodzi wokoło.

To nie była ona. Byłem tam patrzyłem. Widziałem. Myślałem że to ona ale nie. To nie była moja matka. Ona sobie poszła kiedy ta druga się położyła do jej łóżka i naciągnęła na siebie kołdrę. Ona sobie poszła. Czy poszła aż do miasta? Poszła dalej jeszcze. „A te wszystkie króliki i opsy idą sobie dalej jeszcze niż do miasta?”

Króliki i opsy stworzył Pan Bóg. I stworzył kolej. Dlaczego musi stwarzać dla nich inne miejsce jak ona jest zupełnie tak jak królik.

Tata chodzi naokoło. I jego cień. Piła chrapie jakby spała.

No to jak Cash zabije skrzynię gwoździami to ona nie jest królikiem nie mogłem oddychać w tym żłobie i Cash ją zabije gwoździami. A jak mu pozwoli to nie ona. Ja wiem. Byłem tam. Widziałem kiedy to się zrobiła nie ona. Widziałem. Oni myślą że tak. I Cash ją zabije gwoździami.

To nie była ona bo leżała tu właśnie na ziemi. A teraz jest cała porąbana. Ja ją porąbałem. Leży w kuchni i wykrwawia się w rynience i czeka aż się ją ugotuje i zje. Więc to nie była ona i była a teraz to ona i nie było jej. A jutro będzie ugotowana i zjedzona i przejdzie w niego i w tatę w Casha i Dewey Dell a w skrzyni nic nie będzie i będzie mogła oddychać. Leżała o tu na ziemi. Mogę zawołać Vernona. On tu był i widział ją a jak nas będzie dwóch to będzie prawda i wtedy to nie będzie ona.

-55-

TULL

Była blisko północ i rozpadało się już na dobre, kiedy nas obudził. To była niesamowita noc, zbierało się na burzę. W taką noc wszystko może się zdarzyć, człowiek nie wie, czy zdąży dać bydłu i sam schronić się do domu i kolację zjeść, i wleźć do łóżka, zanim deszcz zacznie padać, a kiedy nadleciały muły doktora, całe zmydlone z ciągnącą się za nim uprzężą i chomątem między nogami biednego zwierzaka, co szedł od prawej strony, Cora powiada:

- To Addie Bundren. Zmarło jej się na koniec.

- Peabody mógł tam jeździć do każdego z kilkunastu domów w okolicy - ja na to. - A zresztą skąd wiesz, że to muły doktora?

- Co, może nie? - powiada. - Ty lepiej zaprzęgaj.

- Po co? - ja na to. - Jak jej się zmarło, do rana nic nie damy rady zrobić. I na burzę się zanoszą do tego.

- To mój obowiązek - powiada Cora. - Ty wprowadź jego muły do stajni.

Ale po co miałem to robić.

- Na zdrowy rozum, toby po nas przysłali, jakbyśmy byli potrzebni. Jeszcze nawet nie wiesz, czy jej się zmarło.

- Co też ty, nie wiesz, że to muły doktora? Może powiesz, że nie? No, rusz się. - Ale nie chciałem jechać. Jak ludzie człowieka potrzebują, najlepiej jest poczekać, aż przyślą po niego, przeko-

-56-

nałem się. - To mój chrześcijański obowiązek - powiada Cora.

- Będziesz mi przeszkadzał w pełnieniu obowiązków chrześcijańskich?

- Jak chcesz, możesz tam jutro zostać cały dzień - mówię.

Toteż jak mnie Cora obudziła, padało już na dobre. Już szedłem do drzwi z lampą i wiedział chyba, że idę, bo lampa świeciła na szyby, ale stukanie nie ustawało. Niegłośne, ale równe, jakby przy nim usnął, tylko że wcale nie spostrzegłem się, że stuka niziutko w drzwi, dopiero kiedy otworzyłem i nikogo nie widzę. Podnoszę lampę, deszcz się skrzy w świetle, a Cora za mną w sieni pyta:

- Kto to, Vernon?

Ale z początku żywej duszy nie widzę, dopiero kiedy spojrzałem w dół i za drzwi, i zniżyłem lampę. Wyglądał jak utopiony szczeniak w tym swoim kombinezonie, bez czapki, uchlapany do kolan po tych czterech milach marszu w błocie.

- No, niech mnie cholera - powiadam.

- Kto to jest, Vernon? - pyta Cora.

Spojrzał na mnie, a oczy miał okrągłe i czarne w środku, jakby się zaświeciło sobie prosto w dziób.

- Pamiętacie tę tam rybę? - pyta.

- Wejdz do domu - ja na to. - Co się stało? Czy twoja mama...?

- Vernon - powiada Cora.

Stał tak jakoś za drzwiami, w ciemności. Na lampę wieje deszczem, syczy na niej i boję się, że w każdej chwili może trzasnąć.

- Byliście tam - powiada. - Widzieliście ją. Ale Cora już podchodzi do drzwi.

- Zaraz mi uciekaj z tego deszczu - powiada i wciąga go, a on patrzy na mnie. Wyglądał jak raz jak utopiony szczeniak.

- Mówiłam ci - powiada Cora. - Mówiłam ci, co się dzieje. Idź zaraz i zaprzęgaj.

- Ale on nie mówi... - ja na to.

-57-

Spojrzał na mnie, a woda kapie z niego na podłogę.

- Niszczy mi dywan - powiada Cora. - Idź, wyprowadź muły, a ja go wezmę do kuchni.

Ale on się odsuwa, ocieka wodą i nie spuszcza ze mnie tych swoich oczu.

- Byliście tam. Widzieliście, jak tam leżała. Cash ją chce zabić gwoździami, a ona tam leżała na ziemi.

Widzieliście. Widzieliście jej ślad na ziemi. Deszcz zaczął padać, już jak tu szedłem. To zdążymy.

Niech mnie cholera, jak mi włosy od tego nie wstały na głowie, choć jeszcze nie wiedziałem. Ale Cora wiedziała.

- Zaprzęgaj co tchu - powiada. - Chłopak zwariował od tego żalu i zgryzoty.

Niech mnie cholera, jak mi włosy nie wstały. Jak tak sobie człowiek czasem pomyśli o tej całej ludzkiej żalości i strapieniach, co to mogą każdego trafić jak piorun z jasnego nieba. Widzi mi się, że wielkiej trzeba ufności w Bogu, żeby człowiek czuł się bezpieczny, choć czasem mi się zdaje, że Cora jest ociupinę za ostrożna, jakby chciała odepchnąć innych i przecisnąć się bliżej niż kto. Ale kiedy coś takiego się stanie jak teraz, wygląda na to, że ma rację i że trzeba się o to starać, i tak sobie kalkuluję, że prawdę powiada, kiedy mówi, że Bogu powinienem dziękować za żonę, co stara się być pobożna i dobrze czynić.

Człowiek się nad tym zastanawia od czasu do czasu. Choć nieczęsto. I dobrze robi. Albowiem Pan Bóg go po to stworzył, żeby robił, a nie żeby się za wiele zastanawiał, bo mózg ludzki to jak jakaś maszyna, nie strzyma, jak go szarpać zanadto. Najlepiej, jak wszystko idzie swoją koleją, co dzień kawałek, żeby żadnej części nie zużywać nad potrzebę. Zawsze to mówiłem i teraz powiem, że cały kłopot z Darlem wciąż ten sam, za dużo on sobie myśli w samotności. Cora dobrze gada, tylko żony mu trzeba, a dojdzie do rozumu. I jak o tym pomyślę, to widzi mi się, że niewielka dla człowieka nadzieja, jak mu tylko żeniaczka ma pomóc. Ale już chyba Cora ma rację, kiedy powiada, że Pan Bóg dlatego musiał stwarzać kobietę, że mężczyzna na własne oczy to nie zobaczy, co dla niego dobre.

-58-

Kiedy zajechałem mułami przed dom, byli w kuchni. Ubranie włożyła na nocną koszulę, szal miała na głowie i parasolkę w ręku, a Biblię owiniętą w ceratę, a ten siedział na odwróconym wiadrze na blasze przed piecem, gdzie go posadziła, i kapalo z niego na podłogę.

- Nic z niego nie mogę wydobyć, gada tylko o tej rybie - powiada Cora. - Sąd boski nad nimi. Widzę palec Boży na tym chłopaku jako karę i ostrzeżenie dla Anse'a Bundrena.

- Deszcz wcale nie padał, dopiero, jak poszedłem - ten powiada. - Poszedłem. Szedłem. I przecie leżała tam na ziemi. Widzieliście ją. Cash się zabiera ją zabić gwoździami, ale wyście widzieli.

Kiedyśmy jechali, łało jak z cebra, a chłopak siedział między nami owinięty szalem Cory. Nic więcej nie mówił, siedział sobie, a Cora trzymała nad nim parasolkę. Cora od czasu do czasu przestawała śpiewać i mówiła: - To sąd boski nad Anse Bundrenem. Oby mu się oczy otwarły, żeby zobaczył, że kroczy po ścieżce grzechu. I dalej zaczynała śpiewać, a ten siedzi między nami, odrobinę pochylony do przodu, jakby według niego muły nie szły dosyć prędko.

- Tam sobie leżała - powiada - tylko kiedy się zabrałem i poszedłem, deszcz zaczął padać. Mogę jeszcze iść i otworzyć okna, bo Cash jej jeszcze nie zabił gwoździami.

Było dobrze po północy, kiedyśmy wbili ostatni gwóźdź, i już prawie szary świt, zanim wróciłem do domu, wyprzągłem muły i położyłem się z powrotem do łóżka, gdzie na drugiej poduszce leżał nocny czepek Cory. Niech to cholera, jeszcze wtedy prawie słyszałem jej śpiewanie i tego chłopaka wychylonego między nami do przodu, jakby leciał przed mułami, i widziałem, jak Cash kiwa się nad tą piłą, a Anse stoi nad nim jak strach na wróble, jak byczek w sadzawce po kolana, któremu ktoś przyszedł i przechylił tę sadzawkę, a on się jeszcze nie połapał, że woda wyciekła.

Tuż przed świtem wbiliśmy ostatni gwóźdź i wtaszczyliśmy ją do domu, gdzie Addie leżała na łóżku przy otwartym oknie,

-59-

przez które znowu wiało na nią deszczem. Dwa razy to zrobił, a już taki był śpiący, że Cora mówi, że na twarzy to wyglądał, jakby kawał czasu leżał zakopany w ziemi i teraz go wykopano, aż wreszcie ją włożyli do środka i zabili wieko gwoździami, tak że już jej nie musiał otwierać okna. A na drugi dzień rano znaleźli go w koszuli śpiącego na podłodze jak padły wołek, i wieko całe było podziurawione, i w ostatniej dziurze siedział złamany nowiutki świder Casha. Jak zdjęli wieko, okazało się, że w dwóch miejscach świder wszedł jej w twarz.

Jeśli to kara boska, to niesłuszna. Bo Pan Bóg ma ważniejsze rzeczy do roboty. Musi mieć. Bo Anse Bundren nie miał nigdy innych ciężarów poza sobą samym. A kiedy ludzie źle o nim mówią, myślę sobie, że nie można powiedzieć, żeby nie był mężczyzną, jak sam siebie cierpi tak długo. To niesłuszne. Niech mnie cholera, jeżeli jest inaczej. Nie powiedział to On, dozwólcie dziatkom przyjść do mnie? Wtedy

i to nie byłoby słuszne. Cora powiada: Obdarzyłam cię tym, co Pan Bóg dał. Przyjęłam to bez obawy i lęku, bo miałam silną wiarę w Boga, co mnie wzmacniała i wspierała. Jak nie masz syna, to dlatego, że Pan Bóg w swojej mądrości rozporządził inaczej. I moje życie zawsze było otwartą księgą dla wszystkich tu stworzonych przez Niego mężczyzn i kobiet, bo moja nadzieja w Bogu i Jego zapłacie.

Widzi mi się, że prawdę gada. Widzi mi się, że jeśli Pan Bóg chciałby z mężczyzn i kobiet na całym świecie wybrać kogoś, komu by wszystko powierzył i wycofał się ze spokojną głową, to tym kimś musiałaby być Cora. I widzi mi się, że niezależnie od tego, jak On tym wszystkim rządzi, Cora by to i owo zmieniała. I widzi mi się, że na lepsze dla człowieka. A w każdym razie my musielibyśmy cieszyć się z tych zmian. W najgorszym razie tak samo dobrze moglibyśmy dalej żyć po swojemu.

-60-

DARL

Latarnia stoi na pieńku. Zardzewiała, lepka od nafty, pęknięte szkło ma z jednej strony okopcone wysoką smugą sadzy, cedzi mdłe i gęste światło na kozioł, deski i ziemię koło nich. Wióry na ciemnej ziemi leżą jak rzadkie maźnięcia lepkiej jasnej farby na czarnym płótnie. Deski wyglądają jak długie gładkie strzępki oderwane od płaskiej ciemności i odwrócone wierzchem w dół.

Przy koźle pracuje Cash, schyla się i prostuje, podnosi i układa deski z klekotem, który długo odbija się w głuchej ciszy, jakby je podnosił i upuszczał na dno niewidocznej studni, łoskot urywa się, choć się nie oddala, jakby byle ruch mógł go potrącić w powietrzu tuż nad nami i na nowo wywołać dźwięczne echo. Znowu piłuje, łokieć łyska mu powoli, ogień cienkim sznurkiem przebiega przez ostrze piły, gaśnie i zapala się znowu przy każdym pociągnięciu od góry do dołu bez odrywania piły, aż się zdaje, że ostrze ma sześć stóp długości, zanurza się i wynurza z zapadłej i beczynnej sylwetki taty.

- Podaj tę deskę - powiada Cash. - Nie, nie tę, tę drugą.

Odkłada piłę, podchodzi i bierze potrzebną mu deskę, i odgarnia tatę na bok jej rozkołysanym lśnieniem,

kiedy ją unosi.

W powietrzu czuć siarkę. Cienie układają się na jego niewidocznej płaszczyźnie jak na ścianie, jakby, tak jak i dźwięk, nie spadły daleko, tylko się na chwilę w namyśle zatrzymały tuż

-61-

obok. Cash pracuje dalej, do połowy oświetlony mdłą latarnią, udo złączone z cienkim jak patyk ramieniem, twarz przechylona w światło, zastygła w dynamicznym bezruchu nad niezmordowanym łokciem. Nisko na niebie sennie mrugają dalekie błyskawice. Na ich tle nieruchome drzewa nastroszyły najmniejszą gałązkę, nabrzmiały, zaokrągliły się, jakby były w ciąży.

Zaczyna padać. Pierwsze ostre, rzadkie, szybkie krople z przeciągłym westchnieniem lecą przez liście na ziemię, jakby z przeciągłym westchnieniem ulgi po nieznośnym napięciu. Wielkie są jak śrut, ciepłe, jakby wystrzelone ze strzelby, omiatają latarnię ze złośliwym syczeniem. Tata podnosi bezzębną twarz, do dziąseł ma mocno przylepioną otoczkę z mokrej czarnej prymki. W tym swoim rozdziubiastym zdziwieniu jak w jakimś beczasie duma nad tą ostateczną klęską. Cash spogląda na niebo, potem na latarnię. Ruchów piły nic nie zakłóciło, nic nie przerwało nie gasnącego lśnienia jej ostrza.

- Przynieś coś, żeby osłonić latarnię - powiada.

Tata idzie do domu. Deszcz leje nagle, bez grzmotu, bez żadnego ostrzeżenia, zmiata go na ganek, na jego skraj, i w sekundę Cash jest mokry do gołej skóry. Ruchów piły jednak nic nie zakłóciło, jakby ona sama wraz z jego ramieniem funkcjonowały w niezmaconym przekonaniu, że ten deszcz to złuda umysłu. Następnie Cash odkłada piłę, idzie, przysiadła nad latarnią i osłania ją własnym ciałem, pod mokrą przylepioną koszulą pokazuje plecy chude i wynędzniałe, jakby go nagle całego razem z koszulą ktoś wyrzucił na drugą stronę. Tata wraca. Jest w płaszczu deszczowym Klejnota i niesie płaszcz Dewey Dell. Rozkraczony nad latarnią, Cash sięga za siebie, podnosi cztery kołki, wbija je w ziemię, bierze od taty płaszcz Dewey Dell i rozkłada go na kołkach, robi dach nad latarnią. Tata mu się przygląda.

- Nie wiem, co ty zrobisz - powiada. - Darł wziął swój płaszcz ze sobą.

- Zmoknę - powiada Cash.

-62-

Znów bierze piłę, piła znów jedzie w górę i w dół, tam i z powrotem, niespiesznie i obojętnie jak naoliwiony tłok. Przemoknięty, wychudły, niezmordowany, o szczupłym, drobnym ciele chłopca albo staruszka. Tata patrzy na niego i mruga, woda ścieka mu po twarzy, znowu patrzy w niebo z tym wyrazem tępego zadumanego oburzenia, a jednocześnie mściwości, jakby niczego lepszego się nie spodziewał. Od czasu do czasu ocknie się, poruszy, chudy i ociekający wodą, podniesie jakąś deskę czy które z narzędzi i odłoży je z powrotem. Jest tam teraz Ver-non Tull, a Cash ma na sobie deszczowy płaszcz pani Tull i obaj z Tullem szukają piły. Po chwili znajdują ją w ręku taty.

- Dlaczego nie pójdziesz z tego deszczu do domu? - powiada Cash. Tata spogląda na niego, woda powoli spływa mu po twarzy. Jakby jakaś straszliwa parodia wszelkiego smutku przepływała przez twarz wyrzeźbioną przez dzikusa-karykaturzystę. - No, idź już - dodaje Cash. - Ja i Vernon już ją skończymy.

Tata patrzy na nich. Rękawy Klejnotowego płaszcza są na niego za krótkie. Po twarzy deszcz spływa mu powoli jak zimna gliceryna. - Nie żal mi, że dla niej zmoknę - powiada. Znów się porusza i zabiera się teraz do przekładania desek, podnosi je i ostrożnie układa z powrotem, jakby były ze szkła. Idzie do latarni i pociąga za przewieszony płaszcz, aż go ściąga i Cash przychodzi i zawiesza go z powrotem.

- Idźże do domu - powiada Cash. Prowadzi tatę do domu, wraca z jego płaszczem, zwija go i kładzie pod daszek, tam gdzie stoi latarnia. Vernon nie przerwał pracy. Podnosi oczy znad piły.

- Trzeba było wcześniej to zrobić - powiada. - Wiedziałeś, że się zbiera na deszcz.

- To ta jego gorączka - mówi Cash. Patrzy na deskę.

- No - powiada Vernon. - Tak czy owak by go nie minęła. Cash mierzy okiem deskę. Wzdłuż niej deszcz pada równy, drobny, falami.

- Zetnę ją - powiada.

- To zabierze więcej czasu - mówi Vernon.

-63-

Cash ustawia deskę na sztorc, jeszcze chwilę Vernon mu się przygląda, potem Cash podaje mu deskę. Vernon przytrzymuje ją, a Cash ścina ukośnie brzeg, żmudnie i dokładnie jak jubiler. Na skraj ganku wychodzi pani Tull i woła do Vernona.

- Prędko skończycie? - pyta. Vernon nie podnosi oczu.

- Niedługo. Jeszcze trochę.

Pani Tull patrzy, jak Cash się nachyla nad deską, obrzękłe, nagie światło latarni ślizga się przy każdym ruchu po jego płaszczu.

- Idź na dół i przynieś desek ze stodoły, i kończcie to, i chodźcie się schować przed deszczem - powiada ona. - Obydwoj zaziębiecie się na śmierć. - Vernon się nie rusza. - Vernon - dodaje.

- Zaraz idziemy - mówi Vernon. - Tylko chwila i skończymy. Pani Tull jeszcze im się przez chwilę przygląda.

Potem wraca

do domu.

- Gdybyśmy nie mogli inaczej, możemy trochę tych desek wziąć - mówi Vernon. - Pomogę ci je odstawić.

Cash kończy ścinać i mierzy powierzchnię okiem, gładzi ją dłonią.

- Podaj mi drugą - powiada.

Gdzieś tak przed świtem deszcz ustaje. Ale jeszcze jest noc, kiedy Cash wbija ostatni gwóźdź, sztywno się prostuje i patrzy z góry na gotową trumnę, a inni na niego. W świetle latarni twarz ma spokojną, zamyśloną. Pomału ociera ręce o poły deszczowego płaszcza ruchem rozmyślnym, ostatecznym i zharmonizowanym. A potem we czwórek - Cash, tata, Vernon i Peabody - biorą trumnę na ramiona i skręcają do domu. Chociaż jest lekka, idą powoli. Chociaż jest pusta, niosą ją ostrożnie. Chociaż jest martwa, poruszają się szepcząc do siebie słowa ostrzeżenia, mówiąc o niej, jakby, mimo że skończona, lekko teraz spała, żywa, i czekała na przebudzenie. Na ciemnej podłodze ich nogi niezręcznie łomoczą, jakby od dawna nie chodzili po podłogach.

-64-

Stawiają ją przy łóżku. Peabody powiada po cichu:

- Przegryźmy coś. Już prawie świta. Gdzie Cash?

Cash jest z powrotem przy koźle, znów się nachyla w słabym blasku lampy, zbiera narzędzia, wyciera je starannie szmatą i wkłada do skrzynki ze skórzanym paskiem do noszenia przez ramię. Potem bierze skrzynkę, latarnię i płaszcz deszczowy i wraca do domu, a kiedy wchodzi na schodki, odcina się bladą sylwetką na tle blednącego wschodu.

Żeby usnąć w obcym pokoju, trzeba wszystko ze siebie wyrzucić. A zanim się wszystko wyrzuci, jest się sobą. A kiedy już wszystko wyrzuciłeś, nie ma cię. A kiedy napelni cię sen, nigdy cię nie było. Nie wiem, kim jestem. Nie wiem, czy jestem, czy mnie nie ma. Klejnot wie, że jest, bo nie wie, że nie wie, czy jest, czy go nie ma. Nie może wszystkiego ze siebie wyrzucić przed snem, bo nie jest tym, czym jest, jest tym, czym nie jest. Za ścianą bez lampy słyszę, jak deszcz opływa wóz, co jest nasz, ładunek, co już nie należy do tych, którzy te drzewa zwalili i pocięli, ani jeszcze nie należy do tych, którzy go kupili, ani nie jest nasz, chociaż leży na naszym wozie, bo jest tylko w deszczu i wietrze, tylko dla Klejnota i dla mnie, co nie śpimy. A jako że sen to jest nie-bycie, a deszcz i wiatr są było, to go nie ma. Ale wóz jest, bo gdyby stał się było, nie byłoby Addie Bundren. I Klejnot jest, więc musi być i Addie Bundren. I ja muszę zatem być, inaczej bym nie mógł wszystkiego ze siebie wyrzucić, żeby usnąć w obcym domu. Toteż jeżeli jeszcze wszystkiego ze siebie nie wyrzuciłem, należę do jestem.

Jakże często wypadło mi leżeć pod deszczem padającym na obcy dach i myśleć o domu.

-65-

CASH

Zbiłem ją na ucios.

1. Gwoździe trzymają się większej powierzchni.

2. Jedna krawędź przylega do drugiej na większej przestrzeni.

3. Woda będzie musiała się wciskać ukośnie. Woda łatwiej przesącza się pionowo albo poprzecznie.

4. Ludzie w domu dwie trzecie czasu poruszają się pionowo do ziemi. Toteż krawędzie i kąty idą pionowo. Bo

nacisk pada pionowo.

5. W łóżku, gdzie ludzie cały czas leżą poziomo, kąty i łączenia robi się po linii dłuższej, bo nacisk jest poziomy.

6. Z wyjątkiem:

7. Ciało nie jest czworokątne jak krzyżulec.

8. Magnetyzm zwierzęcy.

9. Magnetyzm zwierzęcy ludzkiego ciała układa nacisk ukośnie, toteż kąty i łączenia trumny robi się na uciós.

10. Można zauważyć na starym grobie, że ziemia osiada na uciós.

11. A w dole naturalnym osiada wokół środka, bo nacisk jest pionowy.

12. Więc ją zbiłem na uciós.

13. Praca jest porządniej wykonana.

-66-

VARDAMAN

Moja matka jest rybą.

-67-

Kiedy wróciłem z mułami doktora uwiązanymi z tyłu wozu, była dziesiąta. Bryczkę doktora już wyciągnęli stamtąd, gdzie ją Quick znalazł do góry kołami w poprzek rowu jakąś milę od źródła. Stała ściągnięta z drogi, przy źródle, gdzie się już zebrało kilkanaście wozów. To Quick ją znalazł. Powiedział, że rzeka wezbrała i wciąż się podnosi. Powiedział, że podniosła się już nad najwyższy znak wysokiej wody, jaki oglądał na słupie mostu.

- Ten most nie strzyma wielkiej wody - mówię. - Czy któryś z was powiedział o tym Anse'owi?

- Mówiłem mu - Quick na to. - Powiada, że myśli, że jego chłopaki już się dowiedzieli, wyładowali i do tego czasu już są w drodze z powrotem. Powiada, że mogą ładować i przejechać.

- Lepiej by ją już pochował w New Hope - wtrąca Armstid. - To stary most. Nie żartowałbym z nim.

- Postanowił ją wieźć do Jefferson - mówi Quick.

- To niech się lepiej jak najszybciej zabiera - powiada Armstid.

Anse wychodzi do nas do drzwi. Ogolił się, ale kiepsko. Ma długie zacięcie na szczęce, jest w swoich niedzielnych spodniach i białej koszuli ze stójką zapiętą pod szyją. Koszula obciążnięta jest gładko na jego zgarbionych plecach, garb wygląda na większy niż zawsze, jak to w białej koszuli, i twarz ma też zmienioną.

-68-

Patrzy dzisiaj ludziom w oczy, z godnością, twarz ma tragiczną i opanowaną, ściska nam ręce po kolei, kiedy wchodzimy na ganek i wycieramy buty, trochę sztywni w świątecznych ubraniach, które szeleszczą, i nie patrzymy mu w twarz, kiedy nas wita.

- Pan Bóg dał - powiadamy.

- Pan Bóg dał.

Nie ma tego chłopaka. Peabody powiedział, jak to on wszedł do kuchni, kłął, ciskał się i rzucał na Corę, kiedy zobaczył, że ona gotuje tę rybę, i jak Dewey Dell zaprowadziła go do stodoły.

- Moje muły w porządku? - pyta Peabody.

- W porządku - mówię mu. - Nakarmiłem je dziś rano. I bryczka chyba w porządku. Cała.

-I nie ma winnego - powiada. - Dałbym pięć centów, żeby się dowiedzieć, gdzie był ten chłopak, kiedy muły się zerwały.

- Jak się coś złamało, zreperuję - mówię.

Kobiety wchodzą do domu. Słyszemy, jak gadają i wachlują się. Wachlarze szeleszczą szu, szu, szu, a one gadają, i to gadanie słycać jak brzęczenie much w wiadrze z wodą. Mężczyźni zatrzymują się na ganku, mówią parę słów i nie patrzą jeden na drugiego.

- Się masz, Vernon - mówią. - Się masz, Tull.

- Wygląda, jakby miało jeszcze padać.

- W rzeczy samej.

- Owszem, panie tego. Jeszcze popada.
- Szybko się zebrało.
- I nie zaraz przejdzie. Bez ochyby.

Idę na tył domu. Cash zatyka dziury, które tamten wyświ-drował we wieku. Struga po jednym kołku, drewno jest mokre i odporne. Mógłby pociąć blaszaną puszkę i załatać dziury i nikt by nie widział różnicy, w każdym razie nikt by nie miał pretensji. Widziałem kiedyś, jak przez godzinę strugał klin, jakby pracował w szkło, kiedy starczyłoby mu się rozejrzeć wokoło siebie, a mógłby zebrać kilka szczap i wcisnąć je zamiast klina.

-69-

Kończymy i wracam przed dom. Mężczyźni odeszli trochę od ganku, posiadali na brzeżkach desek i na kozłach, tam, gdzie-żeśmy ją robili zeszłej nocy. Jedni siedzą, inni przykucnęli na piętach. Whitfield jeszcze nie przyjechał.

Spoglądają na mnie z pytaniem w oczach.

- Już zaraz - powiadam. - Już może przybijać.

Kiedy wstają, Anse podchodzi do drzwi, patrzy na nas i wracamy na ganek. Znów wycieramy nogi, dokładnie, puszczając jeden drugiego przodem i kotłując się trochę w drzwiach. Anse stoi tuż za drzwiami godny i opanowany. Pokazuje nam ręką drogę i prowadzi do izby.

Położyli ją w niej na odwrót. Cash zrobił ją w kształcie zegara, o tak, wszystkie kąty i krawędzie zbite na ucios i wygładzone heblem, jest szczelna jak bęben i schludna jak koszycek do szycia, i położyli ją w niej głową w nogach, żeby się spódnica nie zgmiotła. Była w swojej ślubnej sukni z szeroką spódnicą, więc położyli ją głową w nogach, żeby rozpostrzeć spódnicę, i zrobili jej welon z siatki przeciw komarom, żeby nie było widać dziur w twarzy. Kiedy wychodzimy, zjawia się Whitfield. Wchodzi mokry i ubłocony do pasa.

- Niech Bóg ześle pociechę temu domowi - powiada. - Spóźniłem się, bo most popłynął. Zawróciłem do starego brodu i z pomocą boską puściłem konia wplaw. Niech łaska Jego spłynie na ten dom.

Wracamy na kozły i ścinki desek i siadamy albo kucamy.

- Wiedziałem, że popłynie - powiada Armstid.

- Długo już stał ten most - powiada Quick.

- Chcesz powiedzieć, że na boskiej opiece - wtrąca Wuj Billy. - Nie słyszałem, żeby ktoś tutaj przyłożył do niego młotek od dwudziestu pięciu lat.

- Jak długo on stał, Wuju Billy? - pyta Quick.

- Postawili go w... niech no sobie przypomnę... To było w roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym ósmym - powiada Wuj

-70-

Billy. - Pamiętam, bo pierwszy, co go przejechał, to był Peabody, jak jechał do mnie, kiedy Jody się rodziła.

- Gdybym jechał przez niego za każdym razem, kiedy twoja żona rodziła, już by się dawno zużył, Billy - mówi Peabody.

Z nagłą wybuchamy głośnym śmiechem i nagle znów cichniemy. Zerkamy jeden na drugiego z boczku.

- Wielu takich przez niego przechodziło, co to już więcej przez żaden most nie przejdą - powiada Houston.

- W samej rzeczy - powiada Littlejohn. - Tak to jest.

- A jedna to w żaden sposób nie przejdzie - mówi Armstid.

- Zabierze im ze trzy dni, zanim ją zawiozą do miasta. Z tydzień ich nie będzie, zanim ją zawiozą do Jefferson i wróca.

- Co też korci tego Anse'a, swoją drogą, żeby ją taszczyć do Jefferson? - powiada Houston.

- Obiecał jej - mówię. - Chciała tego. Stamtąd pochodzi. Uparła się wrócić.

- I Anse się uparł - dodaje Quick.

- Ano - mówi Wuj Billy. - To tak, jakby komuś przez całe życie co do innych rzeczy było wszystko jedno, ale uparł się na to, co wszystkim naokoło robi najwięcej kłopotu.

- Ba, jeden Pan Bóg by mógł ją teraz przeprowadzić przez rzekę

- powiada Peabody. - Anse tego nie robi.

- I widzi mi się, że On to robi - powiada Quick. - Już kawał czasu ma pieczę nad Anse'em.

- W rzeczy samej - wtrąca Littlejohn.

- Za długo, żeby teraz przestać - mówi Armstid.
 - Pan Bóg to tak jak my tu wszyscy - powiada Wuj Billy. -Już tak długo to robi, że nie może teraz przestać.
 Z domu wychodzi Cash. Włożył czystą koszulę, mokre włosy ma zaczesane gładko na czoło, lśniące i czarne, jakby wymalowane na głowie. Kuca sztywno z nami, a my mu się przypatrujemy.
 Czujesz chyba tę pogodę? - pyta Armstid. Cash nic nie gada.

-71-

- Zawsze się czuje taką pogodę w złamanej kości - mówi Littlejohn. - Facet ze złamaną kością potrafi ją przepowiedzieć
 - To szczęście, że Cash się wywinął tylko z nogą złamaną -mówi Armstid. - Mógłby się urządzić na całe życie.
 Z jak wysoka spadłeś, Cash?
 - Mniej więcej dwadzieścia osiem stóp, cztery i pół cala -mówi Cash. Przysuwam się do niego.
 - Już to łatwo się pośliznąć na mokrych deskach - powiada Quick.
 - Paskudnie - powiadam. - Ale nie mogłeś nic poradzić.
 - To przez te cholerne baby - mówi. - Zrobiłem to dla jej równowagi. Na jej miarę i wagę.
 Jeżeli przez mokre deski ludzie upadają, zanosi się na wiele jeszcze upadków, zanim minie ta szaruga.
 - Nic na to nie mogłeś poradzić - powiadam.
 Nie moje zmartwienie, jak upadają, ja się martwię o bawełnę i kukurydzę. I doktor Peabody się nie martwi, jak upadają. Co ty na to, stary.
 W rzeczy samej. Zmyje ją z ziemi do czysta. Na to wygląda, że zawsze coś się jej przytrafia.
 Ano, przytrafia się. To dlatego coś jest warta. Gdyby się nic nie przytrafiało i każdy miał duże zbiory, myślisz, żeby była warta uprawy?
 No, niech mnie cholera, nie myślisz chyba, że lubię patrzeć, jak moją pracę zmywa z ziemi, moją znojną pracę.
 W rzeczy samej. Nikt by się nie martwił, że mu ją zmywa, jakby sam potrafił włączać deszcz.
 Kto to potrafi? Chciałbym wiedzieć, jaki ma kolor oczu. Tak. Pan Bóg ją stworzył, żeby rosła. On sam może ją zmyć z ziemi, jak uzna za stosowne.
 - Nic nie mogłeś na to poradzić - mówię.
 - To przez te cholerne baby - powiada on.
 W domu kobiety zaczynają śpiewać. Słyszymy początek pieśni i jak wzbiera, kiedy ją podejmują, wtedy wstajemy i podchodzimy do drzwi, zdejmujemy kapelusze i wypluwamy prymki.

-72-

Nie wchodzimy. Stajemy u schodków zbici w gromadkę, w bezwładnie zwieszonych rękach trzymamy przed sobą albo za plecami kapelusze, stoimy z jedną nogą wysuniętą, ze spuszczoneymi głowami, spoglądamy na boki, w dół na kapelusze w rękach i na ziemię, a od czasu do czasu na niebo i po swoich poważnych, opanowanych twarzach.
 Pieśń się kończy. Głosy rozwiewają się na głębokim niskim tonie. Zaczyna Whitfield. Ma głos większy od siebie samego. Jakby do niego nie należał. Jakby on istniał osobno i jego głos osobno i ramię w ramię każdy z nich przepływał przez bród na swoim koniu i wchodził do tego domu, jeden ubłocony, a drugi nawet nie zamoczony, tryumfalny i smutny. Ktoś w domu zaczyna płakać. Brzmi to tak, jakby oczy i głos tej kobiety zwróciły się w głąb i nasłuchiwały. Poruszamy się, zmieniamy nogę, zerkamy na siebie i udajemy, żeśmy się nie widzieli.
 Whitfield wreszcie przestaje. Znow śpiewają kobiety. W tej duchocie zdaje się, jakby ich głosy szły z góry, wylatywały razem i leciały smutnymi, kojącymi dźwiękami. Kiedy milkną, jest tak, jakby nie odleciały. Jakby się tylko ukryły w górze i wystarczy, że się poruszymy, a wyzwolimy je na nowo z powietrza naokoło, smutne i kojące. Kobiety teraz kończą i wkładamy kapelusze, ruszamy się sztywno, jakbyśmy nigdy przedtem ich nie nosili.
 Cora śpiewa jeszcze w drodze do domu. „W Bogu podpora moja i nagroda", śpiewa siedząc na wozie, z szalem na ramionach i otwartą parasolką nad głową, choć nie pada.
 - Ma już swoją - mówię. - Gdzie by nie poszła, ma już swoją nagrodę, bo uwolniła się od Anse Bundrena. -
 Leżała też w tej skrzyni trzy dni i czekała, aż Darl z Klejnotem piechotą przyjdą do domu, wezmą nowe koło i wrócą do tego rowu, w którym zostawili wóz. Bierz moje muły, Anse, powiedziałem.

Zaczekamy na nasze, on na to. Ona by tak chciała. Zawsze była akuratna.

Trzeciego dnia wrócili i załadowali ją na wóz i ruszyli, i już było za późno. Trzeba było jechać świat drogi naokoło przez most Samsona. To

-73-

dzień drogi stąd. I stamtąd jeszcze czterdzieści mil do Jefferson. Bierz moje muły, Anse.

Zaczekamy na nasze. Ona by tak chciała.

Dopiero milę od domu zobaczyliśmy go, siedział na skraju koryta. Nie słyszałem, żeby w tym korycie była kiedy jaka ryba. Ogląda się na nas, oczy ma okrągłe i spokojne, twarz brudną, trzyma kij na kolanach. A Cora jeszcze śpiewa.

- To nie dzień na ryby - powiadam. - Zabieraj się z nami, a jutro rano pierwsza rzecz pójde z tobą nad rzekę i coś złapiemy.

- Jedna tu jest - powiada. - Dewey Dell ją widziała.

- Zabieraj się z nami. Najlepsza jest rzeka.

- Jest tutaj - powiada. - Dewey Dell widziała. A Cora śpiewa.

- „W Bogu podpora moja i nagroda”.

DARL

To nie konia straciłeś, Klejnot - mówię.

Siedzi na siedzeniu wyprostowany, trochę pochylony do przodu, jakby kij połknął. Rondo kapelusza w dwóch miejscach mu się odkleiło i opada na tę drewnianą twarz, tak że kiedy opuści głowę, wygląda przez szparę jak przez przyłbicę hełmu i patrzy przez dolinę w tę stronę, gdzie stoi przyklepiona do urwiska stodoła, a w niej niewidoczny koń.

- To popatrz - mówię. Wysoko nad domem wiszą zacieśniającymi się kręgami na mknącym, gęstym niebie.

Stąd są nie większe jak plamki, nieubłagane, cierpliwe, złowieszcze. - Ale to nie konia straciłeś.

- Niech cię cholera - powiada. - Niech cię cholera.

Nie mogę kochać swojej matki, bo nie mam matki. Matka Klejnota to koń.

Nieruchome, wysokie sępy kołują w górę, na tle chmur, jakby się cofały.

Nieruchomy, sztywny jak kij i z drewnianą twarzą, leci na konia sztywno jak jastrząb zawieszony na skrzydłach. Czekają na nas, gotowi na jej wyprowadzenie, czekają na niego. Wchodzi do boksu i czeka, aż koń wierzgnie, żeby się prześliznąć mimo, wleźć na żłób i zatrzymać się, i wyrzeć nad przegrodami boksów na pustą ścieżkę, a potem sięga do sąsiaka.

- Niech go cholera, niech go.

-75-

CASH

Nie ma równowagi. Jak chcecie ją taszczyć i wieźć z równowagą, będziemy musieli...

- Podnoś. Niechże cię, dźwigaj.

- Mówię ci, że nie powiezie i nie pojedzie, nie stanie równo, jak nie...

- W górę ją! Dźwigaj, ty cholerny zatkany kulfonie, w górę

ją!

Nie ma równowagi. Jak chcą, żeby leżała i jechała w równowadze, to muszą...

-76-

DARL

Schyla się nad nią razem z nami, dwie z naszych ośmiu rąk. Krew falami zalewa mu twarz. Między jedną falą a drugą ciało ma zielonkawe jak gładka, gęsta bladozielona papka przeżutego przez krowę pokarmu, twarz szaloną, jakby się dławił, zęby na wierzchu.

- Dźwigaj! - powiada. - W górę ją, ty cholerny zatkany kulfonie!

- Dźwiga i tak gwałtownie unosi cały jeden koniec, że wszyscy szarpiemy w górę, żeby nam nie wymknęła się z rąk i żeby złapać równowagę, zanim ją zupełnie wywróci. Opiera się chwilę, jakby rozmyślnie, jakby jej suche jak kij ciało tam w środku, choć martwe, z furią czepiało się jakichś względów przyzwoitości, jakby się starało ukryć zbrudzoną część ubrania, którą jej ciało skalało wbrew jej woli. A potem nagle się odrywa od ziemi i podnosi, jakby wycięnczenie ciała dodało lotności tym deskom albo jakby zrozumiała, że tę część odzieży chcą z niej zerwać, i rzuciła się za nią w jakimś przewrotnym porywie, co działa przeciw własnemu pragnieniu i potrzebie. Twarz Klejnota już zupełnie zielenieje i w jego oddechu słyszę zwierające się zęby. Taszczymy ją przez sień, szuramy niezręcznie stopami po podłodze, nie odrywając nóg, i wynosimy za drzwi.

-77-

- Przytrzymajcie no chwilę - powiada tata i puszcza. Odwraca się, żeby zamknąć na kłódkę drzwi, ale Klejnot nie czeka.

- Dalej - mówi tym zdławionym głosem. - Dalej.

Znosimy ją ostrożnie po schodkach. Posuwamy się trzymając ją w równowadze, jakby była czymś drogocennym, odwracamy twarze i oddychamy przez zęby, żeby nie wciągnąć powietrza nosem. Wchodzimy na ścieżkę, która zaraz skręca w dół z boku.

- Lepiej poczekajmy - powiada Cash. - Mówię wam, nie ma równowagi. Ktoś nam jeszcze musi pomóc na zboczu.

- No to puszcza - mówi Klejnot. Ten się nie zatrzyma. Cash już nie nadąza, kuśtyka szybko, żeby dotrzymać kroku, oddycha chrapliwie i zaraz zostaje za nami, i przedni koniec Klejnot już niesie sam jeden, tak że kiedy ścieżka wbiega na pochyłość, mój koniec zaczyna mi uciekać, umykać i zjeżdżać jak sanie na niewidocznym śniegu, ześlizgując się z miejsca, gdzie jeszcze zostało wrażenie jego obecności.

- Zaczekaj, Klejnot - powiadam. Ale ten nie zaczeka. Już prawie biegnie i Cash został z tyłu. Wydaje mi się, że ten koniec, który teraz niosę sam, nic nie waży, jakby był przycumowany niby umykająca słomka do szalonego przyływu rozpaczy Klejnota. Nawet nie dotykam trumny, kiedy on uskakuje, przepuszcza rozhuśtaną trumnę, a potem ją łapie, tym samym jeszcze ruchem wrzuca do skrzyni wozu i ogląda się na mnie, a twarz mu zalewają wściekłość i rozpacz.

- Niech cię cholera. Niech cię cholera.

-78-

VARDAMAN

Jedziemy do miasta. Dewey Dell powiada, że jej nie dostaniemy w sklepie, bo jest u świętego Mikołaja i on zabrał ją ze sobą aż do przyszłego Bożego Narodzenia. Wtedy znów będzie stała za szkłem, błyszczała i czekała.

Tata i Cash schodzą już na dół, ale Klejnot idzie do stodoły.

- Klejnot - mówi tata. Klejnot się nie zatrzymuje. - Gdzie idziesz? - mówi tata. Ale Klejnot nie staje. - Zostawisz

tego konia tutaj - powiada tata. Klejnot staje i patrzy na tatę. Oczy Klejnota wyglądają jak szklane kulki. -

Zostawisz tego konia tutaj - powiada tata. - Wszyscy pojedziemy na wozie, z mamą, tak jak chciała.

Ale moja matka jest rybą. Vernon ją widział. Był przy tym.

- Matka Klejnota to koń - mówi Darl.

- Ty, Darl, to moja może być rybą, co? - pytam. Klejnot to mój brat.

- To moja też musiałaby być koniem - mówię.

- Dlaczego? - pyta Darl. - Jeżeli twoim tatą jest tata, to twoja mama wcale nie musi być koniem dlatego, że Klejnota mama to koń.

- Nie musi? - pytam. - Dlaczego nie musi? Darl to mój brat.

- To czym jest twoja mama, Darl? - pytam.

-79-

- Nie mam mamy - mówi Darl. - Jak miałem, to teraz nie mam. I co było, to nie jest. No nie?

- Nie - powiadam.

- To i ja nie jestem - powiada Darl. - No nie?

- No tak - powiadam.

Ja jestem. Darl to mój brat.

- Ale ty jesteś, Darl - mówię.

- Wiem - powiada Darl. - To nie to samo, co jest. To już za dużo rodzenia jak na jedną kobietę.

Cash trzyma swoją skrzynkę z narzędziami. Tata patrzy na niego.

- W powrotnej drodze wysiądę u Tulla - mówi Cash. - Wezmę się do tego dachu na stodole.

- To nie przystoi - mówi tata. - To umyślne lekceważenie jej i mnie.

- Chcesz, żeby wracał do domu i taki kawał drogi taszczył je do Tulla na piechotę? - powiada Darl. Tata patrzy na Darla, mlamle gębą. Tata co dzień się teraz goli, bo moja matka to ryba.

- To nie jest w porządku - powiada tata.

Dewey Dell trzyma w ręku paczkę. Ma też w koszu obiad dla nas.

- Co to? - pyta tata.

- Placki pani Tull - mówi Dewey Dell i wsiada na wóz. - Wiozę je za nią do miasta.

- To nie jest w porządku - mówi tata. - To lekceważenie zmarłych.

Będzie tam. Będzie na przyszłe Boże Narodzenie, powiada Dewey Dell. Błyszcząca na szynach. Powiada, że on jej nie sprzeda żadnemu z miastowych chłopaków.

DARL

Klejnot nie zatrzymuje się, idzie w stronę stodoły, wchodzi w obejście z karkiem sztywnym, jakby połknął kij.

Dewey Dell trzyma w jednym ręku kosz, w drugim czworokątną paczkę owiniętą w gazety. Twarz ma spokojną i obrzmiałą, oczy zamyślane i czujne, prawie widać w nich plecy doktora Peabody jak dwa okrągłe groszki w dwóch napastkach; może w tych plecach doktora siedzą dwa takie robaczki, co to się w ukryciu cierpliwie przegryzają przez człowieka i wylazą z drugiej strony, i człowiek budzi się wtedy czy to ze snu, czy z jawy z tym nagłym napięciem i skupieniem na twarzy. Stawia koszyk na wóz i sama wchodzi, spod coraz ciaśniej szej sukienki wysuwa się jej długa noga: ta dźwignia, która porusza świat; suwmiarka do mierzenia długości i szerokości życia. Siada obok Vardamana i kładzie paczkę na kolanach.

Klejnot już wchodzi do stodoły. Ani się obejrzał.

- To nie jest w porządku - mówi tata. - Tyle mógłbyś dla niej zrobić.

- Ruszajmy - powiada Cash. - Niech zostanie, jak chce. Tu będzie na miejscu. Może pojechać do Tulla i posiedzieć u nich.

- Dopędzi nas - mówię. - Pojedzie na przelaj i dopędzi nas na dróżce za Tullem.

-81-

- I pojechałby na tym swoim koniu - powiada tata. - Gdybym mu nie kazał zostać. Cholerny pstrokacz dzikszy od rysia. Umyślne lekceważenie jej i mnie.

Wóz rusza, uszy mułów zaczynają podrygiwać. A tamte za nami, nad domem, nieruchomo zawisłe w coraz wyższych kręgach, stają się coraz mniejsze i znikają.

-82-

ANSE

Mówiłem mu, żeby nie jechał na tym koniu przez wzgląd na nieboszczkę matkę, bo nieprzystojnie by to wyglądało, jakby paradował na tym cholernym cyrkowcu, kiedy ona chciała, żebyśmy wszyscy jechali z nią w wozie, wszyscy krew z jej krwi i kość z jej kości, ale ledwieśmy przejechali przez dróżkę za Tullem, a Darl wybucha śmiechem. Siedzi z tyłu na desce położonej w poprzek wozu, z nieboszczką matką u swoich stóp, i śmieje się. Ile razy mu mówiłem, że właśnie takie sprawki dają ludziom powód do gadania, sam już nie wiem. Powiadam mu, że ja jeszcze zważam na to, co ludzie mówią o moich, choć ty już nie zważasz, choć się dochowałem takich cholernych nicponi i kiedy się tak zachowujesz, że ludzie różne rzeczy mogą o tobie gadać, to uderza w twoją matkę, nie we mnie: ja jestem chłop i mnie to nie szkodzi, to uderza w kobiety, w matkę i siostrę, a nimi się powinieneś opiekować, i odwracam się, i patrzę na niego, a on tam siedzi i się śmieje.

- Nie czekam od ciebie szacunku - powiadam. - Ale żeby przy matce, co jeszcze w trumnie nie ostygła.

- O tam - powiada Cash i pokazuje głową na dróżkę. Koń jest jeszcze dobry kawał drogi za nami i dobrze

idzie, ale nie trzeba mi mówić, kto jedzie na nim. Oglądam się tylko na Darla, a on siedzi i się śmieje.

-83-

- Zrobiłem co mogłem - powiadam. - Staralem się, żeby wszystko było, jakby ona chciała. Pan Bóg mi odpuści i wybaczy zachowanie tych, co mi zesłał.

A Darl siedzi na tej desce tuż nad nią i śmieje się.

-84-

DARL.

Jedzie dróżką szybko, ale jużemy ujechali od jej wylotu trzysta jardów, zanim skreślił na drogę; błoto fruwa spod migocących w pędzie kopyt. Potem trochę zwalnia, siedzi w siodle prosto i lekko, koń kapryśnie wybiera drogę w błocie.

Tull jest w swoim obejściu. Spogląda na nas i podnosi rękę. Jedziemy dalej, błoto syczy po kołach. Vernon wciąż stoi. Przygląda się mijającemu go Klejnotowi, koń idzie lekkim posuwistym krokiem, podnosi kolana wysoko, trzysta jardów za nami. Wóz toczy się tak usypiająco, tak sennie, że ruch już nie kojarzy się z posuwaniem, jakby między nami a koniem zmniejszał się czas, a nie przestrzeń.

Droga zakręca pod kątem prostym, koleiny z zeszłej niedzieli już się zabiżniły, gładka różowa szrama skręca między sosny, biała tabliczka ze zblakłym napisem: Kościół New Hope - 3 mile. Wykręcona w górę jak nieruchoma ręka nad pustynną głębią oceanu, za nią czerwona droga leży jak szprycha, dla której obwodem jest Addie Bundren. Droga przetacza się wstecz, pusta, czysta, biała tablica obraca blaknącą i spokojną nazwę. Cash spokojnie patrzy na tę drogę, głowę obraca jak sowa, kiedy ją mijamy, twarz ma opanowaną. Tata, zgarbiony, patrzy prosto przed siebie. Dewey Dell też patrzy na tę drogę, a potem ogląda się na mnie, w oczach ma czujność i zaprzeczenie, nie to pytanie, które przez palącą chwilę było w oczach Casha. Tabliczka

-85-

na drodze odpywa do tyłu, toczy się wstecz ta nietknięta droga. Dewey Dell odwraca głowę. Wóz skrzypi dalej. Cash spluwa za kołem.

- Za dzień, dwa zacnie śmierdziec - powiada.

- Możesz to Klejnotowi powiedzieć - mówię.

Ten teraz stoi w miejscu, zatrzymał konia na rozdrożu, siedzi wyprostowany i patrzy za nami, nieruchomy tak samo jak tabliczka, która unosi przy nim blaknący napis.

- Nie jest dobrze ustawiona jak na dłuższą drogę - powiada Cash.

- I to jemu powiedz - mówię. Wóz skrzypi dalej.

Milę dalej mija nas, koń ma szyję wygiętą w łuk, ściągnięty idzie ni to kłusem, ni krótkim galopem. Klejnot siedzi na nim lekko, zgrabnie, prosto, twarz ma drewnianą, rozerwany kapelusz chwiejnie przekrzywiony na głowie. Mija nas szybko, nie patrzy, koń prze do przodu, kopyta syczą mu po błocie. Spod kopyt pryska do tyłu i chlapie na trumnę plama błota. Cash nachyla się, wyjmując ze swojej skrzynki jakieś narzędzie i starannie ją usuwa. Kiedy droga przechodzi przez Whiteleaf, gdzie nisko nachylają się nad nią wierzby, ułamuje gałązkę i wyciera plamę mokrymi liśćmi.

-86-

ANSE

Ciężko człowiekowi na tej ziemi. Ciężko. Osiem mil ludzkiego potu wymyte z ziemi, w którą Pan Bóg mu kazał lać ten pot. Żadnej korzyści nie ma na tym świecie uczciwy, ciężko harujący człowiek. Korzyść jest dla tych, co prowadzą sklepy w miastach, bez wysiłku, kosztem tych, co harują w pocie czoła. Nie dla zaharowanego farmera. Czasem to się dziwię, dlaczego tego nie rzucamy. A to dlatego, że czeka na nas nagroda w niebie, dokąd żadnych motorów ani takich tam człowiek nie zabierze. Wszyscy tam będą równi i Pan Bóg odbierze tym, co mają, a da tym, co nie mają.

Ale dłuży się to czekanie. Niedobrze, że człowiek na nagrodę za swoje uczciwe życie musi zarabiać poniewieraniem siebie i swoich umarłych. Jechaliśmy cały ten dzień aż do końca, dojechaliśmy do Samsona o

zmroku, a już i ten most zniosło. Tak wysokiej wody nikt nie pamięta, a jeszcze padało. Najstarszy człowiek ani widział, ani słyszał, żeby tak kiedy było za ludzkiej pamięci. Pan Bóg mnie wybrał, bo tych, których miłuje, doświadcza. Ale niech mnie cholera, coś mi się widzi, że dziwne wybiera sposoby, żeby to okazać. Ale teraz mogę wstawić te zęby. To mi będzie pociechą. A jakże.

-87-

SAMSON

Było tuż przed zachodem. Siedzimy na ganku, a tu drogą nadjeżdża wóz, na nim ich pięcioro, a za wozem jeszcze jeden na koniu. Któreś podniosło rękę, ale przejechali przed sklepem i nie zatrzymali się.

- Kto to? - pyta MacCallum; nie mogę sobie przypomnieć jego imienia: bliźniaczy brat Rafe'a, on to był.

- To Bundren z za New Hope - powiada Quick. - To na jednym z tych koni Snopesa jedzie Klejnot.

- Nie wiedziałem, że jeszcze został któryś z tych koni - powiada MacCallum. - Myślałem, że się wam na koniec udało wszystkich pozbyć.

- Spróbuj tego złapać - powiada Quick. Wóz już przejechał.

- Założę się, że stary Lon wcale mu go nie dał - mówię.

- Bo i nie - mówi Quick. - Kupił go od taty. - Wóz odjechał. - Musieli nie słyszeć o moście - mówi.

- A swoją drogą, co oni tu robią? - pyta MacCallum.

- Chyba zrobili sobie święto, odkąd żonę do grobu złożył - powiada Quick. - Do miasta jadą chyba, a most Tulla też poszedł. Że też nie słyszeli o naszym moście.

- To przefrunąć będą musieli - mówię. - Coś mi się nie zdaje, żeby był jaki most stąd aż po ujście Ishatawa.

Coś tam wieźli na wozie. Ale Quick trzy dni temu był na pogrzebie i naturalnie wcaleśmy nic o tym nie pomyśleli, tylko

-88-

tyle, że już dobrze późno i że już daleko odjechali od domu, i nie słyszeli o tym moście.

- Lepiej krzyknij na nich - mówi MacCallum.

Niech to cholera/mam to imię na końcu języka. Ale MacCallum już krzyczy, oni się zatrzymują, a on idzie do wozu i im mówi.

Wraca razem z nimi.

- Jadą do Jefferson - powiada. - Most obok Tulla też zniosło. Jakbyśmy nie wiedzieli, i twarz miał dziwną tak koło nosa,

a ci tylko tam siedzą, Bundren, dziewczyna i chłopak na siedzeniu, a Cash i ten drugi, ten, o którym ludzie gadają, na desce przełożonej z tyłu przez wóz, a tamten na tym pstrokatym koniu. Ale oni chyba już przywykli do tego czasu, bo kiedy powiedziałem Cashowi, że będą musieli jechać z powrotem przez New Hope, i kiedy im radziłem, co mają robić, on powiada tylko:

- Chyba się tam dostaniemy.

Nie bardzo lubię się wtrącać. Niech każdy patrzy swego, jak przystoi, mówię. Ale kiedy pogadałem z Rachelą o tym, jak to nie mieli specjalisty, co by się nią zajął, i to w lipcu, i w ogóle, to idę ja do stodoły i próbuję dogadać się z Bundrenem.

- Obiecałem jej - on na to. - O niczym innym nie chciała słuchać.

Widzę, że trzeba na to leniwego chłopca, takiego, co nie cierpi ruszać się z miejsca, żeby się już nie zatrzymał, jak raz ruszy, tak jak się kiedyś nie ruszał, jakby nie tyle nie cierpiał się ruszać, co wyruszać albo się zatrzymywać. I jakby był dumny z tego, jak się coś zdarzy, że to ruszanie się czy siedzenie na miejscu wygląda na trudne. Siedzi zgarbiony na wozie, mruga i słucha, jak opowiadamy, jak szybko ten most zniosło i jaka wysoka była woda, i niech mnie cholera, tak się zachowuje, jakby się tym pysznił, jakby to była jego zasługa, że rzeka wylała.

- Powiadasz, żeś jeszcze nie oglądał takiej wody? - mówi. - Wola Boska. I chyba bardzo do rana nie opadnie.

- Lepiej zostańcie przez noc - mówię - i wcześniej rano ruszajcie na New Hope.

-89-

Zwyczajnie, żal mi było tych zbiedzonych mułów. Powiedziałem Racheli.

- No - mówię. - Chciałabyś, żebym ich wyganiał po nocy, osiem mil od domu? Cóż mogę zrobić - powiadam. - To tylko jedna noc, przetrzymamy nieboszczkę w stodole i jak nic wyruszą o świcie. - Toteż mówię: - Zostańcie u mnie na noc, a wcześniej rano możecie ruszać na New Hope. Mam dosyć łopat i chłopaki zaraz po kolacji mogą się wziąć do roboty i wykopać go, jak zechcą - i wtedy widzę, że ta dziewczyna mi się przygląda. Gdyby mogła zabijać tymi oczami, już bym tu z wami nie gadał. Łzę jak pies, jeśli mnie nie przepalały na wylot. I tak, kiedy zeszedłem do stodoły, przyłapałem ich na gadaniu, ona mówiła i nie widziała wcale, że tam jestem. - Obiecałeś jej - powiada. - Nie mogła skonać, zanim jej obiecałeś. Myślała, że może na tobie polegać. Jak tego nie zrobisz, przekleństwo spadnie na twoją głowę. - Nikt nie powie, że nie chcę dotrzymać słowa - powiada Bundren. - Wszyscy widzą. - Nie obchodzi mnie, co tam wszyscy widzą - powiada ona. I szepcze jakby, bardzo szybko: - Obiecałeś jej. Musisz. Ty...

Wtedy mnie zobaczyła i urwała, i stoi. Gdyby mogła nimi strzelać, już bym z wami nie gadał. Więc mówię ja mu swoje, a on na to:

- Dałem jej słowo. Ona tego chce.
- Zdawałoby się, że będzie wolała matkę pochować gdzieś blisko, żeby mogła...
- To Addie obiecałem - powiada. - Tego ona chce.

Więc im powiedziałem, żeby wóz wprowadzili do stodoły, bo znów się zanosilo na deszcz, i że kolacja już prawie gotowa. Tylko że nie chcieli wchodzić.

- Dziękuję wam - powiada Bundren. - Nie będziemy wam robić kłopotu. Mamy tam coś w koszu. Poradzimy sobie.

- No - powiadam. - Skoroś taki skrupulant, jak idzie o twoje kobity, i ja nie gorszy. A kiedy kto się u nas zatrzymuje w czasie

-90-

posiłku i nie chce się do stołu, moja żona poczytuje to sobie za obrazę.

Więc dziewczyna poszła do kuchni pomóc Racheli. I zaraz przychodzi do mnie Klejnot.

- A jakże - powiadam. - Bierz ze stryszku. Daj mu, jak już muły nakarmisz.

- Wolałbym wam za niego zapłacić - powiada.

- A po co? - ja na to. - Nikomu nie żałuję paszy dla konia.

- Wolałbym zapłacić - powiada. Zdawało mi się, że powiedział „ekstra”.

- Ekstra za co? - pytam. - To on nie żre siana i kukurydzy?

- Ekstra pasza - powiada. - Daję mu trochę ekstra i nie chcę nic za darmo.

- U mnie, synu, nie ma na sprzedaż - powiadam. - A gdyby miał apetyt na cały zapas ze stryszku, rano ci pomogę załadować wszystko ze stodoły na wóz.

- On nigdy nikomu nic nie zawdzięczał - powiada. - Wolę wam zapłacić.

A gdybym ja robił, co wolę, w ogóle by was tu nie było, chciałem mu powiedzieć. Ale mówię tylko:

- To czas najwyższy, żeby zaczął. Ja paszy nie mam na sprzedaż.

Kiedy Rachela wstawiła kolację, poszły razem z dziewczyną i pościeliły parę łóżek. Ale żadne z nich nie chciało wejść.

- Nie dziś umarła, takie głupstwa powinny jej już przejść - powiadam.

Nie, żebym miał mniej szacunku dla nieboszczki niż inni, ale szacunek szacunkiem, a kobiecie, co już cztery dni leży w trumnie, najlepiej można go okazać, jak się ją jak najprędzej pochowa. Ale oni ani słuchać o tym nie chcą.

- Nie przystoi - powiada Bundren. - Jasne, jak chłopaki chcą iść spać, to chyba ja przy niej posiedzę. Nie odmówię jej tego.

Więc kiedy tam znowu zaszedłem, wszyscy siedzieli w kucki koło wozu.

91

- Bodaj ten mały niech idzie do domu się przespać - powiadam. - I ty lepiej chodź - mówię do dziewczyny. Nie miałem zamiaru się wtrącać. I Bóg mi świadkiem, pojęcia nie mam, co mogłem zrobić tej dziewczynie.

- On już śpi - powiada Bundren. Położyli go spać w pustym żłobie w boksie.
 - No, to ty chodź - mówię do niej. A ona wciąż nic. Siedzą sobie w kucki. Ledwie ich widać. - No a wy, chłopaki? - mówię. - Jutro cały dzień was czeka.

Po chwili Cash powiada:

- Dziękuję wam. Damy sobie radę.

- Nie chcemy niczyjej łaski - powiada Bundren. - Dziękuję wam pięknie.

To i poszedłem, niech sobie siedzą. Myślę, że przez te cztery dni to już się przyzwyczaili. Ale Rachela nie.

- To obraza - powiada. - Obraza.

- Co ma robić? - mówię. - Dał jej słowo.

- Kto mówi o nim? - powiada Rachela. - Kto się troszczy

o niego? - powiada i płacze. - Nic nie chcę, tylko żeby i on,

i ty, i wszyscy mężczyźni na świecie, co nas mordują żywcem i poniewierają po śmierci, i ciągną po całej okolicy...

- No, no - mówię. - Zdenerwowałaś się.

- Tylko mnie nie dotykaj! - krzyczy. - Nie dotykaj mnie!

Nic o nich człowiek nie wie. Żyję z nią jedną już piętnaście lat i niech mnie cholera, jak co wiem. I kupę rzeczy sobie wyobrażałem, ale nie to, niech mnie cholera, w głowie mi nie powstało, że nas poróżni ktoś, kto już cztery dni w trumnie leży, i to kobieta. Ale one same sobie utrudniają życie, bo nie biorą go tak, jak leci, jak mężczyźni.

Więc leżę, słyszę, że zaczyna padać, i myślę o tych tam w stodole; siedzą w kucki naokoło wozu, a deszcz bębni po dachu, i myślę o Racheli, a ona płacze obok, aż po chwili zrobiło się tak, jakbym wciąż jeszcze słyszał jej płacz, choć już usnęła, i jakbym czuł tamtą, choć wiedziałem, że nie mogę. Nawet teraz nie wiedziałem, czy mogę, czy nie mogę, a może zwyczajnie wiedziałem, że to jest to, co było.

-92-

Więc rano wcale tam nie idę. Słyszałem, jak zaprzęgają, i już wiedziałem, że są prawie gotowi do odjazdu, toteż wyszedłem od frontu i poszedłem drogą do mostu, aż słyszę, że wóz wyjeżdża z obejścia i zawraca do New Hope. A wtedy, kiedy wróciłem do domu, Rachela jak skoczy na mnie, że mnie nie było, żeby ich zawołać na śniadanie. Nic o nich nie wiadomo. Akurat kiedy nabierzesz pewności, że chcą jednego, niech mnie cholera, jak nie tylko musisz zmienić zdanie, ale jeszcze jak nic oberwiesz za to, żeś myślał, że to o to idzie. Ale wciąż jeszcze mi się zdawało, że czuję ten zapach. Więc doszedłem do przekonania, że go nie czuję, tylko wiem, że on był, jak to się czasami człowiekowi pokręci. Ale kiedy zajrzałem do stodoły, to już wiedziałem, że nie o to idzie. Kiedy wszedłem między boksy, zobaczyłem coś. Siedziało skulone i poderwało się, kiedy wszedłem, i z początku myślałem, że to któreś z nich zostało, a potem zobaczyłem, co to jest. To był sęp. Obejrzał się, zobaczył mnie i uciekł między boksami, rozkraczony. Skrzydła wygarbił, zerknął na mnie najpierw nad jednym skrzydłem, potem nad drugim, jak stary, łysy chłop. Za drzwiami poderwał się w powietrze. Długo musiał się podrywać, zanim uleciał w takim powietrzu gęstym, ciężkim i mokrym od deszczu.

Jak się uparli do Jefferson, to chyba mogli jechać naokoło przez Mount Vernon, tak jak MacCallum. Konno będzie w domu mniej więcej pojutrze. Wtedy będą mieli już tylko osiemnaście mil od miasta. Ale może to, że i ten most zniosło, już mu dało jakieś pojęcie o mądrości boskiej i rozeznanie.

Albo ten MacCallum. Już dwanaście lat ze mną handluje. Znam go od dziecka, znam go tak dobrze jak siebie. Ale, cholera, nic o nim nie wiem.

-93-

DEWEY DELL

Widać już drogowskaz. Popatruje na drogę, bo może czekać. New Hope 3 mile będzie na nim. New Hope - 3 mile. A potem droga skręci między drzewa i pusta będzie czekać i mówić: New Hope - trzy mile.

Podobno moja matka nie żyje. Szkoda, że nie miałam czasu dać jej umrzeć. Szkoda, że go nie miałam, szkoda, że nie. To dlatego, że za wcześnie, za wcześnie na tej dzikiej i sponiewieranej ziemi. Nie dlatego, żebym ja nie, żebym ja nie miała, ale dlatego, że za wcześnie, za wcześnie, za wcześnie.

Już pokazuje. New Hope - trzy mile. New Hope - 3 mile. Więc to o tym myślą, kiedy mówią łono czasu: męka i

rozpacz rozsuwających się stawów, sponiewierane wnętrzości wypadków opasane twardą obręczą. Cash powoli obraca głowę, kiedy podjeżdżamy, obraca bladą, pustą, smutną, opanowaną i pytającą twarz na czerwonym bezludnym zakręcie; za tylnym kołem Klejnot na koniu patrzy prosto przed siebie.

Ziemia znika z oczu Darla; rozplywają się w punkciki. Zaczynają od stóp i wędrują przeze mnie całą do twarzy, i jestem już bez sukienki - siedzę goła na wozie nad leniwymi mułami, nad tą boleścią. A jakbym mu powiedziała, żeby się odwrócił? Zrobi, co powiem. Nie wiecie, że robi, co powiem? Idę raz, a tu czarna przepaść pędzi pode mną. Nic nie widzę. Patrzę, Vardaman wstaje, idzie do okna i kłuje nożem w rybę, krew tryska, syczy jak para,

-94-

ale ja nic nie widzę. Zrobi, co mu każę. Zawsze robi. Na wszystko go namówię. Wiecie, że tak. A co, jak powiem, zawracaj tu. To wtedy, kiedy umarłam. A jak powiem. Pojedziemy do New Hope. Nie będziemy musieli jechać do miasta. Wstałam, wzięłam nóż z krwawiącej, jeszcze syczącej ryby i zabiłam Darla.

Raz, kiedy jeszcze spałam w jednym łóżku z Vardamanem, miałam zły sen, zdawało mi się, że nie śpię, ale ani nie widziałam, ani nie czułam łóżka pod sobą, ani nie wiedziałam, kto ja jestem, nie wiedziałam, jak się nazywam, nie wiedziałam nawet, czy jestem dziewczyną, nie wiedziałam nawet, czy to ja chcę się obudzić, ani nie wiedziałam, co się robi, jak się nie śpi, żebym mogła to robić, żebym wiedziała, że coś się dzieje, ale nawet nie wiedziałam o czasie, aż nagle coś wiedziałam, że to wiatr na mnie wieje, było tak, jakby zerwał się wiatr i zdmuchnął mnie stamtąd, gdzie nie byłam, bo wiał przez izbę, i Vardaman spał, i znów mnie tam wdmuchnął i wiał, jakby ktoś kawał chłodnego jedwabiu przeciągał mi po gołych nogach.

Od sosen wieje chłodem i nieustannym szumem. New Hope. Było 3 mile. Było 3 mile. Wierzę w Boga. Wierzę w Boga.

- Dlaczego nie jedziemy do New Hope, tata? - pyta Varda-man. - Pan Samson powiedział, że jedziemy, a drogę minęliśmy.

Darl powiada:

- Popatrz, Klejnot.

Ale nie patrzy na mnie. Patrzy na niebo. Sęp taki nieruchomy, jakby gwoździem tam przybity.

Skrećmy w drózkę za Tullem. Mijamy stodołę i nie zatrzymujemy się, koła piszczą w błocie, mijamy zielone rzędkie bawełny na dzikiej ziemi, a Vernon niedaleko na polu idzie za pługiem. Podnosi rękę, jak przejeżdżamy, i dłuższą chwilę stoi i patrzy za nami.

- Popatrz, Klejnot - mówi Darl.

Klejnot siedzi na koniu, jakby ktoś jego razem z koniem wyciął z drewna, i patrzy prosto przed siebie. Wierzę w Boga, Boga, Boga. Wierzę w Boga.

-95-

TULL

Jak przejechali, odczepiłem muła, podwiązałem łańcuchy i idę za nimi. Siedzieli na wozie na skraju tamy. Anse siedzi i patrzy na most, tam gdzie go rzeka zatopiła i widać tylko dwa końce. Tak na niego patrzył, jakby cały czas był przekonany, że go ludzie oszukują, kiedy mówią, że most zniosło, ale jakby cały czas miał nadzieję, że go jednak zniosło. Jakby miał miłą niespodziankę. Siedzi na tym wozie w niedzielnych portkach i mlamle gębą. Wygląda jak koń, co nie oglądał zgrzebla, ale wystrojony, że sam nie wiem.

Chłopak patrzył na most tam, gdzie do połowy wystawał z wody i nanosiło na niego pni i różności, i chwiał się, i trząsał, jakby to wszystko miało się lada chwila zapaść, patrzył i wytrzeszczał oczy, jakby siedział w cyrku. A jeszcze ta dziewczucha. Podchodzę, a ona ogląda się na mnie, oczy jej się żarzą i ścinają, jakbym chciał ją dotknąć. Ale zaraz popatrzyła na Anse'a z powrotem i znowu na tę wodę.

Z obu stron podeszła pod samiutką tamę, ziemi nie widać, tylko jęczyczek, co my na nim, szedł do mostu i w dół do wody, i gdybyśmy nie wiedzieli, jak kiedyś ta droga i most wyglądały, nikt by nie powiedział, gdzie się kończy rzeka, a zaczyna brzeg. Jeden żółty odmęt, a tama jakby nie szersza od ostrza noża, a my: tamci na wozie, jeden na koniu i ja na mule.

-96-

Darl patrzy na mnie, a potem i Cash się odwraca i patrzy tak, jak tej nocy, co to sobie kalkulował, czy ona się zmieści w tych deskach, jakby je w duchu wymierzał i nikogo nie pytał, co myśli, i nawet nikomu nie pozwalał myśleć, że słucha, jak się mówi, ale słuchał. Klejnot ani drgnie. Siedzi na tym koniu, pochylony trochę do przodu, i tak samo wygląda na twarzy, jak wtedy, kiedy razem z Darlem przejeżdżali koło mnie wracając po nią.

- Gdyby to stał, moglibyśmy przejechać - powiada Anse. - Moglibyśmy sobie prosto przez niego przejechać.

Od czasu do czasu woda przepchnie jakąś kłodę przez tę płataninę i pień odpływa, okręca się i obraca, i widzimy go, aż dopływa do tego miejsca, gdzie dawniej był bród. Zwalnia, okręca się w poprzek, przez minutę wystaje z wody, i z tego widać, że tam był bród.

- Ale to niczego nie dowodzi - powiadam. - Tam się mogła usypać ławica ruchomego piasku.

Patrzemy na kłodę. I znów ta dziewczucha na mnie patrzy.

- Pan Whitfield przejechał - powiada.

- Jechał na koniu - mówię. - I trzy dni temu. Od tej pory podniosła się o pięć stóp.

- Gdyby tylko stał ten most - powiada Anse.

Pień wyskakuje w górę i znów płynie. Pełno śmiecia i piany i słycać wodę.

- Ale go zniosło - powiada Anse. Cash mówi:

- Ktoś ostrożny toby tu przeszedł po deskach i kłodach.

- Ale nic nie przeniesie - mówię. - I też może być, że jakby dotknąć tej ruiny nogą, wszystko się rozwali. Co ty na to, Darl?

Patrzy na mnie. Nic nie mówi, tylko na mnie patrzy tymi niesamowitymi oczami, co to przez nie ludzie gadają. Zawsze mówię, że to nie tyle idzie o to, co by mówił czy robił, nie tyle o to tam idzie, ile o to, jak on patrzy na człowieka. Tak, jakby jakimś sposobem wlaził człowiekowi do wnętrza. Jakoś tak, jakby człowiek jego oczami patrzył na siebie i na to, co robi. I zaraz

-97-

znowu czuję, że ta dziewczucha patrzy na mnie, jakbym próbował ją dotknąć. Mówi coś do Anse'a.

- ... pan Whitfield... - mówi.

- Przynależem jej na Boga - powiada Anse. - To chyba nie ma co się martwić.

Ale wciąż nie pogania mułów. Stoimy nad wodą. Inna kłoda wyskakuje nad tę płataninę i odpływa; patrzemy, jak się zatrzymuje i wolno, z minutę obraca tam, gdzie kiedyś był bród. I płynie dalej.

- Dziś w nocy może zacznie opadać - mówię. - Możesz jeszcze poczekać dzień.

Wtedy Klejnot odwraca się na tym swoim koniu. Do tej pory się nie ruszał, teraz odwraca się do mnie. Twarz ma jakąś zieloną, nagle mu czerwienieje i znów robi się zielona.

- Wracaj, u diabła, do swojej zaszranego orki - mówi. - Kto, do cholery, prosił cię tu za nami?

- Ja bez złej myśli - mówię.

- Zamknij się, Klejnot - powiada Cash. Klejnot z powrotem odwraca się do rzeki, z zaciśniętymi zębami, czerwienieje, robi się zielony i znowu czerwienieje. - No - mówi po chwili Cash - co zamyślasz?

Anse nic nie mówi. Siedzi zgarbiony, mlamle gębą.

- Gdyby tylko stał, moglibyśmy przejechać - powiada.

- Ruszamy - mówi Klejnot i rusza na koniu.

- Czekaj - mówi Cash. Patrzy na most. My, oprócz dziewczyny i Anse'a, patrzemy na Casha. Anse i

dziewczyna patrzą na wodę. - Lepiej jak Dewey Dell, Vardaman i tata przejdą osobno przez most - mówi Cash.

- Vernon może im pomóc - powiada Klejnot. - A jego muła możemy przyczepić przed naszymi.

- Nie weźmiecie mojego muła do tej wody - powiadam. Klejnot spogląda na mnie. Oczy ma jak kawałki rozbitego

talerza.

- Zapłacę ci za tego cholernego muła. Kupię go od ciebie zaraz teraz.

-98-

- Mój muł nie wlezie do tej wody - mówię.

- Klejnot da swojego konia - powiada Darl. - Dlaczego byś miał ty, Vernon, nie zaryzykować swojego muła?

- Zamknij się, Darl - powiada Cash. - I ty, i Klejnot.

- Mój muł nie włązi do tej wody - mówię.

-99-

DARL

Siedzi na koniu i wysłepia się na Vernona, tę chudą gębę ma czerwoną aż po białe i nieruchome oczy i nad nimi. Tego lata, kiedy skończył piętnaście lat, miał napad śpiączki. Wyszedłem rano dać paszy mułom, a tu krowy jeszcze uwiązane, i zaraz usłyszałem, że tata wraca do domu i go woła. Kiedyśmy wrócili do domu na śniadanie, przechodzi ten koło nas z wiadrami mleka i potyka się jak pijany. Doił, kiedyśmy zaprzęgali i pojechaliśmy na pole bez niego. Jesteśmy już tam z godzinę, a ten wciąż się nie pokazuje. Kiedy Dewey Dell przyniosła nam obiad, tata kazał jej wracać i poszukać Klejnota. Znalazła go w oborze, siedział na stołku i spał. Potem co rano tata szedł i go budził. Zasypiał przy kolacji, zaraz po kolacji szedł do łóżka, a kiedy przychodziłem się kłaść, leżał jak martwy. Ale tata i tak musiał go rano budzić, wstawał, ale ledwie łąził na pół śpiący. Znosił gadanie i labidzenie taty bez słowa, brał kubły na mleko i szedł do stodoły, a raz go złapałem, jak zasnął nad krową, wiadro na miejscu i do połowy pełne, ręce trzyma w mleku po przeguby, a głowę krowie na brzuchu.

Potem to Dewey Dell musiała doić. On wciąż wstawał, jak go tata budził, i taki zacadzony zabierał się do tego, cośmy mu kazali robić. Jakby bardzo się starał we wszystkim, że to niby on też nie wie, w czym rzecz, jak i my.

-100-

- Chory jesteś? - pyta mama. - Nie czujesz się dobrze?

- Nie - mówi Klejnot. - Nic mi nie jest. ,

- On tylko ma lenia, mnie na złość - powiada tata, a Klejnot stojący śpi jak nic. - Może nie? - powiada tata i znowu go budzi, żeby mu odpowiedział.

- Nie - mówi Klejnot.

- To nie chodź dziś do roboty, zostań w domu - powiada mama.

- Przy tej całej robocie na porzeczcu? - powiada tata. - Jakiś nie chory, to co ci jest?

- Nic - mówi Klejnot. - Nic mi nie jest.

- Nic? - powiada tata. - W tej chwili śpisz na stojąco.

- Nie - mówi Klejnot. - Nic mi nie jest.

- A ja chcę, żeby dziś został w domu - powiada mama.

- Będzie mi potrzebny - mówi tata. - Bo choć i nikogo nie brak, musimy się zwijać z robotą.

- To musisz zrobić, co się da, z samym Cashem i Darlem - powiada mama. - Dziś on ma zostać w domu.

Ale gdzie by on został. - Nic mi nie jest - powiedział i poszedł. Coś mu jednak było. Wszyscy to widzieli.

Chudł i wiedziałem, że zasypia przy kopaniu, patrzyłem, jak motyka podnosi się i opada coraz to wolniej, z coraz mniejszym zamachem, aż ustawała, a on się na niej opierał bez ruchu w drgającym upale.

Mama chciała sprowadzić doktora, ale tata był przeciwny wydawaniu pieniędzy na darmo i Klejnot wydawał się zdrowy, gdyby nie ta chudość i to, że zasypiał co chwila. Zjeść mógł, tyle że usypiał nad talerzem z kromką chleba w połowie drogi do ust, nawet nie przestawał żuć. Ale przysięgał, że nic mu nie jest.

To mama zagoniła Dewey Dell do dojenia, jakoś jej zapłaciła, a do innych robót koło domu, które Klejnot załatwiał przed kolacją, w jakiś sposób zaprzęgała Dewey Dell i Vardamana. Albo sama je wykonywała, kiedy ojca nie było. Gotowała mu smakołyki i chowała dla niego. I może to wtedy pierwszy raz zobaczyłem, że Addie Bundren zdolna jest coś ukrywać, ona, co starała się nas nauczyć, że oszustwo należy do takich rzeczy, że już

-101-

od nich nic nie może być gorsze czy ważniejsze, nawet nędza. I zdarzało się, że przychodziłem do domu spać, a ona siedziała po ciemku przy Klejnocie, kiedy spał. I wiedziałem, że sama sobą pogardza za to oszustwo i że pogardza Klejnotem, dlatego że nie może przestać go kochać i musi popełniać oszustwo.

Jednej nocy rozchorowała się i kiedy poszedłem do stodoły zaprzęgać, żeby jechać do Tullów, nie mogłem znaleźć latarni. Pamiętałem, że wieczorem widziałem ją tam na gwoździu, a teraz, w środku nocy, zniknęła. Zaprzęgłem więc po ciemku, odjechałem i tuż po świcie wróciłem z panią Tull. I latarnia już była, wisiała na tym gwoździu, co to ją widziałem na nim, a przedtem nie mogłem jej tam znaleźć. A potem któregoś dnia rano, kiedy tuż przed wschodem słońca Dewey Dell doła, Klejnot wszedł do stodoły od strony pola, przez dziurę w ścianie od tyłu, z latarnią w ręku.

Powiedziałem Cashowi i popatrzyliśmy na siebie.

- Lata na dziewczyny - powiada Cash.

- Tak - mówię. - Ale po co mu latarnia? I do tego noc w noc. Nie dziwota, że chudnie. Powiesz mu coś?

- Na nic się to nie zda.

- I na nic się nie zda to, co teraz robi.

- Wiem. Ale on sam będzie się o tym musiał przekonać. Daj mu się samemu przekonać, że nic mu nie ucieknie, że mu starczy i na jutro i nic mu się nie stanie. Ja bym chyba nikomu nie mówił.

- Ano - powiadam. - Dewey Dell powiedziałem, żeby nie gadała. A już na pewno nie mamie.

- Tak, nie mamie.

I potem już mi się to wydawało śmieszne jak nie wiem: łąził jak błędny od tej chętki i padał z senności, i chudy był jak tyczka, i wyobrażał sobie, że wszystkich przechytrzył. Zastanawiałem się, co to za dziewczyna.

Myślałem, która by to mogła być z tych, co znałem, ale nie wiedziałem na pewno.

-102-

- To nie żadna dziewczyna - mówi Cash. - Ma gdzieś mężatkę. Młoda dziewczyna nie miałaby tyle śmiałości i wytrzymania. To mi się właśnie nie podoba w tej historii.

- Dlaczego? - powiadam. - Bezpieczniej mu z taką niż z jaką dziewczuchą. Więcej ma rozeznania.

Popatrzył na mnie i powiada, a szuka i oczami, i słowami, jak by to powiedzieć:

- Nie zawsze to, co bezpieczne, jest dla człowieka...

- Chcesz powiedzieć, że nie zawsze bezpieczne rzeczy są najlepsze?

- O, najlepsze - mówi i dalej próbuje. - Te bezpieczne, te dobre dla niego... Młody chłopak... Obrzydzenie bierze patrzeć... jak się kto tarza w cudzym gównie...

To właśnie chciał powiedzieć. Młode, twarde i bystre stworzenie zasługuje na coś trochę lepszego niż bezpieczeństwo, jako że to, co bezpieczne, należy do rzeczy, które ludzie już robią od tak dawna, że się pościerały na kantach i nic w robieniu ich nie zostało, o czym człowiek mógłby powiedzieć: Nikt tego nie dokonał przede mną i nie może zrobić po mnie.

Nic więc nie mówiliśmy, nawet kiedy po jakimś czasie zaczął nagle zjawiać się przy nas na polu i zabierać do pracy nie mając czasu iść do domu i udawać, że całą noc spędził w swoim łóżku. Mówił mamie, że nie był głodny w porze śniadania albo że zjadł kromkę chleba, kiedy zaprzęgał. Ale my z Cashem wiedzieliśmy, że w te noce wcale go nie było w domu i że wyszedł z lasu, jak my przyszliśmy na pole. Ale nie mówiliśmy. Już lato prawie minęło; wiedzieliśmy, że jak się noce ochłodzą, to ona będzie miała dosyć, jak nie on.

Ale kiedy przyszła jesień i noce zrobiły się dłuższe, tylko to się zmieniło, że Klejnot co rano leżał w łóżku i tata musiał go budzić i ściągać na koniec na nogi w tym samym ogłupieniu co na początku, gorszym niż wtedy, kiedy zostawał tam całą noc.

- Ona rzeczywiście go się trzyma - mówię do Casha. - Przedtem ją podziwiałem, ale teraz po prostu ją szanuję.

- To nie kobieta - powiada.

-103-

- Gadasz - mówię. A ten patrzy na mnie. - To co to jest?

- Właśnie chcę się przekonać - on na to.

- To idź go tropić całą noc po lesie, jak chcesz - mówię. - Ja nie mam zamiaru.

- Ja go nie tropię - powiada.

- A co robisz?

- Nie tropię go - powiada. - To nie to.

I parę dni później słyszałem, że Klejnot wstał i wylazł przez okno, a potem, że Cash wstał i poszedł za nim.

Rano zachodzę do stodoły, a Cash już tam jest, muły nakarmione i pomaga doić krowy Dewey Dell. Kiedy go

zobaczyłem, już wiedziałem, że on wie, co to jest. Od czasu do czasu łapałem go na tym, że popatruje na Klejnota dziwnym wzrokiem, jakby to, że wykrył, dokąd Klejnot chodzi i co robi, teraz dopiero zabiło mu ćwieka. Ale to nie był wzrok strapiony. To był taki sam wzrok, jakim patrzył na mnie, kiedy go czasem nakryłem, że robi coś za Klejnota koło domu, coś z tego, co w taty przekonaniu dalej robił Klejnot, a w mamy - Dewey Dell. Toteż nic mu nie mówię. Byłem przekonany, że kiedy już to przetrawi w swoim umyśle, powie mi. Ale nic mi nie powiedział.

Któregoś dnia rano - już był listopad, minęło pięć miesięcy, odkąd to się zaczęło - Klejnota nie znaleźliśmy w łóżku i nie przyszedł do nas na pole. To wtedy po raz pierwszy doszło do mamy, co się dzieje. Wysłała Vardamana, żeby go poszukał, a po jakimś czasie i sama przyszła. Wyglądało na to, że jak długo to oszustwo ciągnęło się spokojnie i monotonnie, wszyscy dawaliśmy się oszukiwać i zgadzaliśmy się z nim nieświadomie albo przez tchórzostwo, jako że wszyscy ludzie to tchórze i z natury wybierają jakieś oszustwo, ponieważ jest gładkie na zewnątrz. Teraz jednak jakbyśmy się porozumieli przy pomocy jakiejś telepatii co do tego, że się boimy, odrzucili to wszystko jak koce z łóżka i siedliśmy na nim w swojej nagości, spojrzeli jedno na drugie i powiedzieli: Oto prawda. Nie wrócił do domu. Coś mu się stało. Dopuściliśmy, żeby mu się coś stało. Ale wtedy go zobaczyliśmy. Zbliżał się wzdłuż rowu, a potem skręcił prosto do nas przez pole, i jechał na koniu. Grzywa

-104-

i ogon temu koniowi polatywały, jakby w ruchu unosiły rozpryski wielobarwnych plamek jego pstrokatej maści: wyglądało to tak, jakby Klejnot jechał na wielkim odpustowym wiatraczku, na oklep, z uzdą zrobioną z postronka i bez kapelusza. Koń pochodził od któregoś z tych teksaskich ponnies sprowadzonych w naszą okolicę dwadzieścia pięć lat temu przez Flema Snopesa i zlicytowanych po dwa dolary od ogona, z których nikt nigdy nie złapał swojego oprócz Lona Quicka, i tylko on jeszcze miał konia tej rasy, bo nie udało mu się dotąd go pozbyć.

Przygalopował do nas i stanął z piętami wbitymi w żebra konia, koń tańczył i wirował, jakby kształt jego grzywy i ogona, i pstrokata sierść nic nie miały wspólnego z koniem z ciała i kości, którego okrywały, a Klejnot siedział na nim i patrzył na nas.

- Skądżeś wyrwał tego konia? - pyta tata.

- Kupiłem - powiada Klejnot. - Od pana Quicka.

- Kupiłeś? - mówi tata. - Za co? Kupiłeś toto na moje słowo?

- Za swoje pieniądze - powiada Klejnot. - Zarobiłem je. Możesz się nie martwić.

- Klejnot - mówi mama. - Klejnot.

- Wszystko w porządku - powiedział wtedy Cash. - Zarobił te pieniądze. Wykarczował te czterdzieści akrów nowizny, co je Quick wytyczył zeszłej wiosny. Zrobił to sam jeden, pracował po nocy, przy latarni. Widziałem go. To chyba ten koń nikogo nic nie kosztował oprócz Klejnota. To widzi mi się, że nie musimy się martwić.

- Klejnot - powiada mama. - Klejnot... - I zaraz: - Ruszaj prosto do domu i kładź się do łóżka.

- Jeszcze nie - powiedział wtedy Klejnot. - Nie mam czasu. Potrzebne mi siodło i uzda. Pan Quick powiada, że on...

- Klejnot - powiada mama i patrzy na niego. - Ja to... Ja to... to...

I rozpląkała się. Rozpląkała się gorzko, nie chowając twarzy, stała w tym swoim spłowiałym fartuchu i patrzyła na niego, a on z konia patrzył na nią i twarz mu się robiła coraz twardsza

-105-

i trochę zielona od tego patrzenia, aż prędko odwrócił wzrok, a Cash podszedł i dotknął mamę.

- To mama niech idzie do domu - powiedział Cash. - Za mokro tu dla mamy. No już, niech mama idzie.

Wtedy podniosła ręce do twarzy i po chwili odeszła, potykając się trochę na bruzdach od pługa. Ale szybko się wyprostowała i nie zawróciła. Nie obejrzała się. Kiedy doszła do rowu, zatrzymała się i zawołała Vardamana.

Vardaman oglądał konia i skakał koło niego, jakby tańczył.

- Daj się przejechać, Klejnot - powtarzał. - Daj się przejechać.

Klejnot spojrział na niego i znów odwrócił wzrok, wciąż ściągając konia do tyłu. Tata przyglądał mu się i mlamlał w dziąsłach dolną wargę.

- Ot i kupiłeś konia - powiada. - Poszedłeś i za moimi plecami kupiłeś konia. Ani mnie nie pytałeś. Wiedziałeś,

jak nam ciężko, a kupiłeś konia, żebym miał czemu dawać żreć. Utoczyłeś potu z własnego czoła i za to kupiłeś konia.

Klejnot spojrział na tatę, a oczy jeszcze bardziej mu pobladły.

- Ani kęsa twojego nie zeżre - powiada. - Ani kęsa. Wpierw go zabiję. Nie myśl sobie nawet. Nawet nie myśl. - Daj się przejechać, Klejnot - powiada Vardaman. - Klejnot, daj się przejechać. - Ćwierkał jak konik polny w trawie, jak mały konik polny. - Daj się przejechać, Klejnot.

Tej nocy zastałem mamę przy jego łóżku, po ciemku. Płakała bardzo, może dlatego, że musiała płakać tak cichutko, a może dlatego, że tego samego zdania była o płaczu, co o oszustwie, i nienawidziła siebie sama za to, że ją, a jego za to, że musi płakać. A potem już pojąłem, że wiem. I wiedziałem wtedy tak samo dobrze, tak jak wiedziałem tego dnia o Dewey Dell.

-106-

TULL

I tak na koniec zmusili Anse'a, żeby powiedział, co chce zrobić, i on, dziewczyna i chłopak zleźli z wozu. Ale nawet kiedyśmy już byli na moście, Anse jeszcze się oglądał, jakby myślał, że starczy, że zszedł z wozu, a wszystko się rozwieje jakoś i on sam się znajdzie z powrotem tam na polu, a ona w domu, w łóżku, w oczekiwaniu na śmierć, i że wszystko zacznie się od początku.

- Trzeba im było dać tego muła - powiada, a most się pod nami trzęsie i kołysze, i zawraca w tę kipieli, jakby się zapadał na wylot przez ziemię, a drugi jego koniec wynurza się z wody, jakby to był zupełnie drugi most, i ci, co by chcieli po tamtym końcu wyjść na brzeg, musieliby wyleźć z głębi ziemi. Ale nie był przerwany jeszcze. Widać to było po tym, jak się ten koniec kołysał, i zdawało się, że tamten koniec nie kołysze się nic a nic: tylko jakby drzewa po tamtej stronie i tamten brzeg chwiały się nad wodą jak wielki zegar. A tam, gdzie go woda przykrywała, te kłody trzeszczały i waliły jedna o drugą, i jeżyły się do góry, i wyskakiwały całkiem nad wodę, i dawały nura w stronę brodu, i czekały, śliskie, i wirowały w pianie.

- Na co by się to zdało? - mówię ja. - Jak wasze muły nie znajdą brodu i nie przeciągną wozu, to nie pomoże im trzeci ani dziesiąty.

- Ja tego od ciebie nie wymagam - powiada. - Dla mnie i tego, co moje, dosyć. To nie ja cię prosiłem, żebyś ryzykował swojego muła. To nie twoja nieboszczka, nie mam ci tego za złe.

-107-

- Powinni byli zawracać i odłożyć to do jutra - ja na to. Woda była zimna. Gęsta jak śręż. Tylko jakby żywa. Niby wiedziałeś, że to tylko woda, ta sama, co płynie pod tym mostem już dawno, ale kiedy wypluwała z siebie te kłody, nie dziwiłeś się, jakby do tej wody, tego czekania i groźby należały.

Dopiero chyba jakeśmy już byli po tamtej stronie, już na brzegu i ze stałym gruntem pod nogami, zdumiałem się. Jakbyśmy się nie spodziewali, że most łączy się z drugim brzegiem, z czymś bezpiecznym jak stały grunt, ten sam, po którym deptaliśmy i przedtem i który dobrze żeśmy znali. Jakby to było niemożliwe, że się tam znalazłem, bo powinienem mieć więcej oleju w głowie i nie robić czegoś takiego. A kiedy się obejrzałem i zobaczyłem tamten brzeg i mojego muła tam, gdzie i ja przedtem stałem, i zdałem sobie sprawę, że będę musiał się jakoś z powrotem przedostać, zrozumiałem, że to niemożliwe, bo nie przychodziło mi do głowy nic, co by mnie zmusiło choćby raz przejść przez ten most. A jednak tu stałem, choć na pewno nie ja byłbym tym odważnym, co by się zmusił do przejścia przez ten most po raz drugi, nawet gdyby mi Cora kazała.

To przez tego chłopaka. Powiedziałem: - No, lepiej trzymaj się mnie za rękę - i on zatrzymał się i złapał się mnie. Niech mnie cholera, zupełnie tak, jakby po mnie wrócił, jakby mówił: - Nic ci się nie stanie. Jakby opowiadał o jakimś pięknym kraju, gdzie Boże Narodzenie jest dwa razy do roku razem ze świętem Dziękczynienia i trwa przez całą zimę, wiosnę i lato, i jak tylko z nim zostanę, to i ja będę bezpieczny.

Kiedy spojrzałem na swojego muła na tamtym brzegu, zrobiło się tak, jakbym patrzył przez teleskop, patrzyłem na niego, a widziałem całą szeroką ziemię i mój dom jak kroplę potu na niej. Jakby ziemia była większa, im więcej potu; im więcej potu, tym bardziej krzepki dom, bo dla Cory trzeba krzepkiego domu, jak krzepkiego trzeba dzbana na mleko na wiosnę; trzeba krzepkiego dzbana i wiosna musi mieć siłę; jeśli wiosna ma siłę, no, wtedy jest powód, żeby się starać o krzepkie, porządnie ulepione dzbany, idzie przecież o własne mleko, skwaśniałe czy

-108-

nie, człowiek zawsze wybierze mleko, co może skwaśnieć, nie mleko, co nie kwaśnieje. Jest się mężczyzną. A ten nie puszcza mojej ręki, a jego ręka rozpalona i pełna zaufania, tak że już chciało mi się powiedzieć: Popatrz no. Nie widzisz tego tam muła? Nic tu nie miał do roboty, to i nie przechodził, nie jest niczym innym jak mułem. Bo człowiek od czasu do czasu pojmuję, że dzieciaki więcej mają oleju w głowie niż on sam. Tylko nie lubi tego głośno im przyznać, dopóki im brody nie wyrosną. A jak już dzieciakowi broda wyrośnie, to zauda jest zajęty, bo nie wie, czy mu się kiedy uda wrócić do tego czasu, kiedy miał olej w głowie, a nie miał brody na twarzy, i wtedy już bez przeszkód przyzna człowiek każdemu, kto się tym samym trapi, a co niewarte strapienia, że jest, jaki jest.

I już byliśmy na drugim brzegu i staliśmy, i patrzyli, jak Cash zawraca wozem. Zobaczyliśmy, że zawracają drogą do tego miejsca, z którego koleiny szły prosto w rzekę. Po chwili wóz zniknął nam z oczu.

- Lepiej zejdźmy do brodu i przygotujmy się, żeby im pomóc - mówię.

- Dałem jej słowo - powiada Anse. - Ono dla mnie święte. Wiem, że jej tego żałujesz, ale ona ci z nieba pobłogosławi.

- No, najpierw będą musieli uporać się z piachem, zanim się odważą zjechać w wodę - mówię. - Chodźmy.

- To to zawracanie - powiada on. - Zawracanie nie przynosi szczęścia.

I stoi, zgarbiony, w tej swojej żalobie, i gapi się na pustą drogę poza zapadłym i rozchwianym mostem. A i ta dziewczucha z koszem na jednym ręku i tym pakunkiem pod drugą. Ot, wybrała się do miasta. I nie zawróci. Przeszliby przez ogień, ziemię i wodę, i co tam jeszcze, byle zjeść parę bananów.

- Trzeba wam było poczekać ten dzień - mówię. - Opadłaby trochę do rana. Może by w nocy nie padało. A wyżej już się podnieść nie może.

- Dałem jej swoją obietnicę - powiada. - Ona liczy na to.

-109-

DARL

Przed nami rwący czarny i gęsty nurt. Podnosi się do nas szmer już nieustanny i drobny, żółta powierzchnia pełna wielkich dziobów, co się zacierają i przez chwilę wędrują wirami, milczące, nietrwałe i nasycone głębokim znaczeniem, jakby tuż pod powierzchnią coś wielkiego na moment leniwej czujności budziło się z lekkiego snu i znów w niego zapadało.

Cmoka i syczy w szprychach i przy kolanach mułów, żółta, gęsta po wierzchu od różnego śmiecia i grubych, brudnych bąbli piany, jakby się spociła, zmydliła jak koń, co ponosi. W zaroślach żalobnie i tęsknie chlipie; niedorosłe trzciny i młode drzewa gną się pod nią jak pod dmuchnięciem huraganu, kołyszą się bez odbicia, jak zawieszane z wyższych gałęzi na niewidocznych sprężynach. Nad mknącą powierzchnią drzewa, trzciny i pnącza stoją jak bez korzeni, wydarte z ziemi, widmowe nad obrazem olbrzymiego, choć ograniczonego spustoszenia, całego w szumie nagiej, ponurej wody.

Cash i ja siedzimy na wozie; Klejnot na koniu przy tylnym lewym kole. Koń drży, toczy dziko niebiesciutkim okiem na tle długiego różowego pyska, oddycha z rżeniem, jakby jęczał. Klejnot siedzi na nim prosto, swobodnie, spokojnie, spogląda pewnie i szybko to w tę, to w tamtą stronę, twarz ma spokojną, trochę bladą, uważną. Twarz Casha jest też pełna po-wagi i opanowania; on i ja badawczo patrzymy na siebie dłuższą chwilę, zapuszczamy głębokie, nienatarczywe spojrzenia przez

-110-

oczy w najskrytsze tajniki, gdzie przez chwilę Darl i Cash kulą się obnażeni, paleni całym tym odwiecznym lękiem i przeczuciem, czujnym, tajemnym i bez wstydu. Rozmawiamy spokojnie, obojętnie.

- Chyba wciąż jesteśmy na drodze, jak należy.

- Tull wziął i ściął te dwa wielkie białe dęby. Słyszałem, że dawniej przy wysokiej wodzie ludzie po nich poznawali, gdzie jest bród.

- Chyba je wyciął dwa lata temu, kiedy tu robił wyrąb. Chyba wcale nie myślał, że przyjdzie jeszcze komu używać tego brodu.

- Chyba tak. Tak, to pewno wtedy. Sporo wtedy tu wyciął drzewa. Słyszałem, że hipotekę za to spłacił.
- Tak. Tak. Chyba tak. Na Vernona przecie to wygląda.
- Faktycznie. Po większości to po to, żeby tu wycinać drzewo, trzeba mieć cholernie dobrą farmę, inaczej nie utrzyma tartaka. Albo sklep. Ale Vernon może i mógł.
- Myślę. Ten to dopiero.
- Ano. Ten Vernon to dopiero. Tak, chyba jeszcze jesteśmy na niej. Nigdy by drzewa stąd nie wywiózł, jakby nie oczyścił tej starej drogi. Chyba jeszcze na niej jesteśmy.

Rozgląda się spokojnie, porównuje pozycje drzew, wychyla się na strony, ogląda na pokrytą wodą drogę od góry niewyraźnie wytyczoną pozycją pochylonych i zwalonych drzew, jakby i z tej drogi też ziemia wyciekła i wystawiła na jej widmowym szlaku pomnik jeszcze bardziej ponurego spustoszenia niż to, nad którym teraz jedziemy i rozmawiamy spokojnie o dawnym, bezpiecznym życiu i dawnych, powszednich sprawach. Klejnot spogląda na niego, potem na mnie, potem jego twarz obraca się do wewnątrz, do tego cichego, nieustannego szperania wokoło, a koń mu między kolanami drży lekko i nieustannie.

- Mógłby pomału jechać naprzód i wymacać ten bród, czy jak - mówię.
- Tak - powiada Cash nie patrząc na mnie. Widzę go z boku, kiedy patrzy przed siebie na Klejnota, który nas wyprzedził.

-III-

- Rzeki nie przegapi - mówię. - Nie mógłby jej przegapić na pięćdziesiąt jardów.

Cash nie patrzy na mnie, widzę go z boku.

- Gdybym tylko mógł to przewidzieć, przyjechałbym tu tydzień temu i przyjrzał się.

- Wtedy most stał - mówię. Cash nie patrzy na mnie. -Whitfield na koniu przejechał.

Klejnot znów na nas spogląda trzeźwo, czujnie i pokorniej. Mówi spokojnie:

- Co chcecie, żebym zrobił?

- Szkoda, że tu w zeszłym tygodniu nie przyszedłem, żeby się przyjrzeć - mówi Cash.

- Nie mogliśmy wiedzieć - mówię. - W żaden sposób nie mogliśmy wiedzieć.

- Pojadę naprzód - mówi Klejnot. - Jedźcie tam, gdzie ja. Podrywa konia. Koń się cofa, pręży szyję; Klejnot przychyła

się do niego, niemal cielesnie go pcha naprzód, koń zanurza kopyta płochliwie, pryska wodą, drży, chrapliwie sapie. Klejnot przemawia do niego, szepcze.

- Dalej - mówi. - Nie pozwolę, żeby ci się co stało. No, dalej.

- Klejnot - mówi Cash. Klejnot-się nie ogląda. Pcha konia naprzód.

- On pływa - mówię. - Niech tylko temu koniowi da czas, tak czy owak...

Kiedy się urodził, ciężko chorował. Mama przesiadywała przy lampie i trzymała go w poduszce na kolanach.

Budziliśmy się w nocy i zastawaliśmy ją tak. I oboje w zupełnej ciszy.

- Ta poduszka za długa była na niego - powiada Cash. Pochyla się trochę do przodu. - Powinienem był tu przyjść w zeszłym tygodniu i rozejrzeć się. Powinienem był.

- Prawdę mówisz - mówię. - Nie sięgał do jej brzegu ani głową, ani nogami. Skąd miałeś wiedzieć? - dodaje.

- Powinienem był - powiada. Podnosi lejce. Muły wpierają się w uprząż; koła w wodzie szepczą jak żywe.

Ogląda się i patrzy w dół na Addie. - Chwiejnie leży - powiada.

-112-

Na koniec drzewa się rozstępują, na tle otwartej rzeki Klejnot na koniu, wpeł odwrócony, koń już po brzuch w wodzie. Za rzeką widać Vernona, tatę, Vardamana i Dewey Dell. Vernon macha do nas i pokazuje bardziej w dół.

- Jesteśmy za blisko - mówi Cash. Vernon również krzyczy, ale przez szum wody nie słyszymy, co mówi.

Woda płynie teraz równa i głęboka, gładka, wygląda, jakby się nie ruszała, aż podpływa jakiś kloc i obraca się w niej powoli.

- Uważaj na ten kloc - powiada Cash. Siedzimy kloc i widzimy, jak się na chwilę zatrzymuje i waha, prąd się za nim załamuje w grubą falę, fala go na moment zalewa, a potem kloc wyskakuje w górę i sunie dalej.

- Tu go mamy - powiadam.

- Ano - mówi Cash. - Tu go mamy. - Znów patrzymy na Vernona. Trzepocze teraz ramionami w górę i w dół.

Posuwamy się w dół z prądem rzeki pomału i ostrożnie, nie odrywamy oczu od Vernona. Opuszcza ręce. - To tu - mówi Cash.

- No to, cholera, przejeżdżajmy - mówi Klejnot. Pcha konia naprzód.

- Ty zaczekaj - mówi Cash. Klejnot znów się zatrzymuje.

- Cóż, u Boga Ojca... - powiada.

Cash patrzy na wodę, a potem ogląda się na Addie.

- Krzywo leży - powiada.

- To wracaj na ten cholerny most i przechodź na piechotę - mówi Klejnot. - Zabierajcie się obaj z Darlem.

Puście mnie na

wóz.

Cash nie zwraca na niego najmniejszej uwagi.

- Chwiejnie leży - powiada. - Tak, faktycznie. Musimy uważać.

- Uważajcie, do diabła - mówi Klejnot. - Złazcie z tego wozu i puszczajcie mnie tam. Boże święty, jak się boicie przejechać...

Oczy ma białe jak dwa wyblakłe wióry. Cash spogląda na niego.

-113-

- My go przeprowadzimy - mówi. - Powiem ci, co ty zrób. Jedź z powrotem, przejdź przez most i z drugiego brzegu podejź do nas z linką. Vernon zabierze ze sobą twojego konia i przetrzyma go, zanim wrócimy.

- Idź do diabła - powiada Klejnot.

- Weź linkę, zejź na dół i czekaj - mówi Cash. - Trzech nie poradzi tu więcej jak dwóch... jeden przy lejcach, a drugi do trzymania trumny.

- Niech cię cholera - mówi Klejnot.

- Niech Klejnot weźmie linkę z jednego końca, przejedzie przed nimi i uwiąże ją - powiadam. - Zrobisz to, Klejnot?

Klejnot twardo na mnie spogląda. Prędko rzuca okiem na Casha, potem znów na mnie, oczy ma czujne i twarde.

- Wszystko jedno mi, do cholery. Tylko zrobmy coś. Jak będziemy tu tkwić i żaden palcem nie ruszy...

- Zrobmy tak Cash - mówię.

- Chyba będziemy musieli - powiada Cash.

Sama rzeka nie ma nawet stu jardów szerokości i poza tatrą, Vernonem, Vardamanem i Dewey Dell widać wszędzie naokoło tylko nagą i ogołoconą pustkę jakoś groźnie zwichrowaną z prawa na lewo, jakbyśmy się znaleźli w miejscu, gdzie się spustoszony świat rozpędza, zanim spadnie na koniec w przepaść. Ale widać ich w zmniejszeniu. Wygląda to tak, jakby dzieliła nas nie przestrzeń, tylko czas: coś nieodwołalnego. Jak gdyby czas, nie biegnąc już prosto przed nami zwężającym się szlakiem, przebiegał teraz równoległe do nas jak obwisły sznur i jakby nas oddzielała grubość jego podwójnego splotu, a nie odległość między nami. Muły stoją już trochę bardziej zanurzone w łopatkach, ze sterczącymi wyżej zadami. I one już oddychają głęboko i chrapliwie; kiedy się raz oglądają, omiatają nas spojrzeniem z jakąś dzikością, smutkiem, głębią i rozpaczą w oczach, jak gdyby one już ujrzały w tej gęstej wodzie kształt klęski, choć o niej nie potrafią powiedzieć i choć my już jej nie potrafimy dojrzeć.

Cash odwraca się na siedzeniu do tyłu. Płasko kładzie ręce na Addie i kołysze ją trochę. Twarz ma spokojną, nachyloną, za-

-114-

myśloną i skupioną. Podnosi skrzynkę ze swoimi narzędziami i podsuwa ją pod siedzenie, razem przesuwamy Addie do przodu, ustawiamy na skrzynce i na dnie wozu. Potem Cash spogląda na mnie.

- Nie - mówię. - Chyba zostaną. Możemy być obaj potrzebni.

Wyciąga ze skrzynki zwiniętą linkę, dwa razy owija jeden jej koniec o drążek przy siedzeniu i nie zawiązując podaje mi ją. Drugi koniec rozwija i daje Klejnotowi, który go okręca o łąk siodła.

Klejnot musi siłą wpychać konia w nurt. Koń idzie, wysoko podnosi kolana, pręży szyję, wspina się i gryzie wędzidło. Klejnot lekko pochyla się do przodu, unosi trochę kolana. Znów jego szybkie, czujne i spokojne spojrzenie omiata nas i przesuwa się dalej. Schodzi koniem w nurt i przemawia do niego kojącym szeptem.

Koń się ślizga, zanurza aż po siodło i dźwiga z powrotem na nogi, prąd się załamuje o kolana Klejnota.

- Uważaj na siebie - mówi Cash.

- Znalazłem bród - mówi Klejnot. - Możecie ruszać. Cash bierze lejce i ostrożnie, zręcznie zjeżdża mułami w prąd.

Poczułem, jak prąd nas ogarnia i już przez to wiedziałem, że jesteśmy na brodzie, bo tylko przez to śliskie zetknięcie mogliśmy powiedzieć, że się w ogóle poruszamy. To, co było kiedyś płaską powierzchnią, teraz poryły zapadłości i garby, wznosiły się naokoło i opadały, i nacierały na nas, łaskotały nas lekkimi leniwymi muśnięciami, kiedy nam się zdawało, że mamy stałe oparcie dla stóp. Cash obejrzał się na mnie i już wiedziałem, że nas zniosło. Ale nie pojąłem sensu linki, póki nie zobaczyłem tej kłody. Wyskoczyła z wody i przez chwilę stanęła pionowo wśród tego wzdymającego się i chwiejącego spustoszenia jak Chrystus. Wyłaź i płyn z prądem do zakrętu, powiedział Cash. Dopłyniesz bez trudu. Nie, ja na to, wszystko mi jedno, czy tu się zamoczę, czy tam

Kłoda pojawiła się nagle między dwoma pagórami, jakby się odbiła zniecka od dna rzeki. U jej końca wisi długa kropla piany jak broda jakiegoś starucha czy kozła. Kiedy Cash się do

-115-

mnie odzywa, wiem, że cały czas na nią patrzył, na nią i na Klejnota dziesięć stóp przed nami.

- Puść linkę - mówi. Drugą ręką sięga w dół i odwija podwójną pętlę z kołka. - Jedź dalej, Klejnot - mówi. - Spróbuj, może uda ci się nas wyciągnąć za tę kłodę.

Klejnot krzyczy na konia; znów się zdaje, że go całego unosi między kolanami. Jest akurat nad najwyższym miejscem brodu i koń ma jakąś zachętę, bo prze naprzód, wyłyskuje mokro do połowy z wody i rwie naprzód mocnymi pchnięciami. Posuwa się nie do wiary szybko; po tym Klejnot na koniec poznaje, że linka jest odczepiona, bo zaraz widzę, jak zrywa konia uzdą do tyłu i odwraca głowę w tej samej chwili, kiedy kłoda niemrawym długim poślizgiem cofa się między nas i znosi na muły. One ją też widzą; przez chwilę i one czarno wyłyskują z wody. Potem ten od zewnątrz znika i pociąga drugiego za sobą; wóz przechyla się ukośnie, zawisa na grzbiecie brodu, a kłoda uderza, podważa go i spycha. Cash jest wpół odwrócony, napięte lejce wylatują mu z ręki i giną w wodzie, drugą rękę poza sobą trzyma na Addie i przyciska ją do uniesionej deski wozu.

- Zeskakuj - mówi spokojnie. - Zostaw muły i nie opieraj się. Wyrzuci cię, jak należy, na zakręt.

- I ty złaż - mówię. Vernon i Vardaman biegną wzdłuż brzegu, tata i Dewey Dell stoją i patrzą, Dewey Dell z tym koszykiem i pakunkiem. Klejnot próbuje zawrócić konia. Pokazuje się łeb jednego muła, oczy ma wytrzeszczone: ogląda się przez moment na nas i wydaje głos prawie ludzki. Łeb znika z powrotem.

- Wracaj, Klejnot! - krzyczy Cash. - Wracaj, Klejnot! Jeszcze przez chwilę widzę, jak opiera się o walący się wóz i ręką przytrzymuje z tyłu Addie i narzędzia; widzę, jak brodaty koniec kłody znów uderza w górę, za nią Klejnot w miejscu zawraca koniem, koń ma głowę wykręconą, a Klejnot młóci go pięścią po łbie. Jeszcze raz widzę obydwa muły między dwoma garbami wody. Przetaczają się w wodzie jeden po drugim, obracają brzuchami do góry z nogami tak samo sztywno wyciągniętymi jak wtedy, kiedy uciekła im spod nich ziemia.

-116-

VARDAMAN

Cash się starał ale wypadła i Darl skoczył i poszedł pod wodę poszedł pod wodę a Cash krzyczy łap ją i ja krzyczę i latam i krzyczę a Dewey Dell krzyczy na mnie Vardaman ty vardaman ty vardaman i Vernon przeleciał koło mnie bo zobaczył jak ona się wynurza i skoczyła w wodę z powrotem i Darl jeszcze jej nie złapał.

Wynurzył się patrzy a ja krzyczę łap ją Darl łap ją a on się już nie wynurza bo ona za ciężka i musi ją jeszcze łapać a ja krzyczę łap ją darl łap ją darl bo w wodzie nikt jej nie dogoni i Darl musi jej szukać na oślep i ja wiem że on to potrafi bo on jest w szukaniu na oślep najlepszy choć muły znów mu przeszkadzają wynurzyły się wykręcone do góry sztywnymi nogami i zaraz znów grzbietami do wierzchu i Darl znowu musiał bo w wodzie nikt jej nie dogoni ani mężczyzna ani kobieta więc mijam Vernona i on nie wchodzi do wody na pomoc Darlowi choć wie że by mógł szukać na oślep razem z Darlem ale nie chce pomóc.

Muły znów się wynurzają wynurzają sztywne nogi sztywne nogi się przetaczają powoli znów jest Darl i ja

krzyczę łap ją darł łap ją pchaj ją na brzeg darł a Vernon palcem nie kiwnie a wtedy Darł wymija muły jak może i łapie ją pod wodą kiedy ona podpływa pod brzeg podpływa powoli bo już kiedy w wodzie to chce zostać pod wodą ale Darł silny i podpływa powoli i już

-117-

wiem że ją ma bo płynie powoli i włożę do wody na pomoc i nie mogę przestać wrzeszczeć bo Darł jest silny i wciąż ją trzyma pod wodą i choćby się opierała to jej nie wypuści i widzi mnie i będzie ją trzymał i już było w porządku już było w porządku już było w porządku

Teraz wynurza się z wody. Wynurza się z dużej głębokości powoli przed rękami ale on musi on ją musi bo nie wytrzymam. I teraz jego ręce i on sam wynurzają się z wody. Nie mogę przestać. Nie mam czasu się postarać. Postaram się jak będę mógł ale jego ręce wynurzają się z wody puste pustkę z wody pustkę z wody
- Gdzie mama Darł? - pytam. - Wcale jej nie złapałeś. Wiedziałeś że to ryba i dałeś jej uciec. Wcale jej nie złapałeś Darł Darł Darł.

I rzucam się biegiem po brzegu i patrzę jak muły się powoli wynurzają i zanurzają z powrotem.

-118-

TULL

Kiedy opowiedziałem Corze, jak Darł zeskoczył z wozu i zostawił na nim Casha, że Cash próbował utrzymać trumnę, kiedy wóz się przewracał, a Klejnot, już prawie na brzegu, siłą zawracał konia, choć koń za mądry był, żeby go usłuchać, Cora na to:

- A ty sam należysz do ludzi, co to mówią, że Darł jest pomyłony, że Darł jest ten tępy, kiedy on jeden jedyny z nich miał na tyle rozumu, żeby zleźć z tego wozu. Widzę, że Anse był za sprytny, żeby w ogóle na tym wozie się znaleźć.

- Na nic by się nie przydał, gdyby na nim był - mówię. - Zabrali się do tego jak należało i przejechaliby, gdyby nie ta kłoda.

- Kłoda, terefero - powiada Cora. - To była ręka boska.

- To nie mów, że głupio zrobili. Ręce boskiej nikt się nie ustrzeże. Świętokradztwem byłoby i próbować.

- To czym jest ważyć się na to? - mówi Cora. - Powiedz mi.

- Anse się nie ważył - mówię. - To mu właśnie zarzucałaś.

- Tam było jego miejsce - powiada Cora. - Gdyby był mężczyzną, sam by tam był, zamiast zmuszać swoich synów do robienia czegoś, na co on się nie ważył.

- To już nie wiem, czego ty chcesz - mówię. - Raz mówisz, że próbując to zrobić wyzywali rękę boską, a zaraz potem na-skakujesz na Anse'a za to, że go tam z nimi nie było.

-119-

To ona znowu bierze się do śpiewania, schylona nad balią z tym swoim rozśpiewanym wyrazem na twarzy, jakby już dała spokój ludziom i całej ich głupocie i wyprzedziła ich w drodze do nieba z pieśnią na ustach.

Wóz trzymał się jeszcze długo, prąd go podmywał i spychał z brodu, a Cash pchał coraz mocniej i starał się przycisnąć trumnę, żeby się nie wysunęła i nie wyróciła wozu do końca. Jak tylko wóz przechylił się już na dobre i zjechał tak, że sam prąd mógł sobie z nim dać radę, kłoda odpłynęła. Zupełnie jakby ją tam kto przysłał, żeby zrobiła swoje i popłynęła dalej.

Kiedy muły na koniec wierzganiem uwolniły się od wozu, przez chwilę wyglądało na to, że Cash wepchnie wóz z powrotem na bród. Wyglądało na to, że on i wóz wcale się nie ruszają i tylko Klejnot pogania tego konia z powrotem do wozu. I wtedy przelatuje koło mnie ten chłopak, leci i wrzeszczy na Darła, a ta dziewczucha próbuje go złapać, i zaraz zobaczyłem, jak muły powoli przetaczają się w wodzie brzuchem do wierzchu, z nogami sztywno sterczącymi do góry, jakby wierzgały w powietrzu, i toczą się z powrotem w wodę.

Wtedy wyrócił się wóz i już nie można było odróżnić, gdzie wóz, gdzie Klejnot i jego koń. Cash zniknął z oczu, wciąż trzymając trumnę, i już nic nie widziałem, ten koń tak skakał i chlapał. Myślałem, że Cash już dał za wygraną i płynie w tę stronę, i krzyczę na Klejnota, żeby wracał na brzeg, a wtedy nagle on razem z koniem poszli pod wodę i pomyślałem, że wszystkich zniosło. Wiedziałem, że i konia ściągnęło z brodu i nie zanosilo się na nic dobrego z tym dzikim koniem w topieli, z tym wozem i trumną luzem, i znalazłem się po kolana w

wodzie, i wrzeszczę na Anse'a za sobą:

- Widzisz teraz, coś narobił?! Widzisz teraz, coś narobił?! Koń się wynurzył z powrotem. Teraz płynął do brzegu, wyrzucał głowę do góry i zaraz zobaczyłem, że jeden z nich trzyma się siodła od zewnętrznej strony, lecę więc po brzegu i szukam Casha, bo on nie umie pływać, wrzeszczę na Klejnota, gdzie Cash, jak głupi dureń, jak ten chłopak, co stoi nad brzegiem i wciąż wrzeszczy na Darla.

-120-

Więc zlążę do wody, ile się da, dokąd się mogę jakoś utrzymać w mule, i wtedy zobaczyłem Klejnota. Wodę miał do pasa, tak że wiedziałem, że w każdym razie jest na brodzie, i pchał się ze wszystkich sił pod prąd, a potem zobaczyłem tę linkę, a potem, jak się woda spiętrza nad wozem, który on przytrzymywał tuż pod brodem.

Więc kiedy ten koń wdrapał się z pluskiem, jękiem i chrapaniem jak żywy człowiek na brzeg, okazało się, że trzyma się go Cash. Kiedy podszedł do konia, kopał właśnie Casha, żeby się puścił siodła. Kiedy się zsuwał do wody, twarzą na chwilę odwrócił się do góry. Była szara, oczy miał zamknięte i krechę mułu na policzku. Zaraz się puścił i odwrócił w wodzie. Wyglądał jak worek starych szmat zmywany tam i sam przy brzegu. Jakby leżał w tej wodzie twarzą w dół, kołysał się na niej trochę i patrzył na coś, co było na dnie. Widzieliśmy, jak linka wcina się w wodę, i poczuliśmy, jak ni stąd ni zowąd wóz całym swoim ciężarem chlupnął i szarpnął jakoś tak leniwie, i ta linka werżnęła się w wodę twardo jak żelazny pręt. Słysząc było, jak woda na niej syczy, jakby to był pręt rozżarzony do białości. Jakby ktoś wetknął w dno prosty żelazny pręt i trzymał go za koniec, a wóz go obluźowywał i popychał tak jakoś, i szturchał, jakby zaszedł od tyłu pomalutku, jakby nigdy nic, kiedy się w końcu zdecydował. Nadpłynął właśnie jakiś prosiak wzdęty jak balon: któryś z tych łaciatych prosiaków Lona Quicka. Prosiak walnął o tę linkę jak o żelazny pręt i odbił się, i odpłynął, a my wciąż patrzyliśmy na linkę ukośnie schodzącą do wody. Patrzyliśmy na nią.

-121-

DARL

Cash leży na wznak na ziemi, pod głowę ma podłożoną zwiniętą marynarkę. Oczy zamknięte, twarz szara, włosy gładkim pasmem przyklejone do czoła jak namalowane pędzlem. Twarz mu jakby trochę się zapadła, obwisła na kościstych ostrych oczodołach, na nosie, na szczękach, jakby ta krzepkość, która wypełniała skórę, namokła i zwiotczała; zęby, osadzone w bladych dziąsłach, są odrobinę rozwarłe, jakby się po cichu śmiał. Leży chudy jak tyczka w mokrym ubraniu, u głowy ma kałużkę wymiocin i ciekną mu jeszcze strugą z kąta ust i po policzku, bo nie zdążył tak szybko czy tak daleko odwrócić głowy, ale Dewey Dell nachyla się i wyciera je krajem spódnicy.

Podchodzi Klejnot. Niesie hebel.

- Vernon właśnie znalazł kątownik - mówi. Patrzy w dół na Casha, też ocieka wodą. - Wciąż się nie odzywa?

- Miał jeszcze piłę, młotek, sznurek z kredą i miarkę - mówię. - Wiem.

Klejnot kładzie kątownik na ziemi. Tata mu się przygląda.

- Nie mogą być daleko - mówi tata. - Wszystko wypadło naraz. Widzieliście takiego pechowca.

Klejnot nie patrzy na tatę.

- Lepiej niech tata zawoła Vardamana - mówi. Spogląda na Casha. Potem odwraca się i odchodzi. - Każcie mu gadać, jak tylko będzie mógł, żeby wam powiedział, co tam jeszcze było.

-122-

Wracamy do rzeki. Wóz już całkiem wyciągnięty, koła zaklinowane (ostrożnie - wszyscyśmy pomagali - jakby w nędznym, znajomym, ciężkim kształcie wozu wciąż tkwiła utajona, ale wciąż bliska, ta furia, która zabiła muły ciągnące go niecałą godzinę temu) nad skrajem wylewu. A ona leży w pudle wozu uroczyście, długie jasne deski ciemniejsze są trochę przez to, że zamokły, ale nadal żółte jak złoto w wodzie, gdyby nie dwie długie smugi błota. Mijamy wóz i schodzimy na brzeg.

Jeden koniec linki jest uwiązany do drzewa. Na skraju nurtu po kolana w wodzie stoi Vardaman trochę pochylony do przodu i jak zakłęty przygląda się Vernonowi. Przestał wrzeszczeć, jest mokry po pachy.

Vernon jest przy drugim końcu linki, zanurzony po ramiona, i ogląda się na Vardamana.

- Dalej wyjdź - mówi. - Wyjdź aż do drzewa i trzymaj mi linkę, żeby się nie wymknęła.
 Vardaman wycofuje się za linką pod drzewo na oślep, nie spuszcza oczu z Vernona. Kiedy podchodzimy, raz na nas spogląda, oczy ma okrągłe i trochę nieprzytomne. Potem znów wpatruje się w Vernona w tej postawie nieprzytomnej czujności.
 - Znalazłem i młotek - mówi Vernon. - Chyba już byśmy znaleźli ten sznurek, gdyby nie popłynął.
 - Popłynął jak nic - mówi Klejnot. - Nie znajdziemy go. Ale powinniśmy znaleźć piłę.
 - Chyba tak - mówi Vernon. Spogląda na wodę. - I ten sznurek. Co on tam jeszcze miał?
 - Wciąż się nie odezwał - mówi Klejnot i wchodzi do wody. Ogląda się na mnie. - Wracaj i ocuć go, żeby przemówił - dodaje.
 - Tata tam jest - mówię. Włazę do wody za Klejnotem po linie. Pod ręką jest jak żywa, lekko się wygina długim i wibrującym łukiem. Vernon mi się przygląda.
 - Lepiej idź - mówi. - Lepiej, żebyś tam był.
 - Zobaczymy, co jeszcze da się wydobyć, zanim zmyje w dół rzeki - mówię.
 Trzymamy się linki, przy ramionach robią się na prądzie wiry i dołki. Ale pod tą fałszywą gładkością popycha nas leniwie

-123-

prawdziwa siła. Nie myślałbym, że woda w lipcu może być taka zimna. Jakby jakieś ręce nas ugniatały i szturchały do szpiku kości. Vernon znowu się ogląda na brzeg.
 - Myślicie, że ona nas wszystkich utrzyma? - powiada. Też się oglądamy i patrzymy wzdłuż sztywnego pręta linki, która unosi się z wody do drzewa i Vardamana. Vardaman trochę kucnął i nie spuszcza z nas oczu. - Żałuję, że mój muł poderwał się i pognał do domu - dodaje Vernon.
 - Zabierajmy się - mówi Klejnot. - I wylaźmy stąd. Zanurzamy się po kolei, każdy uczepony linki, jeden łapie się drugiego, kiedy zimna ściana wody wysysa pochyłe muliste dno wstecz i pod prąd spod naszych stóp, i zawisamy macając po zimnym dnie. Nawet muł tam nie leży w miejscu. Jest chłodny i umkliwy, jakby sama ziemia pod nami się ruszała. Dotykamy się nawzajem i macamy po wyciągniętych rękach, u wieszając się ostrożnie na linie; albo, wyprostowując się kolejno, patrzymy, jak woda wsysa się i gotuje nad miejscem, gdzie któryś z nas gmera pod powierzchnią. Tata zszedł na brzeg i przygląda się nam.
 Wynurza się Vernon, ocieka wodą, twarz mu się cała zapadła wokół ściągniętych dmuchających ust. Wargi ma sinawe jak kółko wyblakłej gumy. Trzyma miarkę.
 - Ucieszy się - mówię. - Całkiem nowa. Kupił ją z katalogu dopiero w zeszłym miesiącu.
 - Gdybyśmy tylko na pewno wiedzieli, co jeszcze - powiada Vernon, ogląda się przez ramię i odwraca w tę stronę, gdzie zniknął Klejnot. - Czy on nie znurkował przede mną? - pyta.
 - Nie wiem - mówię. - Chyba tak. Tak. Tak, przed tobą. Patrzymy na tę gęsto zwirowaną powierzchnię, która odpływa od nas w powolnych skrętach.
 - Szarpnij mu linkę - powiada Vernon.
 - Jest na twoim końcu - mówię.
 - Na moim końcu nikogo nie ma - powiada Vernon.
 - Wyciągaj - mówię. Ale on już to zrobił i trzyma koniec linki nad wodą, i zaraz pokazuje się Klejnot. Jest dziesięć jardów dalej. Wypływa, parska, spogląda na nas, szarpie głową

-124-

i odrzuca swoje długie włosy do tyłu, potem spogląda na brzeg. Widzimy, jak nabiera powietrza w płuca.
 - Klejnot - mówi Vernon niegłośno, ale jego głos niesie się pełny i wyraźny po wodzie, stanowczy, ale z taktem.
 - To będzie tutaj. Lepiej wracaj.
 Klejnot znowu nurkuje. Stoimy opierając się prądowi i patrzymy na wodę w tym miejscu, gdzie się zanurzył, i trzymamy obwisłą linkę jak dwaj faceci, co by trzymali wylot szlauchu czekając na dopływ wody. Nagle za nami w wodzie zjawia się Dewey Dell.
 - Kaźcie mu wychodzić - mówi. - Klejnot! - mówi. Klejnot znów się wynurza i odrzuca włosy z oczu. Teraz

płynie w stronę brzegu, prąd znosi go ukośnie w dół rzeki.

- Ty, Klejnot - mówi Dewey Dell.

Stoimy, trzymamy linkę i widzimy, jak dobija do brzegu i wyłazi. Kiedy się wynurza z wody, nachyla się i coś podnosi. Wraca wzdłuż brzegu. Znalazł sznurek. Kiedy jest naprzeciw nas, staje i rozgląda się, jakby czegoś szukał. Tata schodzi nad wodę. Wraca popatrzeć na muły jeszcze raz, w wodzie unoszą się ich okrągłe brzuchy i powoli ocierają się o siebie w spokojnym zalewie zakrętu.

- Co zrobiłeś z tym młotkiem, Vernon? - pyta Klejnot.

- Oddałem go jemu - mówi Vernon pokazując głową na Vardamana. Vardaman patrzy za tatą. Potem spogląda na Klejnota. - Razem z kątownikiem.

Vernon przygląda się Klejnotowi. Rusza do brzegu wymijając Dewey Dell i mnie.

- A ty zabieraj się stąd - mówię. Dewey Dell nic nie mówi,

patrzy na Klejnota i Vernona.

- Gdzie młotek? - pyta Klejnot. Vardaman szuka na brzegu i podnosi go.

- Cięższy niż piła - mówi Vernon.

Klejnot spogląda na Vernona. Vernon jest też wysoki; wysoki i szczupły, stoją twarzą w twarz w przylepionych ciasno, mokrych ubraniach. Lon Quick potrafi nawet z zachmurzonego

-125-

nieba odczytać godzinę co do dziesięciu minut. To znaczy Duży Lon, nie Mały.

- Dlaczego nie wyłazisz z wody? - mówię.

- Nie popłynię jak piła - mówi Klejnot.

- Hebel prędzej popłynie jak piła niż ten młotek - mówi Vernon.

- Założę się - mówi Klejnot.

- Nie będę się zakładał - powiada Vernon. Stoją i patrzą na nieruchome ręce Klejnota.

- Do diabła - mówi Klejnot. - To dawaj ten hebel.

Biorą więc hebel, przywiązują go do końca sznurka i znów włączają do wody. Tata wraca brzegiem. Zatrzymuje się na chwilę i spogląda na nas, zgarbiony, ponury jak złachany wół albo długonogie stare ptaszysko.

Vernon i Klejnot wracają na środek rzeki pochyleni przeciwko prądowi.

- Nie stój nam na drodze - mówi Klejnot do Dewey Dell. - Nie stercz w tej wodzie.

Dewey Dell przyciska się trochę do mnie, żeby mogli przejść, Klejnot podnosi wysoko hebel jak coś, co może zniknąć, niebieski sznurek zwisa mu na plecach przez ramię. Mijają nas i zatrzymują się; spokojnie zaczynają się sprzeczać, w którym dokładnie miejscu wóz się przewrócił.

- Darł powinien wiedzieć - mówi Vernon. Spoglądają na mnie.

- Nie wiem - mówię. - Nie byłem tam tak długo.

- Cholera - powiada Klejnot. Posuwają się chwiejnie dalej, pochyleni pod prąd, badają bród stopami.

- Trzymasz się linki? - pyta Vernon. Klejnot nie odpowiada. RzUCA okiem w tył, na brzeg, mierzy odległość spojrzeniem i znów patrzy na wodę. Wyrzuca hebel za bród i wypuszcza sznurek przez palce, aż mu sinieją w tym miejscu, gdzie się sznurek ociera. Kiedy sznurek się zatrzymuje, podaje go do tyłu Vernonowi.

- Lepiej, jak ja wejść tym razem - mówi Vernon.

-126-

Znowu Klejnot nie odpowiada, patrzymy, jak nurkuje pod powierzchnię.

- Klejnot - skomli Dewey Dell.

- Tu nie tak głęboko - mówi Vernon. Nie ogląda się. Patrzy na wodę w miejscu, gdzie zanurzył się Klejnot.

Klejnot się wynurza, ma ze sobą piłę.

Kiedy przechodzimy koło wozu, tata stoi przy nim i trze te dwie smugi błota garścią liści. Na tle zarośli koń

Klejnota wygląda jak pozszywana z jaskrawych szmatek kołdra zawieszona na sznurze.

Cash się nie poruszył. Stoimy nad nim i trzymamy hebel, piłę, kątownik, sznurek i miarkę, a Dewey Dell przykuca i podnosi mu głowę.

- Cash - powiada. - Cash:

Otwiera oczy i z głębokości spogląda na nasze skupione nad nim twarze.

- Widział kto takiego pechowca - powiada tata.

- Popatrz, Cash - powtarzamy i podnosimy jego narzędzia, żeby mógł je widzieć. - Co jeszcze miałeś?

Chce coś powiedzieć, obraca głowę i zamyka oczy.

- Cash - mówimy. - Cash.

Obraca głowę po to, żeby zwymiotować. Dewey Dell ociera mu usta ręką mokrej spódnicy; teraz może mówić.

- Rozwierak do piły - mówi Klejnot. - Ten nowy, co go kupił razem z linią.

I już wstaje, i odchodzi. Vernon podnosi oczy i spogląda za nim jeszcze siedząc w kucki. Potem wstaje i idzie za Klejnotem do rzeki.

- Widział kto takiego pechowca - powiada tata. Siedzimy w kucki, a on sterczy nad nami, wygląda jak figura z grubsza wyciosana w twardym drzewie przez pijanego karykaturzystę. - Dopust boski - powiada. - Ale i to dla niej zniosę. Nawet nie powie, że nie. - Dewey Dell z powrotem położyła głowę Casha na zwiniętej marynarce, trochę ją odsunęła, żeby nie trafić w wymiociny. Obok niego leżą jego narzędzia. - Można by rzec,

-127-

że to szczęście, że tę samą nogę złamał co wtedy, kiedy spadł z tego kościoła - powiada tata. - Ale i to dla niej przetrzymam. Klejnot z Vernonem znów są w rzece. Kiedy się patrzy stąd, zdaje się, że wcale nie mącą powierzchni wody; tak jakby jednym ciosem ich obu ucięła, oba torsy poruszają się po powierzchni wody z drobiazgową i śmieszna ostrożnością, a woda wygląda spokojnie, jak mechanizm, na który się patrzy od dawna i którego od dawna się słucha. Jakby to ździebło, jakim jest człowiek, zmieszało się z nieskończonym pierwotnym ruchem, sam wzrok oślepił i sam słuch ogłuchł, sama żądza ucichła w zastoju. Mokra spódnica siedzącej w kucki Dewey Dell oblepia i ukazuje martwym spojrzeniem trzech ślepych mężczyzn śmieszne krągłości, które są horyzontami i dolinami ziemi.

-128-

CASH

Nie miała równowagi. Mówiłem im, że jak chcą ją ustawić i wieźć w równowadze, to muszą...

-129-

CORA

Rozmawialiśmy któregoś dnia. Nigdy nie była na sto procent religijna, nawet po tym piknikowym zebraniu tamtego lata, kiedy Brat Whitfield zmagał się z jej duchem, wybrał ją i walczył z próżnością jej śmiertelnej duszy, i kiedy tyle razy mówiłam jej: Pan Bóg ci dał dzieci jako pociechę w ciężkiej ludzkiej doli i dowód własnego cierpienia i miłości, bo w miłości je poczęłaś i urodziłaś. Tak powiedziałam, bo ona uważała miłość boską i swój obowiązek wobec Pana Boga za coś oczywistego, a takie postępowanie Panu Bogu nie jest miłe. Mówię: - Z Jego łaski możemy nasze głosy podnosić w nieustającej Jego chwale, bo, mówię, więcej jest radości w niebie z jednego grzesznika niż ze stu, którzy nigdy nie zgrzeszyli. A ona na to: - Mój dzień powszedni to ciągła świadomość i pokuta za grzechy - a ja na to:

- Kimże ty jesteś, żeby mówić, co jest grzechem, a co nie jest grzechem? Do Boga należy sądzenie, do nas głoszenie chwały Jego miłosierdzia i świętego imienia, kiedy wysłuchuje naszych śmiertelnych bliźnich - bo On jeden potrafi zajrzeć w ludzkie serce, i nie może kobieta wiedzieć, czy nie ma grzechu na duszy, tylko dlatego że życie jej jest prawe w oczach ludzkich, jeżeli nie otworzy swego serca Panu i nie otrzyma Jego łaski. -Samo to - powiadam - że jesteś wierną żoną, jeszcze nie znaczy, że nie masz grzechu na duszy, a samo to, że życie masz ciężkie, wcale nie znaczy, że łaska boska cię usprawiedliwia.

- A ona na to: - Znam swój grzech. Wiem, że zasłużyłam na

-130-

swoją karę. Zniosę ją dla Boga. - A ja na to: - To z pychy sama rozsądzasz o grzechu i zbawieniu zamiast zostawić sąd Bogu. Przeznaczeniem człowieka śmiertelnego jest cierpieć i wznosić głos w chwale Tego, który sądzi grzech i ofiaruje nam zbawienie przez próby i doświadczenia po wieki wieków amen. I to po tym, kiedy Brat Whitfield, mąż Boży, jakiego nie było na ziemi, modlił się i walczył o ciebie, jak tylko to on może -

powiadam. Bo nie nam sędzić nasze grzechy czy rozstrzygać, co jest grzechem w oczach boskich. Ciężkie miała życie, ale która ko-bieta ma lżejsze. A z tego, co mówiła, myślałbyś, że więcej wie o grzechu i zbawieniu niż sam Pan Bóg, niż ci, co walczyli i zmagali się z grzechem na tym doczesnym świecie. A jedyny grzech, jaki popełniła, to wyróżnianie Klejnota, co jej wcale nie kochał, i ten grzech był już sam karą,-i to kosztem Darła, którego Pan Bóg nazaczył, a my, śmiertelni, uważaliśmy za pomyłonego, i który ją kochał. - Oto twój grzech - powiadam. - I twoja pokuta. Ale gdzie twoje zbawienie? A życie przecie krótkie -powiadam. - Mało czasu na osiągnięcie zbawienia wiecznego. A Pan Bóg jest Bogiem zazdrosnym. Do niego należy sąd i miara, nie do ciebie.

- Wiem - powiada ona. - Ja... - I urwała, a ja na to:

- Co wiesz?

- Nic - powiada. - On jest mój krzyż i on będzie moim zbawieniem. On mnie wyniesie z ognia i wody. Nawet kiedy oddam swoje życie, on mnie wybawi.

- Skąd wiesz, jeśli nie otworzysz serca przed Bogiem i nie zaśpiewasz na Jego chwałę? - powiadam. I wtedy pojęłam ją, że ona nie mówi o Bogu. Pojęłam ją, że w pysze swojego serca świętokradcze powiedziała słowa. I zaraz tam na miejscu padłam na kolana. Błagałam ją, żeby uklękała, otworzyła swoje serce i wyrzuciła z niego szatana pychy, i zdała się na łaskę boską. Ale nie chciała. Siedzi zatracona w swojej próżności i dumie, co zamknęły jej serce przed Bogiem i na Jego miejsce wprowadziły samolubnego śmiertelnika, tego chłopaka. Uklękałam tam i pomodliłam się za nią. Pomodliłam się za tę biedną, zaślepioną kobietę, jak się nigdy nie modliłam za siebie i swoich.

-131-

ADDIE

Po południu, kiedy kończyły się lekcje i ostatnie już wyszło pociągając tym swoim zasmarkanym kulfonem, ja, zamiast do domu, schodziłam na dół do źródła, gdzie mogłam sobie siedzieć spokojnie i ich nienawidzić. Cicho było, banieczki wody wyskakiwały do góry i odpływały, słońce spokojnie chyliło się w drzewach i łagodnie pachniały wilgotne, gnijące liście i świeża ziemia; szczególnie wczesną wiosną, bo wtedy było najgorzej.

Mogłam sobie tylko wspominać, jak to ojciec mówił, że żyje się jedynie po to, żeby być gotowym na długie leżenie w grobie. I kiedy ich tak musiałam oglądać dzień w dzień, czy to dziewczyna, czy chłopiec, każde ze swoim sekretem i samolubnym zamysłem, jedno drugiemu obce z krwi i obce mnie i mojej krwi, i kiedy pomyślałam, że to chyba jedna jedyna droga, żeby się przygotować do leżenia w grobie, nienawidziłam ojca za to,

I że w ogóle mnie posiał na tej ziemi. Wspominałam chwile, kiedy byli niegrzeczni i mogłam bić. Każde uderzenie pręta czułam na własnej skórze, z każdej pręgi i cięcia tryskała moja krew i z każdym uderzeniem myślałam: Teraz wiesz, że ja żyję! Wtargnęłam oto w twoje skryte i samolubne życie, nazaczyłam twoją krew swoją krwią na wieki wieków.

I tak przyjełam Anse'a. Widziałam go ze trzy czy cztery razy, jak przejeżdżał koło szkoły, zanim się dowiedziałam, że w tym celu zbaczał z drogi całe cztery mile. Już wtedy zauważyłam,

-132-

że się zaczyna garbić - choć był młody i wysoki - już wtedy wyglądał na wozie jak wysoki ptak skulony na zimnie. Przejeżdżał obok szkoły, wóz poskrzypywał pomału, a on sam na posuwającym się wozie pomału odwracał głowę nie spuszczać z oczu drzwi, dopóki nie zniknął za zakrętem. Któregoś dnia podeszłam do drzwi i stanęłam w nich, kiedy przejeżdżał. Kiedy mnie zobaczył, prędko odwrócił głowę i już się nie obejrzał. Najgorzej było wczesną wiosną. Czasem to już myślałam, że nie wytrzymam, leżałam w nocy na łóżku, dzikie gęsi odlatywały na północ i z dzikiej ciemności dolatywały słabo ich wysokie dzikie krzyki, a w dzień zdawało się, że już się nie doczekam, aż ostatni dzieciak wyjdzie i będę mogła zejść do źródła. Toteż kiedy tamtego dnia podniosłam oczy i zobaczyłam, że Anse stoi tam w tym swoim niedzielnym ubraniu i bez końca obraca i obraca kapelusz w rękach, powiedziałam:

- Jeżeli macie w domu jakie kobiety, to nie rozumiem, dlaczego nie każą wam się ostrzyć?

- Nie mam żadnej - powiedział. I potem zaraz dodał, spuszczać na mnie te swoje oczy jak dwa psy na obcym podwórzu: - Właśnie w tej sprawie ja do was.

- I dlaczego wam nie każą trzymać się prosto - mówię jeszcze. - Nie macie żadnej? Ale dom macie. Ludzie mówią, że macie dom i dobrą farmę. I sami tam mieszkacie, i sami sobie radzicie, co? - Tylko na mnie popatrzył i obraca kapelusz w rękach. - Nowy dom - powiedziałam. - Macie zamiar się ożenić?

A ten znów podnosi oczy do moich i powtarza:

- Właśnie w tej sprawie ja do was. Później mi powiedział:

- Nie mam nikogo. Utrapienia z moją rodziną mieć nie będziecie. Widzi mi się, że wy inaczej.

- Racja. Ja mam rodzinę. W Jefferson.

Trochę mu mina zrzędła.

- No, mam trochę ziemi. Jestem oszczędny, mam opinię uczciwego i rzetelnego. Wiem, jacy są ci miastowi, ale może kiedy pogadają ze mną.

-133-

- Może i będą słuchać - powiedziałam. - Ale trudno będzie się z nimi dogadać. - Patrzył mi w twarz. - Leżą na cmentarzu.

- Ale ci, co żyją - on na to. - Z nimi będzie inaczej.

- Tak? - powiedziałam. - Nie jestem pewna. Nigdy poza tymi, co na cmentarzu, innych nie miałam.

Tak przyjełam Anse'a. A kiedy zrozumiałam, że Cash jest w drodze, zrozumiałam też, że życie jest straszne, i tyle. To wtedy pojełam, że słowa są na nic; że nie pasują nawet do tego, co próbują wyrazić. Kiedy się urodził, zrozumiałam, że macierzyństwo wynalazł ktoś, komu było na to potrzebne jakieś słowo, bo ci, co mają dzieci, nie troszczą się, czy jest na to słowo, czy nie. Zrozumiałam, że lęk wynalazł ktoś, kto się nigdy nie bał; dumę ktoś, kto nie zaznał dumy. Pojełam, że nie o to chodziło, że były usmarkane, ale że jedni drugich musimy używać słowami, tak jak pajaki na wysnutej z ust pajęczynie zwieszają się z belki, kołyszą się, kręcą, ale nie dotykają, że tylko przez uderzenia tego pręta moja krew i ich krew mogła płynąć jednym strumieniem.

Pojełam, że to było nie tak, że moja osobność musiała dzień po dniu na nowo doznawać gwałtu, ale że nie zaznała gwałtu wcale aż do przyjścia Casha. Nie gwałcił jej nawet Anse po nocach.

On też miał swoje słowo. Miłość - mówił. Aie już od dawna przywykłam do słów. Wiedziałam, że i to słowo jest takie jak inne: tylko kształt zastępczy; że kiedy przyjdzie czas, też nie będzie potrzeba słów tak samo jak na dumę czy lęk. Cash nie musiał tego do mnie mówić ani ja do niego, i powtarzałam: niech go Anse używa, kiedy chce. Anse albo miłość, miłość albo Anse - to nie miało znaczenia.

Myślałam tak nawet wtedy, kiedy leżałam z nim po ciemku, a Cash spał w kołysce tak blisko, że go mogłam kołysać ręką. Myślałam, że gdyby się obudził i zapłakał, to jeszcze dam mu piersi. Anse albo miłość - to nie miało znaczenia. Moja osobność została pogwałcona i znowu scalona przez ten gwałt: czas, Anse, miłość, co tylko chcecie, wszystko na zewnątrz pierścienia.

Potem okazało się, że Darl jest w drodze. Najpierw nie chciałam wierzyć. Potem nabrałam pewności, że zabiję Anse'a. Było

-134-

tak, jakby mnie podszedł, ukryty za słowem jak za papierową zasłoną uderzył mnie spoza niej podstępem. Ale zaraz zrozumiałam, że podeszły mnie słowa starsze niż Anse i miłość i że to samo słowo podeszło tak samo i jego, i że moją zemstą będzie to, że on się nigdy nie dowie, że ja się mszczę. A kiedy Darl się urodził, poprosiłam Anse'a, żeby mi obiecał, że mnie odwiedzi z powrotem do Jefferson, kiedy umrę, bo zrozumiałam, że ojciec miał rację, nawet jeśli nie bardziej wiedział, że ją ma, niż ja wiedziałam, że się mylę.

- Bzdura - powiedział Anse. - Ty i ja jeszcześmy nie nama-chali swego, dopiero mamy dwóch.

Nie wiedział wtedy, że jest martwy. Leżę ja czasem koło niego po ciemku i słyszę tę ziemię, co się teraz stała moja z krwi i kości, i myślę: Anse; dlaczego Anse? Dlaczego nazywasz się Anse? I myślę o jego imieniu, aż po jakimś czasie widzę to słowo jako kształt, naczynie i widzę, jak on się roztopia i wlewa w to naczynie jak zimny syrop wypływający z ciemności, aż dzban jest pełny i nieruchomy; pełen znaczenia kształt do dna bez życia jak puste odrzwia; wtedy okazuje się, że nie pamiętam imienia tego dzbana. Myślę ja: tam, gdzie byłam dziewczicą, moje ciało ma kształt i nie przychodzi mi na myśl Anse, nie przypominam sobie Anse'a. To nie to, że mogłam teraz o sobie myśleć już nie jako o nie-dziewicy, bo już teraz byłam potrójna. I ile razy myślałam Cash albo Darl też w ten sposób, a ich imiona zanikały i krzęły w kształt, i zacierały się, powtarzałam: Dobrze. To nie jest ważne, jak ich zwać.

Toteż jak mi Cora Tull mówiła, że nie jestem prawdziwą matką, przychodziło mi na myśl, że słowa unoszą się prościutko w górę cienką linią, szybko i nieszkodliwie, a czyny straszliwie wloką się po ziemi i czepiają się jej, tak że po jakimś czasie te dwie linie są już za daleko od siebie, żeby jedna osoba mogła stanąć jedną nogą na jednej z nich, a drugą na drugiej; i że grzech, miłość i lęk to są tylko dźwięki oznaczające dla ludzi, którzy ni-

-135-

z

gdy ani nie zgrzeszyli, ani nie kochali, ani nie bali się, to, czego oni nigdy nie mieli i mieć nie mogą, dopóki nie zapomną tych słów. Jak Cora, która nawet gotować nigdy nie umiała.

Wciąż mi mówiła o moich obowiązkach wobec dzieci, Anse'a i Boga. Dałam Anse'owi dzieci. Nie prosiłam o nie. Nawet jego nie prosiłam o to, co mógłby mi dać: o nie-Anse'a. To był mój obowiązek wobec niego, nie prosić o to, i wypełniłam ten obowiązek. Ja byłam ja; jemu pozwalałam być kształtem i dźwiękiem jego słowa. To było więcej, niż chciał, bo nie mógłby tego chcieć i być sobą, i posługiwać się tak sobą przy pomocy słowa. A potem umarł. Nie wiedział, że nie żyje. Leżę ja przy nim po ciemku i słyszę, jak ciemna ziemia mówi p miłości Boga, Jego piękności i Jego grzechu; słyszę ciemne bezgłośnie, w którym słowa są czynami, a te inne słowa, które czynami nie są, które są tylko pustymi miejscami zamiast ludzi, spadają jak krzyki gęsi z dzikiej ciemności dawnych strasznych nocy szukając po omacku czynów jak sieroty, którym w tłumie pokazano dwie twarze i powiedziano: To jest twój ojciec, to twoja matka.

Już myślałam, że rozumiem. Myślałam, że powodem jest obowiązek wobec żywych, wobec okrutnej krwi, tego czerwonego palącego potoku, kipiącego przez ziemię. Myślałam o grzechu jak o ubraniach, które oboje wkładaliśmy na siebie przed oczyma świata, o ostrożności koniecznej dlatego, że ja byłam ja, a on był on; o grzechu tym wyraźniejszym i tym straszniejszym, że on był instrumentem naznaczonym przez Boga, który stworzył grzech, instrumentem mającym uświęcić ten grzech, który on stworzył. Kiedy czekałam na niego w lesie, kiedy czekałam, zanim mnie zobaczył, myślałam o nim, że jest ubrany w grzech. Myślałam, że on myśli o mnie, że też jestem ubrana w grzech, a że on jest tym piękniejszy, że swój strój uświęcony zamienił na grzech. Myślałam o grzechu jak o ubraniu, które zdejmujemy, aby zniewolić tę okrutną krew w kształt posłuszny dalekiemu echu martwego słowa na wysokości. I znów leżałam z Anse'em - nie kłamałam mu: po prostu mu odmawiałam, jak odmówiłam

-136-

piersi Cashowi i Darlowi, kiedy już z tego wyrosli - i słuchałam, jak ciemna ziemia mówi bez głosu. Nic nie ukryłam. Nikogo nie chciałam oszukać. Nie dbałam o to. Zachowałam tylko ostrożność, którą on uważał za konieczną ze względu na niego, a nie na moje bezpieczeństwo, ale tylko tak, jak wkładałam ubranie, żeby się pokazać światu. I słuchając Cory myślałam sobie, jak to z biegiem czasu te martwe słowa na wysokości chyba nawet tracą znaczenie martwego dźwięku.

I już było po wszystkim. Po wszystkim, bo on odszedł i wie- % działałam o tym, bo choć go jeszcze widywałam, już nigdy nie miałam patrzeć, jak idzie do mnie szybko i ukradkiem przez las, ubrany w grzech jak w zwykowny strój już rozwiany w pośpiechu tajemnego przyjścia.

Ale dla mnie nie było po wszystkim. To znaczy na tyle, o ile coś się zaczyna i kończy, bo dla mnie już w niczym nie było ani początku, ani końca. Nawet dalej odmawiałam Anse'owi, nie czasowo, ale jakby nigdy inaczej nie było. Moje dzieci były tylko ze mnie, z tej dzikiej krwi kipiącej poprzez ziemię, ze mnie i ze wszystkiego, co żyje; z niczego i ze wszystkiego. Wtedy odkryłam, że Klejnot jest w drodze. Kiedy się obudziłam i przypomniałam sobie, i odkryłam to, już miał dwa miesiące.

Mój ojciec powiedział, że po to się żyje, żeby być gotowym na leżenie w grobie. Zrozumiałam go wreszcie i rozumiałam, że sam na pewno nie wiedział, co mówi, bo mężczyzna nie potrafi nawet sprzątnąć po tym w domu. Toteż sama po sobie uprzątnęłam. Z Klejnotem zległam przy lampie, sama uniosłam głowę i patrzyłam, jak się przepycha i przebija, i łapie oddech - dzika krew wykipiiała i ucichła. I było już tylko mleko, ciepłe i spokojne, i leżałam spokojnie w łagodnej ciszy, i szykowałam się do uprzątnięcia domu.

Dałam Anse'owi Dewey Dell za Klejnota. Potem dałam mu Vardamana w miejsce tego dziecka, które mu ukradłam. I teraz ma troje dzieci, co należą do niego, nie do mnie. I teraz mogłam się przygotować do śmierci.

-137-

Któregoś dnia rozmawiałam z Corą. Modliła się za mnie, przekonana, że jestem ślepą na grzech, i chciała, żebym uklękła i też się modliła, bo dla ludzi, dla których grzech to tylko sprawa słów, i zbawienie jest tylko sprawą słów.

-138-

WHITFIELD

Kiedy usłyszałem, że ona umiera, całą noc zmagalem się z szatanem i wyszedłem z tej walki zwycięsko. Otworzy mi się oczy na ogrom mego grzechu; ujrzałem wreszcie prawdziwe światło i padłem na kolana, i wyznałem przed Bogiem, błagałem go o wskazówkę i otrzymałem ją.

- Wstań - powiedział - i napraw krzywdę wyrządzoną temu domowi, w który wprowadziłeś żyjące kłamstwo, wynagrodź tym ludziom, z którymi pogwałciłeś moje słowo; głośno wyznaj swój grzech. To oni, to ów oszukany mąż ma ci przebaczyć, nie ja.

Poszedłem więc. Dowiedziałem się, że most Tulla zniósł; powiedziałem: - Dzięki Ci, Boże, Wszechmogący Władco wszystkiego. - Bowiem niebezpieczeństwa i trudy, które musiałem przewycięzać, pokazały mi, że On mnie nie opuścił; że tym słodszy będzie mój powrót do świętego Bożego pokoju i miłości. - Nie daj mi tylko zginąć, nim zdążę błagać o przebaczenie człowieka, którego zdradziłem - modliłem się. - Niechaj nie przyjdę za późno; niechaj opowieść o moim i jej występku nie wyjdzie z jej ust zamiast z moich. Przysięgła wtedy, że nigdy o tym nie powie, ale strach stanąć w obliczu wieczności, czyż ja sam nie zmagalem się wręcz z szatanem? Niechaj także nie spadnie na moją duszę jej grzech, gdyby złamała przysięgę. Niechaj mnie

-139-

nie pochłoną wody Twego gniewu, zanim nie obmyję duszy w obecności tych, których skrzywdziłem. To Jego dłoń przeniosła mnie bezpiecznie przez wody i strzegła przed niebezpieczeństwem powodzi. Koń się przeraził i we mnie duch upadł, kiedy leciały na mnie małego ogromne kłody i wyrwane z korzeniami drzewa. Ale serce wytrzymało: raz po raz w ostatniej chwili odwracała się ode mnie niechybna śmierć i wznosiłem swój głos nad huk powodzi: - Chwała Ci, Wszechmogący Panie i Władco. Oto dowód, że oczyszczę ducha i znajdę na powrót przystań Twojej nieustającej miłości.

Pewny już byłem przebaczenia. Powódź i niebezpieczeństwo zostały poza mną, jechałem znów po twardym gruncie i w miarę jak miejsce mego Ogrójca się zbliżało, układałem sobie słowa, jakich użyję. Wejdę do tego domu; przerwę jej, zanim zacznie mówić; powiem do jej męża: Anse, zgrzeszyłem. Oddaję się w twoje ręce. Już było tak, jakbym to zrobił. Czułem się lżejszy na duchu, spokojniejszy od lat; jechałem tam i już jakbym na powrót odnalazł wieczysty spokój. Czułem, jak mnie wspiera Jego ręka; w sercu słyszałem Jego głos: Odwagi. Jestem z tobą.

I dojechałem do Tulla. Kiedy ich mijalem, wyszła jego najmłodsza i zawołała na mnie. Powiedziała mi, że ona już nie żyje. Zgrzeszyłem, o Panie, Ty wiesz, jak głęboko żałuję i czego pragnął mój duch. Ale On jest miłosierny; przyjmie pragnienie zamiast czynu, On wie, że kiedy układałem słowa wyznania, przeznaczone one były dla Anse'a, choć go tam nie było. To On w swej nieskończonej mądrości nie dopuścił tych słów na jej konające wargi, kiedy leżała otoczona tymi, którzy ją kochali i wierzyli jej; mnie sądzone było zmaganie się z wodą, które zniósłem wspierany Jego silną ręką. Chwała Ci w Twojej bezgranicznej i wszechmocnej miłości, o chwała.

Wszedłem do domu żałoby, lichej siedziby tamtego śmiertelnego ciała, którego dusza stoi już przed strasliwym i nieodwołalnym sądem, pokój niech będzie jego prochom.

- Łaska boska niech spłynie na ten dom - powiedziałem.

-140-

DARL

Pojechał konno do Armstida i wrócił na koniu z zaprzęgiem Armstida. Zaprzęgliśmy i położyliśmy Casha na Addie. Kiedyśmy go kładli, znowu zwymiotował, ale na czas przechylił głowę przez wóz.

- I z żołądkiem coś nie tak - powiada Vernon.

- Koń mógł go lignąć i w żołądek - mówię. - Kopnął cię w żołądek, Cash?

Próbował coś powiedzieć. Dewey Dell znów mu otarła twarz.

- Co mówi? - pyta Vernon.

- Co mówiłeś, Cash? - pyta Dewey Dell. Pochyliła się. - Jego narzędzia - powiada. Vernon je zebrał i położył na wóz. Dewey Dell podniosła głowę Cashowi, żeby zobaczył. Ruszyliśmy, Dewey Dell i ja przy Cashu, żeby go podtrzymywać, a ten przed nami na koniu. Vernon został chwilę i popatrzył za nami. Potem zawrócił i ruszył w stronę mostu. Szedł chwiejnie i zaczął otrzepywać rękawy koszuli, jakby dopiero co się zamoczył.

Siedział na koniu przed wrotami. Armstid czekał u wrót. Zatrzymaliśmy się, on zsiadł, zdjęliśmy Casha i wnieśliśmy go do domu, gdzie pani Armstid przygotowała łóżko. Pani Armstid i Dewey Dell zaczęły go rozbierać, a my wyszliśmy.

Wyszliśmy za tatą do wozu. Wrócił do wozu, wsiadł i ruszył do zagrody, a my za nim pieszo. Pomogło to, żeśmy byli mokrzy, bo Armstid powiada:

-141-

- Proszę do domu. Możecie ją tu wstawić.

Ten za nami z koniem i zatrzymał się przy wozie z wodzami w ręku.

- Dziękuję wam - powiedział tata. - Skorzystamy z tej szopy. Wiem, że nadużywamy waszej gościnności.

- Proszę do domu - powtórzył Armstid. Znów miał ten drewniany wyraz twarzy, twarz wyzywającą, grubiańską, czerwoną i sztywną, jakby ona cała i oczy były wycięte z drzewa, innego koloru, nie z takiego, jak trzeba, jasnego drzewa, i nie z takiego jak trzeba, ciemnego. Koszula zaczynała mu wysychać, ale przy ruchach wciąż jeszcze ciasno mu się lepiała do ciała.

- Byłaby wam wdzięczna - powiedział tata. Wyprzęgliśmy muły i tyłem wtoczyliśmy wóz do szopy, nie osłoniętej z jednej strony.

- Tu nie napada - powiedział Armstid. - Ale jak wolicie... Za stodołą leżało parę zardzewiałych arkuszy blachy do krycia dachu. Wzięliśmy dwa i zastawiliśmy nimi otwór szopy.

- Prosimy do domu - powiada Amutid.

- Dziękuję wam - mówi tata. - Pięknie by to było, jakbyście im dali coś przegryźć.

- A jakże - powiada Armstid. - Lula przygotowuje kolację, jak tylko zadba o Casha. - A ten już znowu przy koniu i zdejmuje siodło, a co się poruszy, mokra koszula chlapie go po plecach.

Tata nie chciał wejść do domu.

- Wejdźcie i zjedzcie - mówi Armstid. - Już prawie gotowe.

- Nie będę nikogo o nic prosił - powiada tata. - Dziękuję wam.

- Chodźcie do domu, osuszcie się i zjedzcie - mówi Armstid. - Tu jej się nic nie stanie.

- To dla niej - powiada tata. - Dla niej to robię, że przyjmuję jedzenie. Nie mam już mułów, nie mam nic. Ale ona będzie wam wdzięczna za jednego.

| - A jakże - mówi Armstid. - Wchodźcie, ludzie, i osuszcie się-

-142-

Kiedy jednak Armstid dał tacie się napić, tata poczuł się lepiej, a kiedy poszliśmy zobaczyć, co z Cashem, ten z nami nie wszedł. Oglądam się, a on prowadzi konia do stodoły, już mówił o drugim zaprzęgu i zanim kolacja była gotowa, już tak, jakby te muły kupił. A ten już w stodole, już się gładko przemyka obok tej wierzgającej jaskrawej furii, już jest też w boksie. Włazi na żłób, ściąga na dół siano, wychodzi z boksu i znajduje zgrzebło. Już wraca, przemyka się szybko, koń wierzga raz, miażdżąc, o włos od niego, ten się wspina nad konia tak, że go już nie może sięgnąć. Czesze go zgrzeblem, ze zręcznością akrobata trzyma się poza zasięgiem jego kopyt i przeklina go szeptem, czułymi i plugawymi wyzwiskami. Koń rzuca głową, szczyrzy zęby; w ciemności toczy oczami jak szklanymi kulkami po pstrokatym atłasie, a on go wali w pysk zgrzeblem.

-143-

ARMSTID

Ale zanim mu dałem drugi łyżeczek whisky i zanim kolacja była gotowa, ten już zdążył od kogoś na kredyt kupić parę mułów. Już ci wybiera i przebiera, i grymasi, ta para mu się nie podoba, a od Tegotoatego nigdy by za grosz nic nie kupił, nawet kojca dla kur.

- Pogadajcie może ze Snopesem - powiadam. - Ten ma ze trzy, cztery zaprzęgi. Może któryś wam się nada. I wtedy ten zaczyna mlamlać gębą i patrzy na mnie, jakbym to ja tutaj miał jedyną parę mułów i nie chciał mu jej sprzedać, a ja przecie wiem, że jak nic to już moje muły muszą go wyciągnąć, jak się w ogóle ma wynieść z mojego podwórza. Tylko że nie wiem, na co im się to zda, nawet gdyby mieli muły. Little-john mi powiedział, że na porzecznym gruncie Haleya tamę zerwało na długości dwóch mil i że do Jefferson można by jechać tylko objazdem przez Mottson. Ale to nie moje zmartwienie, tylko Anse'a.

- To twardy człowiek w interesach - powiada i mlamle gębą. Ale jak mu jeszcze naląłem po kolacji, trochę się rozchmurzył. Miał zamiar wracać do stodoły i siedzieć przy swojej. Może mu się zdawało, że jak tam będzie siedział gotowy do drogi, to święty Mikołaj przyniesie mu parę mułów. - Ale chyba dogadam się z nim - powiada. - Człowiek zawsze jeden drugiemu

-144-

w potrzebie pomoże, jak ma w sobie kroplę krwi chrześcijańskiej.

- Ano, ja wam przecie chętnie użyję swoich mułów - mówię i wiem, że on prawie pewny, że to dlatego.

- Dziękuję wam - on na to. - Ona będzie chciała jechać własnymi - i wie, że ja jestem prawie pewny, że to dlatego.

Po kolacji Klejnot pojechał na Zakręt po doktora Peabody. Słyszałem, że ma tam być dzisiaj u Varnera. Klejnot wrócił koło północy. Peabody pojechał gdzieś pod Inverness, ale z Klejnotem przyjechał Wuj Billy z torbą końskich leków. Jak mówi, -jakby nie było, człowiek nie tak się znów różni od konia czy muła, tyle że koń albo muł więcej mają rozumu.

Patrzy na Casha i powiada:

- Gdzieżeś znów teraz włazł, synu? Dajcie mi siennik, krzesło i szklankę whisky - mówi.

Kazał Cashowi wypić whisky i wygonił Anse'a z izby.

- Szczęście, że to ta sama noga, co ją złamał zeszłego lata -powiada Anse, zasępiony, i mlamle gębą, i mruga. - To już coś.

Złożony siennik położyliśmy Cashowi przez nogi, na sienniku postawiliśmy krzesło, ja z Klejnotem siedzieliśmy na tym krześle, dziewczucha trzymała lampę, a Wuj Billy odgryzł sobie tytoniu i zabrał się do roboty. Jakiś czas Cash dobrze się rzucał, ale potem zemdlał. Leżał już odtąd spokojnie, wielkie krople potu wystąpiły mu na twarz, jakby już, już miały się stoczyć, ale się zatrzymały i czekały na niego.

Kiedy się ocknął, Wuj Billy już zebrał swoje rzeczy i odjechał. Cash chciał coś powiedzieć, ale nie mógł, aż ta dziewczucha nachyliła się i otarła mu usta.

- To jego narzędzia - powiada ona.

- Przyniosłem - mówi Darl. - Mam je. Znów spróbował coś powiedzieć, nachyliła się.

- Chce je zobaczyć - powiada.

Wtedy Darl je przyniósł bliżej, żeby Cash zobaczył. Wsunęli je pod łóżko, żeby mógł sięgnąć ręką i dotknąć, jak mu się zrobi lepiej. Na drugi dzień Anse wziął tego konia i pojechał

-145-

na Zakręt pogadać ze Snopesem. Anse i Klejnot postali na podwórzu i pogadali, a potem Anse wsiadł na konia i pojechał. To chyba pierwszy raz Klejnot dał komu jechać na tym koniu i zanim Anse wrócił, włóczył się jak nieprzytomny i nie spuszczał oka z drogi, jakby już prawie się zdecydował lecieć za Anse'em i odebrać konia. Koło dziewiątej zaczęło przypiekać. Dopiero wtedy zobaczyłem pierwszego sępa. Chyba dlatego, że mokro było. Tak czy owak, dnia już minęło kawał, zanim je zobaczyłem. Na szczęście wiatr wiał od domu i przez to trochę czasu minęło. Ale jak je tylko zobaczyłem, zaraz chyba ją poczułem aż na polu, z milę od domu, od samego tego, że je zobaczyłem, a potem już każdy mógł wiedzieć, co jest w mojej stodole, bo już krążyły i nie odlatywały.

Jeszcze miałem dobre pół mili do domu, kiedy usłyszałem wrzaski tego chłopaka. Pomyślałem, że może wpadł

do studni czy co, więc zacinam muły batem i raz dwa zajeżdżam w obejście.

Chyba ich blisko dwadzieścia siedzi na szczycie stodoły i jeszcze jednego ten chłopak gania po podwórzu niby indyka, a ten się tylko tyle podrywa, żeby mu uciec, i macha skrzydłami, i podfruwa z powrotem na dach szopy, gdzie go ten chłopak zastał na trumnie. Już się wtedy dobrze gorąco zrobiło, wiatr opadł albo się odwrócił, albo coś, więc idę ja do Klejnota. Ale Lula wyszła przed dom.

- Musisz coś zrobić - powiada. - To zgroza.

- Właśnie mam ten zamiar - mówię.

- To zgroza - powiada Lula. - Trzeba by na niego prawa za to, jak on się z nią obchodzi.

- Stara się, jak może, żeby ją pochować - mówię. Odszukałem Klejnota i pytam go, czyby nie chciał wziąć jednego muła, jechać na Zakręt i rozejrzeć się za Anse'em. Ten nic. Popatrzył tylko na mnie, szczęki mu zbieleły jak kość i te jego oczy zbieleły

jak kość, i dalej woła Darla.

- Co to chcesz zrobić? - pytam.

-146-

Nie odpowiada. Wyszedł Darl.

- Chodź - mówi Klejnot.

- Co chcesz zrobić? - pyta Darl.

- Wyciągnąć wóz - powiada Klejnot przez ramię.

- Nie bądź głupi - mówię. - Nic takiego nie powiedziałem. Nic na to nie poradzisz.

I Darl się ociąga, ale Klejnotowi nic nie wybijesz z głowy.

- Stul ten głupi pysk - powiada.

- Gdzieś musi stać - mówi Darl. - Zabralibyśmy, jak tylko tata wróci.

- To mi nie pomożesz? - pyta Klejnot, a te jego białe oczy jakby się paliły i twarz mu się trzęsie jak w febrze.

- Nie - powiada Darl. - Nie pomogę. Czekaj, aż tata wróci. Stoję ja więc w drzwiach i patrzę, a ten sam pcha i ciągnie

ten wóz. To na pochyłości i już jednej chwili myślałem, że weźmie i wypchnie z tyłu ścianę szopy. Usłyszałem dzwonek na obiad. Wołam go, ale ten ani się obejrzy.

- Chodźcie na obiad - mówię. - I zawołajcie tego małego. Ale on nic, to idę sam. Dziewczyna poszła po tego małego,

ale go nie przyprowadziła. Jakoś tak w połowie obiadu znów usłyszeliśmy, że wrzeszczy i gania drugiego sępa.

- Obraza boska - powiada Lula. - Obraza.

- Robi, co może - mówię. - Nikt ze Snopesem w pół godziny nie załatwi. Na tych targach całe popołudnie przesiedzą w cieniu.

- Robi? - powiada ona. - Robi? Już za dużo zrobił - powiada. I chyba ma rację. Kłopot w tym, że przestał i że teraz chyba

my musimy coś zrobić. Żadnych mułów nie mógł kupić, już nie mówię od Snopesa, jak nie miał co zastawić takiego, o czym by wiedział, że jeszcze nie zastawione. Więc jakem wrócił na pole, to popatrzyłem na swoje muły tak, jakbym się z nimi na dłuższy czas żegnał. A kiedy wieczorem wróciłem, nie byłem wcale taki pewny, czy tego żałować, po tym, jak słońce calutki dzień grzało na szopę.

-147-

Nadjechał akurat wtedy, jakem wyszedł na ganek, gdzie oni wszyscy siedzieli. Wyglądał jakoś dziwnie: jakoś bardziej zepsiały niż zawsze i jakiś dumny. Jakby zrobił coś, co mu się wydawało sprytne, ale teraz nie był całkiem pewny, jak na to ludzie spojrzą.

- Mam muły - powiada.

- Kupiłeś muły od Snopesa? - pytam.

- Toć chyba nie jeden Snopes tutaj potrafi handlować - powiada.

- Ano tak - ja na to.

A ten patrzy na Klejnota tym dziwnym spojrzeniem, ale Klejnot zeszedł z ganku i idzie do konia. Chyba po to, żeby zobaczyć, co Anse z nim zrobił.

- Klejnot - powiada Anse. Klejnot się obejrzał. - Chodź tu - powiada Anse. Klejnot odwrócił się trochę i stoi.
 - Co ojciec chce? - pyta.
 - Więc dostałeś muły od Snopesa - mówię. - To myślę, że je dzisiaj wieczorem przyśle? Jutro musisz wcześniej ruszać, długo ci zabierze objazd przez Mottson.
 Zaraz stracił ten wygląd, co przed chwilą. Nabrał tego swojego zadreżonego wyglądu co zawsze i mlamle gębą.
 - Robię, co mogę - powiada, - Bóg mi świadkiem, że żaden człowiek na tym Bożym świecie nie zniósł tylu doświadczeń i udręczeń co ja.
 - Jak kto właśnie dobił korzystnego targu ze Snopesem, powinien być całkiem zadowolony - mówię. - Ile mu dałeś, Anse?
 Nie spojrzął na mnie.
 - Hipotekę kultywatora i siewnika - powiada.
 - Ależ one niewarte czterdziestu dolarów. Daleko to ujedziesz mułami za czterdzieści dolarów?
 Teraz już wszyscy ucichli i oka z niego nie spuszczaają. Klejnot zatrzymał się w pół drogi i czeka, żeby wracać do konia.
 - I jeszcze inne rzeczy - powiada Anse. I znów zaczyna mlamlać gębą, i stoi, jakby czekał, że go ktoś uderzy, i jakby sobie już z góry postanowił nie kiwnąć palcem.

-148-

- Jakie inne rzeczy? - pyta Darl.
 - Cholera - mówię. - Bierzcie moje muły. Możecie je przyprowadzić z powrotem. Jakoś sobie poradzę.
 - To na to ci było potrzebne wczoraj wieczór Casha ubranie - powiada Darl. Powiedział to zupełnie tak, jakby czytał z kartki. Jakby jego to nic a nic nie obchodziło. Klejnot już podszedł z powrotem, stoi i patrzy na Anse'a tymi swoimi oczami jak kulki ze szkła. - A Cash za te pieniądze chciał kupić od Suratta gadającą skrzynkę.
 Anse stoi i mlamle gębą. Klejnot patrzy na niego. Ani nie mrugnie jak dotąd.
 - Ale to tylko osiem dolarów więcej - powiada Darl tym swoim głosem, jakby tylko słuchał i jego to wcale nie obchodziło. - Za to jeszcze pary mułów nie kupi.
 Anse zerknął na Klejnota, jakby mu się oczy w tę stronę pośliznęły, i z powrotem spuszcza wzrok.
 - Bóg mi świadkiem, jeszcze nikt takiego pecha nie miał -powiada. A oni dalej nic. Tylko patrzą, czekają, a on przemyka oczami na ich stopy i w górę na nogi, ale nie wyżej. -I konia - powiada.
 - Jakiego konia? - pyta Klejnot. A Anse stoi i nic. Niech mnie cholera, ojciec, co nie potrafi mieć ostatniego słowa wobec swoich synów, powinien ich przegnać z domu, dorośli czy nie. A jak na to go nie stać, to, do cholery, sam niechby się wyniósł. Ja bym tak zrobił, niech mnie.
 - Mówisz, że chciałeś zhandlować mojego konia? - pyta Klejnot.
 A Anse stoi, ręce zwiesił.
 - Już piętnaście lat, jak jednego zęba nie mam w gębie -powiada. - Bóg mi świadkiem, że już piętnaście lat nie jem, jak Pan Bóg przykazał jeść, żeby podtrzymać siły, i oszczędzam tu piątaka, tam piątaka, żeby bez uszczerbku dla rodziny kupić sobie te zęby i jeść jak Pan Bóg przykazał. I oddaję te pieniądze. Tom pomyślał, że jak ja się mogę obywać bez jedzenia, to moi

-149-

synowie obejdą się bez koni. Bóg mi świadkiem, takem pomyślał.
 Klejnot stoi z rękami opartymi o biodra i patrzy na Anse'a.
 Potem odwraca wzrok. Patrzy przez pole, a twarz ma wciąż jak z kamienia, jakby to kto inny mówił o jakimś cudzym koniu i on nawet nie słuchał. Potem splunął bez pośpiechu i mówi:
 - Diabli nadali.
 I zawraca, podchodzi do wrót, odczepia konia i wsiada. Koń już ruszał, jak on na niego wsiadał, a zanim skoczył w siodło, koń rwał już drogą, jakby ich prawo ścigało. I w ten sposób zniknęli nam z oczu, obydwaj

jak jaki pstrokaty cyklon.

- No - mówię. - Bierzcie moje muły - mówię. Ale nie on. I nawet nie chcieli zostać, a ten chłopak cały dzień odganiał sępy na słońcu i już był prawie taki sam zwariowany jak i reszta. -Ale chociaż Casha zostawcie - mówię. Ale nie chcieli. Zrobili mu legowisko z kołder na wieku trumny, położyli go na wierzchu, przy nim jego narzędzia, zaprzęgliśmy moje muły i odciągnęliśmy wóz z milę dalej.

- Jak wam tu zawadzamy - powiada Anse - tylko powiedzcie.

- Ale - mówię. - Tu będzie dobrze. I bezpiecznie. A teraz wracajmy na kolację.

- Dziękuję wam - powiada Anse. - Mamy tam coś niecoś w tym koszyku, poradzimy sobie.

- Skądęście to wzięli? - pytam.

- Przywieźliśmy z domu.

- To już będzie nieświeże - mówię. - Chodźcie i zjedzcie coś gorącego.

Ale nie chcieli.

- Chyba sobie poradzimy - powiada Anse.

Wróciłem więc do domu, zjadłem i niosę dla nich koszyk, i znowu próbuję ich namówić, żeby wrócili się do mnie.

- Dziękuję wam - ten na to. - Chyba sobie damy radę. No to ich tam zostawiłem. Przysiedli przy ognieku i czekają.

Bóg wie na co.

-150-

To ja do domu. Idę i myślę cały czas o nich tam i o tym chłopaku, co się wyrwał na tym koniu. I tyle go zobaczę. I niech mnie cholera, nie mam mu tego za złe. Nie tego, że nie chciał oddać swojego konia, ale że poszedł sobie od takiego skończonego osła jak Anse.

W każdym razie takem wtedy myślał. Bo niech mnie licho, w takim głuptaku jak Anse siedzi chyba coś takiego, co może i zmusza innych, żeby mu pomagali, nawet jeżeli ten, co mu pomógł, wie, że za chwilę sam sobie będzie pluł w gębę. Bo na drugi dzień gdzieś w godzinę po śniadaniu zjawia się Eustace Grimm, co to pracuje u Snopesa, z parą mułów i szuka Anse'a.

- Myślałem, że on z Anse'em wcale się nie dogadali - mówię.

- Bo i tak - powiada Eustace. - Tylko koń im się nadał. Tak i powiedziałem panu Snopesowi, oddaje swoje muły za pięćdziesiąt dolarów, bo gdyby tylko jego wuj Flem nie wypuszczał tych teksańskich koni z rąk, jak już je miał, to Anse by nigdy...

- Koń? - pytam. - Wczoraj wieczorem chłopak Anse'a zabrał konia i tylko się za nim pokurzyło, już jest pewno w połowie drogi do Teksasu, a Anse...

- Nie wiem, kto go przyprowadził - powiada Eustace. - Nie widziałem. Ale dziś rano, jakem poszedł dawać żreć bydłakom, stał w stodole, to powiedziałem panu Snopesowi i kazał mi tu muły przyprowadzić.

No, to już go więcej na oczy nie zobaczę, pewne jak słońce. Może na Boże Narodzenie dostaną kartkę z Teksasu, myślę sobie. A jak nie Klejnot, to ja bym tak zrobił, tyle to mu sam przyznam. Niech mnie cholera, ten Anse tak jakoś potrafi człowieka omamić. Ten Anse to dopiero, niech mnie.

-151-

VARDAMAN

Już ich jest siedem, w ciasnych, wysokich czarnych kołach.

- Popatrz, Darl - mówię. - Widzisz?

Spogląda do góry. Patrzymy na te ciasne, wysokie czarne koła w bezruchu.

- Wczoraj było tylko cztery - mówię. Na stodole było więcej jak cztery.

- Wiesz, co zrobię, jak on znów będzie chciał usiąść na wozie? - mówię.

- Co? - pyta Darl.

- Nie dam mu na niej siadać - mówię. -I nie dam mu siadać na Cashu.

Cash jest chory. Leży chory na trumnie. Ale moja matka to ryba.

- Trzeba nam się wystarać o jakiś lek w Mottson - powiada tata. - Chyba będziemy musieli.
 - Jak się czujesz, Cash? - pyta Darl.
 - Nie dokucza mi - powiada Cash.
 - Ułożyć ci ją trochę wyżej? - pyta Darl.
- Cash ma złamaną nogę. Już złamał dwie nogi. Leży na trumnie z kołdrą zwiniętą pod głową i z kłosem drzewa pod kolanem.
- Chyba trzeba nam było zostawić go u Armstida - powiada tata.

-152-

Ja nie mam złamanej nogi i tata nie ma, i Darl nie ma, i Cash

powiada:

- Tylko kiedy podrzuca. Tak jakby zgrzytało o siebie, kiedy

podrzuca. Nikomu nie wadzę.

Klejnot poszedł sobie. On i jego koń poszli sobie któregoś dnia

w porze kolacji

- Ale ona by nie chciała, żebyśmy coś komuś byli winni - powiada tata. - Bóg mi świadkiem, robię, co w

ludzkiej mocy.

- Czy to dlatego, że matka Klejnota to koń, Darl? - mówię.

- Może linkę ściągnąć ciaśniej? - pyta Darl.

To dlatego ja z Klejnotem byliśmy w szopie a ona na wozie bo koń mieszkał w stodole i musiałem odganiać

sępa od

- Może byś mógł - powiada Cash. I Dewey Dell nie ma złamanej nogi, i ja nie mam. Cash to mój brat.

Zatrzymujemy się. Kiedy Darl rozluźnia linkę, Cash znowu zaczyna się pocić. Pokazuje zęby.

- Boli? - pyta Darl.

- Chyba ją lepiej nazad ściągnij - powiada Cash.

Darl z powrotem zakłada linkę i mocno ściąga. Cashowi pokazują się zęby.

- Boli? - pyta Darl.

- Nie zważam na to - powiada Cash.

- Chcesz, żeby tata wolniej jechał? - pyta Darl.

- Nie - powiada Cash. - Nie czas mitrężyć. Nie zważam na

to.

- Musimy postarać się o jakiś lek w Mottson - powiada tata.

- Chyba będziemy musieli.

- Powiedz mu, niech jedzie dalej - powiada Cash. Ruszamy znowu. Dewey Dell pochyla się i wyciera Cashowi

twarz. Cash to mój brat. Ale matka Klejnota to koń. Moja matka to ryba. Dań mówi, że jak znowu będziemy u

wody, to ją zobaczę, a Dewey Dell powiedziała, Ona jest w trumnie, jak mogła wyjść? Wylazła przez dziury, co

je wyświdrowałem, wylazła do wody, mówię, a kiedy znowu będziemy u wody, zobaczę ją. Nie ma mojej

matki w skrzyni. Moja matka tak nie pachnie. Moja matka to ryba

-153-

- Ładnie będą te placki wyglądały, nim zajedziemy do Jef-ferson - mówi Darl.

Dewey Dell nie ogląda się.

- Lepiej je spróbuj sprzedać w Mottson - mówi Darl.

- Darl, kiedy będziemy w Mottson? - pytam.

- Jutro - powiada Darl. - Jak się te muły nie rozsypią. Snopes chyba je trocinami żywił.

- Dlaczego je trocinami żywił, Darl? - pytam.

- Patrz - powiada Darl. - Widzisz?

Już ich jest dziewięć w ciasnych, wysokich czarnych kołach. Przed wzniesieniem tata zatrzymuje i Darl, Dewey

Dell i ja zsiadamy z wozu. Cash nie może iść, bo ma złamaną nogę.

- Wio, muły - powiada tata. Muły się wytężają, wóz skrzypi. Darl, Dewey Dell i ja wchodzimy za wozem na

wzgórze. Na szczycie tata zatrzymuje i wsiadamy z powrotem.

Już ich jest dziesięć w ciasnych, wysokich czarnych kołach na niebie.

-154-

MOSELEY

Właśnie przypadkiem podniosłem oczy i zobaczyłem ją za szybą, jak zaglądała. Nie tuż przy szybie i nie patrzyła na nic specjalnego, stała sobie, głowę odwróciła w tę stronę i patrzyła prosto na mnie, a do tego pustymi oczami, jakby czekała na jaki znak. Kiedy spojrzałem drugi raz, szła do drzwi.

Z minutę tłukła się o siatkę w drzwiach, jak to one, i wchodzi. Na czubku głowy miała sztywny słomkowy kapelusz, w rękach paczkę owiniętą w gazetę - myślałem, że ma z ćwierć dolara najwyżej, postoi trochę i kupi jakiś tani grzebyk albo fla-szczkę murzyńskiej wody toaletowej, toteż z minutę czy dłużej jej nie przeszkadzałem, tyle że zauważyłem tę jej nasepioną dziwną urodę i że o niebo ładniej jej w bawełnianej sukience i bez żadnej szminki, niż jej będzie w tym, co na koniec kupi, jak się już zdecyduje. Czy jak powie, czego chce. Wiedziałem, że już była zdecydowana, zanim weszła. Ale człowiek musi im dać czas do namysłu. Toteż robię dalej, co tam robiłem, i myślę sobie, niech się Albert nią zajmie, jak już załatwi przy barze, ale ten przychodzi do mnie.

- Ta kobieta - powiada. - Zobacz lepiej, czego ona chce.

- A czego ona chce? - pytam.

- Nie wiem. Nic z niej nie mogę wyciągnąć. Ty ją lepiej załatw.

-155-

Wychodzę więc zza kontuaru. Wtedy zobaczyłem, że jest boso, stopy ustawiła płasko i swobodnie na podłodze, jakby całe życie tu stała. Patrzy na mnie z całej mocy i trzyma tę paczkę. Widzę, że oczy ma takie czarne, jakich w życiu nie oglądałem, i że to przyjezdna. Nie pamiętam, żebym ją kiedy spotkał w Mott-son.

- Czym mogę pani służyć? - pytam.

A ona wciąż nic. Patrzy na mnie i ani mrugnie. Potem się obejrzała na ludzi przy barze. A potem spojrzała za mnie, w głąb sklepu.

- Chce się pani rozejrzeć w artykułach toaletowych? - pytam. - A może szuka pani lekarstwa?

- Właśnie - powiada. I znowu prędko zerka na bar. Wtedy sobie pomyślałem, że może to jej mama albo ktoś przysłał ją po ten babski lek i dziewczyna wstydzi się zapytać. Wiedziałem, że nie mogłaby mieć takiej cery, gdyby go sama używała, jeszcze do tego ledwie na tyle dorosła, żeby mieć pojęcie, na co to jest. Zgroza, jak one się tym trują. Ale w sklepie być musi, bo inaczej w tej Ameryce człowiek by zbankrutował.

- Ach - mówię. - A co pani bierze? Mamy...

Spojrzała na mnie znowu, prawie jakby mówiła: „Cii...” i z powrotem patrzy w głąb sklepu.

- Wołałabym wejść do środka - powiada.

- W porządku - mówię. Człowiek musi zaspokajać ich kaprysy. Oszczędza się wtedy czas. Idę za nią na zaplecze. A ta kładzie rękę na klapie kontuaru. - Nic tam nie ma, tylko gablota z receptami - mówię. - Czego pani potrzebuje? - Zatrzymała się i patrzy na mnie. Zupełnie, jakby zdjęła z twarzy jakieś wieko, czy z oczu. To z oczu - były tępe i pełne nadziei, i ponure, a zarazem jakby chciały rozczarowania. Ale coś jej było, to widziałem. - Co pani jest? - pytam. - Proszę mi powiedzieć, czego pani potrzebuje. Jestem dosyć zajęty.

Nie chciałem jej poganiać, ale po prostu człowiek nie ma tyle czasu, co oni tam na wsi.

- To kobieca sprawa - powiada.

-156-

- Och - mówię. - I to wszystko? - Pomyślałem, że może jest młodsza, niż wygląda, i pierwszej się przestraszyła albo z jedną poszło inaczej niż normalnie, jak to u młodych kobiet. - Gdzie pani mama? - pytam. - Nie ma pani mamy?

- Tam na wozie - powiada.

- Dlaczego by z nią nie pogadać, zanim pani weźmie jakieś lekarstwo? - mówię. - Każda kobieta by pani powiedziała, jak to jest. - Spojrzała na mnie, a ja jeszcze raz jej się przyjrzałem i pytam: - Ile pani ma lat?

- Siedemnaście - ona na to.

- Och - mówię. - Myślałem, że...

A ona na mnie patrzy. No, ale one co do jednej już mają takie oczy, jakby żyły od początku świata i wszystko wiedziały.

- Dostaje pani za regularnie czy nieregularnie? - pytam. A ona już na mnie nie patrzy, ale się nie rusza.

- Tak - mówi. - Chyba tak. Tak.

- Ale co tak? Nie wie pani?

To zbrodnia i hańba, ale tak czy owak, kupią u kogo innego. Stoi ona i nie patrzy na mnie.

- Chce pani coś na to, żeby ustały? - pytam. - Tak?

- Nie - ona na to. - Właśnie o to chodzi, że już ustały.

- No, to... - Twarz ma pochyloną, nieruchomą, jak to one zawsze, kiedy czegoś chcą od mężczyzny, tak że człowiek nigdy nie wie, skąd padnie następny grom. - Nie jest pani mężatką,

co? - pytam. -Nie.

- Och - powiadam. -I jak to długo już, odkąd ustały? Może z pięć miesięcy?

- Dopiero dwa.

- No, to ja nic dla pani w moim sklepie nie mam - powiadam - chyba że smoczek. I radziłbym go pani kupić, wracać do domu, powiedzieć ojcu, jak go pani ma, i niechby komuś tam kazał załatwić ślub. Nic pani więcej nie chciała?

Ale ta tylko stoi i na mnie nie patrzy.

- Mam pieniądze, żeby panu zapłacić - powiada.

-157-

- Swoje własne czy też on się zachował jak mężczyzna i dał pani?

- On mi je dał. Dziesięć dolarów. Powiedział, że to starczy.

- W moim sklepie nie starczyłoby i tysiąc dolarów, i dziesięć centów - mówię. - Niech pani usłucha mojej rady, wraca do domu i powie tacie czy braciom, jak ich pani ma, albo pierwszemu spotkanemu na drodze mężczyźnie.

Ale ona ani drgnie.

- Lafe powiedział, że takie lekarstwo dostanę w drugstorze. Kazał mi powiedzieć panu, że ani on, ani ja nikomu nigdy nie powiemy, że pan je sprzedał.

- A ja tylko żałuję, że ten pani najdroższy Lafe sam po nie nie przyszedł, tego tylko żałuję. Kto wie, może bym wtedy miał dla niego trochę szacunku. A pani może wracać i powiedzieć mu, co ja powiedziałem... jeśli już nie jest w drodze do Teksasu, w co nie wątpię. Ja, przywoity aptekarz, już pięćdziesiąt sześć lat prowadzę sklep, jestem ojcem rodziny i człowiekiem religijnym. Chętnie bym pani rodzicom sam powiedział, gdybym się dowiedział, co to za jedni.

Teraz na mnie spojrzała, oczy i twarz znów miała puste jakieś, jak wtedy, kiedy ją pierwszy raz zobaczyłem przez szybę.

- Nie wiedziałam - powiada. - On mi powiedział, że dostanę coś w drugstorze. Mówił, że może nie będą mi chcieli tego sprzedać, ale jak będę miała dziesięć dolarów i powiem, że nigdy nikt się ode mnie niczego nie dowie...

- On wcale nie mówił, że w tym drugstorze - mówię. -Jeśli tak powiedział i wymienił moje nazwisko, niech przyjdzie i mi dowiedzie. Niech przyjdzie i to powtórzy, albo pociągnę go przed sam sąd najwyższy, i może mu pani to powiedzieć.

- Ale może w innym drugstorze - ona na to.

- Już ja o tym nie chcę wiedzieć. Ja, co... - I popatrzyłem na nią. Przecież jednak ciężkie one mają życie. Czasem taki mężczyzna... jeżeli w ogóle może być jakie usprawiedliwienie dla grzechu, ale go nie ma. I w końcu życie nie jest pomyślane tak, żeby ludziskom było łatwo, nie mieliby nawet po co się starać

-158-

i umierać. - Słuchaj no - powiadam. - Wybij to sobie z głowy. Pan Bóg ci zesłał, co tam masz, nawet jeśli się posłużył szatanem. Wracaj do Lafe'a, weźcie te dziesięć dolarów i pobierzcie się za nie.

- Lafe mówił, że dostanę coś w drugstorze - ona na to.

- To idź i dostań - mówię. - Tu nie dostaniesz.

I wyszła z tym pakunkiem w rękę, tylko lekko zaszurała bosymi stopami po podłodze. Poobijała się znowu o siatkę i poszła. Widziałem przez szybę, jak odchodzi ulicą.

Resztę opowiedział mi Albert. Mówił, że ten wóz zatrzymał się przed sklepem żelaznym Grummeta i naokoło panie rozbiegły się z chusteczkami przy nosach, a przy wozie zebrał się tłum mężczyzn i chłopaków o wytrzymałym węchu i słuchali, jak komendant policji sprzecza się z tym człowiekiem. Było to wysokie, przygarbione chłopisko, siedział na wozie i powtarzał, że ulica należy do wszystkich i on uważa, że ma do niej te same prawa, co inni, a komendant policji go przekonywał, że musi jechać dalej, że ludzie tego nie mogą wytrzymać. Ciało leżało już osiem dni, powiedział Albert. Jechali skądś z Yoknapatawpha do Jefferson. Nieboszyk chyba już był podobny do zgniłego sera, co się zamienia w mrowisko, i leżał na tym rozklekotanym wozie, i Albert mówi, że ludzie się bali, że ten wóz się cały rozleci, zanim zdążą wyjechać z miasta z tą po domowemu skleconą trumną, a jeszcze jeden ze złamaną nogą leżał na kołdrze na trumnie, a ojciec i nieduży chłopak tkwili na siedzeniu i komendant próbował ich przepędzić z miasta.

- Ta ulica należy do wszystkich - powiada tamten. - Chyba nam wolno się zatrzymać, żeby coś kupić, jak każdemu innemu. Mamy pieniądze, żeby zapłacić, i nie ma takiego prawa, co by zabraniało człowiekowi wydawać swoje własne pieniądze, gdzie mu się podoba.

Zatrzymali się, żeby kupić cementu. Drugi syn był u Grummeta, namawiał go, żeby napoczął cały worek i sprzedał mu cementu za dziesięć centów, aż na koniec Grummet napoczął ten worek, żeby się go pozbyć. Potrzebny im był ten cement, żeby jakoś unieruchomić nogę tamtego.

-159-

- Ależ to zbrodnia - mówi komendant. - Straci przez was nogę. Bierzcie go do doktora, a to weźcie i pochowajcie jak najszybciej. Nie wiecie, że się wam należy więzienie za zagrożenie zdrowia publicznego?

- Robimy, co możemy - powiada ojciec. I rozwodzi się

o tym, jak to musieli czekać, aż wóz wróci, jak zmyło most i jak jechali osiem mil do drugiego mostu, i ten też zniosło, i jak wrócili, przeprawili się przez bród, i muły potonęły, i jak zdobyli drugą parę, a wtedy się okazało, że wymyło drogę i musieli objeżdżać naokoło przez Mottson, a potem wrócił ten z cementem i kazał się ojcu zamknąć.

- Za chwilę jedziemy - powiada komendantowi.

- Nie mieliśmy intencji nikomu zawadzać - powiada ojciec.

- Weźcie tego tu do doktora - mówi wtedy komendant do tego z cementem.

- Na mój rozum nic mu nie jest - on na to.

- Nie, żebyśmy byli bez serca - mówi komendant policji. - Ale sami chyba widzicie, jak to jest.

- Ano - mówi tamten. - Ruszamy, jak tylko Dewey Dell wróci. Poszła odnieść paczkę.

Więc ludzie ich omijali z chusteczkami przy nosach, a oni stali i czekali, aż za minutę zjawiała się ta dziewczyna ze swoją paczką owiniętą w gazetę.

- Wsiadaj - powiada ten z cementem - za dużo czasu straciliśmy.

Wtedy wsiedli na wóz i odjechali. A kiedy szedłem na kolację, wciąż jeszcze mi się zdawało, że to czuję. I na drugi dzień spotykam komendanta policji, pociągam nosem i mówię:

- Nic nie czujesz?

- Chyba do tej pory już są w Jefferson - on na to.

- Albo w więzieniu. No, dzięki Bogu, nie w naszym.

- Faktycznie - on na to.

-160-

DARL

Może tutaj - powiada tata. Podjeżdża mułami i siedzi, i spogląda na ten dom. - Możemy tam dostać trochę wody.

- Dobrze - mówię. - Dewey Dell, będziesz od nich musiała pożyczyć wiadro.

- Niech Bóg broní - powiada tata - nikomu nic nie chcę być dłużny.

- Jakbyś widziała sporą puszkę, możesz ją przynieść - mówię.

Dewey Dell zsiada z wozu z paczką w ręku.

- Trudniej ci było, niż myślałaś, sprzedać te placki w Mottson

- mówię.

Jakże nasze życie rozplata się na tym bezwietrze, bezdż-więku, znużone gesty ze znużeniem się powtarzają: echa dawnych porywów bez rąk i bez sznurków: o zachodzie wpadamy w gwałtowne pozy, martwe gesty kukieł. Cash złamał nogę i teraz trociny się sypią. Wykrwawia się na śmierć Cash, wykrwawia.

- Nie chcę łaski - powiada tata. - Bóg mi świadkiem.

- To sam naszczyj - mówię. - Możemy wziąć Casha kapelusza.

Kiedy Dewey Dell wraca, wychodzi za nią i ten mężczyzna. Potem on się zatrzymuje, a ona idzie dalej, i on stoi, a po chwili wraca do domu, staje na ganku i przygląda się nam.

-161-

- Lepiej nie próbujemy go zdjąć - powiada tata. - Możemy ją tutaj złożyć.

- Chcesz, żeby cię zdjął, Cash? - pytam.

- Dojedziemy jutro do Jefferson? - pyta. Przygląda się nam, oczy ma pełne pytania, napięcia, smutne. - Dam radę przetrzymać.

- Będzie ci tak lżej - powiada tata. - Kości się nie będą ocierać.

- Dam radę przetrzymać - mówi Cash. - Tracimy czas na stawanie.

- Jużeśmy kupili cementu - powiada tata.

- Dam radę przetrzymać - mówi Cash. - To już tylko jeden dzień. Nie ma o czym mówić, nie boli. Już się ustala.

- Patrzy na nas w górę, oczy ma szeroko otwarte w chudej szarej twarzy, pytające.

- Jużeśmy go kupili - powiada tata.

Rozrabiam cement w puszcze, mieszam powoli z wodą, kręcę gęstą bladozieloną maź. Przynoszę puszkę do wozu, żeby Cash zobaczył. Leży na plecach, szczupły profil odcina się na tle nieba ascetycznie i wzniosie.

- Czy to tak mniej więcej ma wyglądać? - pytam.

- Nie trzeba za dużo wody, będzie do niczego - mówi.

- A teraz za dużo?

- Może dosyp trochę piasku - mówi. - To już tylko jeden dzień - dodaje. - Nic mi nie dokucza.

Vardaman wraca drogą do tego miejsca, gdzieśmy przejeżdżali przez rzeczkę, i przynosi piasek. Sypie go powoli w gęstą maź w puszcze. Znow podchodzi do wozu.

- No, jak wygląda teraz?

- Teraz dobrze - mówi Cash. - Wytrzymałbym. Nic mi ona nie dokucza.

Rozluźniamy łupki i powoli zalewamy mu nogę cementem. - Uważajcie - mówi Cash - żeby na nią nie nalać.

- Dobra - mówię.

-162-

Dewey Dell oddziera z paczki kawał gazety i wyciera cement kapiący z nogi Casha na wieko.

- No jak?

- Pierwszorędnie - powiada. - Chłodno. Pierwszorędnie.

- Żeby ci tylko pomogło - mówi tata. - Zechciej mi wybaczyć. Tak samo tego nie przewidziałem, jak i ty.

- Jest pierwszorędnie - mówi Cash.

Gdyby to człowiek mógł się rozpleść w czas. To by było dobrze. Dobrze by było, gdyby tylko człowiek mógł rozpleść się w czas.

Nakładamy z powrotem łupki i sznurek, zaciągamy je mocno, sznurek wrzyna się w gęstą bladozieloną maź cementu, Cash spokojnie się nam przygląda z niezgłębionym pytaniem w oczach.

- To ją unieruchomi - mówię.

- Aha - powiada. - Dziękuję.

Potem wszyscy odwracamy się od wozu i patrzymy na niego. Dogania nas drogą, sztywny, jakby kij połknął, z drewnianą twarzą, porusza się tylko od bioder w dół. Podchodzi bez słowa, w wyniosłej, nasepionej twarzy oczy ma blade i nieruchome, wsiada na wóz.

- Wzgórze przed nami - powiada tata. - Chyba będziesz musiał zsiąść i iść na piechotę.

-163-

VARDAMAN

Idziemy za wozem pod górę, Darl, Klejnot, Dewey Dell i ja. Klejnot wrócił. Przyszedł drogą i wsiadł na wóz. Szedł piechotą. Klejnot już nie ma konia. Klejnot to mój brat. Cash to mój brat. Cash ma złamaną nogę. Złożyliśmy Cashowi nogę, żeby go nie bolała. Cash to mój brat. Klejnot to też mój brat, ale on nie ma złamanej nogi.

Już jest ich pięć w ciasnych, wysokich czarnych kołach.

- Gdzie one siedzą w nocy, Darl? - pytam. - Kiedy my się zatrzymujemy na noc w stodole, o gdzie one siedzą? Wzgórze wspina się w niebo. Potem zza wzgórza wspina się słońce i już muły, wóz i tata idą po słońcu. Idą powoli po słońcu i nie da się na nich patrzeć. Ona jest czerwona na szynach za szkłem w Jefferson. Błyszczące szyny kołują i kołują. Powiada Dewey Dell.

Dziś wieczorem, kiedy będziemy w stodole, zobaczę, gdzie one siedzą.

-164-

DARL

Klejnot - mówię. - Czyim jesteś synem?

Podniósł się wietrzyk i wiał od stodoły, tośmy ją postawili pod jabłonką, gdzie księżyc pstrzy się jabłkowicie na długich sennych deskach, a w nich ona od czasu do czasu z nagłą się odzywa i ciurka, i bulgocze tajemniczym szeptem. Zaprowadziłem Vardamana, żeby posłuchał. Kiedyśmy podeszli, zeskoczył z niej kot i zniknął w cieniu, tylko błysnął srebrnymi pazurami i srebrnym okiem.

- Twoja matka to koń, ale kto był twoim ojcem, Klejnot?

- Skurwysyn, cholerny łgarz.

- Nie nazywaj mnie tak.

- Skurwysyn, cholerny łgarz.

- Już ty mnie tak nie nazywaj, Klejnot.

W wysokiej księżycowej poświacie jego oczy wyglądają jak plamki białego papieru przyklepione wysoko na małej pileczce. Po kolacji Cash zaczął się trochę pocić.

- Zaczyna się robić gorąca - mówi. - To chyba przez to, że na słońcu leżała cały dzień.

- Chcesz, to ci ją polejemy wodą - my na to. - Może trochę ulży.

- Będę wdzięczny - powiada Cash. - To chyba przez to słońce. Powinienem pamiętać, żeby ją nakryć.

-165-

- To myśmy powinni pamiętać - mówimy. - Skąd ty miałeś wiedzieć.

- Wcale nie zauważyłem, żeby się nagrzewała - powiada Cash. - Powinienem uważać.

Więc poleliśmy mu ją wodą. Jego noga i stopa pod tym cementem wyglądają jak ugotowane.

- Teraz lepiej? - pytamy.

- Dziękuję - mówi Cash. - Jest pierwszorzędnie. Dewey Dell ociera mu twarz brzegiem spódnicy.

- Może ci się uda trochę usnąć - mówimy.

- Ano - mówi Cash. - Dziękuję wam bardzo. Teraz jest mi w nią pierwszorzędnie.

Klejnot, mówię, Klejnot, kto był twoim ojcem? Niech cię cholera. Niech cię cholera.

-166-

VARDAMAN

Leżała pod jabłonką, Darl i ja idziemy po księżycu, a kot zeskakuje i ucieka, i słyszymy ją w drzewie.

- Słyszysz? - mówi Darl. - Przysuń ucho. Przysuwam ucho i słyszę ją. Ale nie wiem, co mówi.

- Co ona mówi, Darl? - pytam. - Do kogo ona mówi?

- Mówi do Boga - powiada Darl. - Wzywa jego pomocy.
- O co Go prosi? - pytam.
- Prosi Go, żeby ją ukrył przed ludzkim okiem - powiada Darl.
- Dlaczego ona chce się ukryć przed ludzkim okiem, Darl?
- Żeby mogła oddać swoje życie - powiada Darl.
- Dlaczego ona chce oddać swoje życie, Darl?
- Posłuchaj - mówi Darl. Słyszemy ją. Słyszemy, jak się obraca na bok. - Słuchaj - mówi Darl.
- Obróciła się - mówię. - Patrzy na mnie przez drewno.
- Tak - mówi Darl.
- Jakże ona widzi przez drewno, Darl?
- Chodź - mówi Darl. - Musimy ją zostawić w spokoju. Chodź.
- Nie może tędy patrzeć, dziury są we wieku - mówię. - Jakże ona widzi, Darl?
- Chodźmy, zobaczymy, co z Cashem - mówi Darl.

-167-

I widziałem coś, o czym Dewey Dell nie kazała mi nikomu mówić Cash ma chorą nogę. Opatrzyliśmy mu ją dziś po południu, ale on leży i noga znowu go boli. Lejemy wodę na jego nogę i wtedy Cash czuje się pierwszorzędnie.

- Czuję się pierwszorzędnie - mówi Cash. - Dziękuję wam.
- Spróbuj usnąć - my na to.
- Czuję się pierwszorzędnie - mówi Cash. - Dziękuję wam. I widziałem coś, o czym Dewey Dell nie kazała mi nikomu mówić.

To nie o tacie i nie o Cashu, i nie o Klejnocie, i nie o Dewey Dell, i nie o mnie

Dewey Dell i ja mamy spać na sienniku. Na kuchennym ganku, skąd widać stodołę, i księżyc świeci na połowę siennika, i będziemy leżeli na pół w czerności, na pół w białości, z nogami w księżycu. I zobaczę, gdzie one siedzą w nocy, kiedy my jesteśmy w stodole. Dziś nie jesteśmy w stodole, ale widać ją, i zobaczę, gdzie one siedzą w nocy.

Leżymy na sienniku z nogami w księżycu.

- Patrz - mówię. - Nogi mam jak czarne. I ty masz nogi jak czarne.
- Śpij - powiada Dewey Dell. Jefferson jest daleko.
- Dewey Dell.
- Skąd ma tam być, jeszcze nie Boże Narodzenie.

Jeździ w kółko po błyszczących szynach. A potem szyny błyszczą wkoło.

- Co tam ma być?
- Ta kolej. Za szybko.
- Śpij. Jutro sprawdzisz sam, czy tam jest. A może święty Mikołaj nie będzie wiedział, że oni są miastowi?
- Dewey Dell.
- Śpij. Już on jej nie da żadnemu z tych miastowych chłopaków.

Stała za szkłem czerwona, na szynach, a szyny błyszczały wkoło. Aż serce mnie bolało. A potem wychodzą tata i Klejnot, i Darl, i chłopak pana Gillespie. Chłopcu pana Gillespie nogi

-168-

wyłażą spod nocnej koszuli. Kiedy wychodzi w księżyc, nogi ma całe w puszkę. Obchodzą dom i idą pod jabłonkę.

- Co oni będą robić, Dewey Dell? Obeszli dom i poszli pod jabłonkę.
- Czuję ją - mówię. - A ty?
- Cicho - powiada Dewey Dell. - Wiatr się odwrócił. Śpij. To już zaraz się dowiem, gdzie one siedzą w nocy. Tamci wychodzą z za domu, idą w księżycu przez podwórko i niosą ją na ramionach. Znoszą ją do stodoły, księżyc

świeci na nią płasko i nieruchomo. Potem wracają i wchodzą z powrotem do domu. Kiedy byli w księżycu, na nogach chłopaka pana Gillespie wyrastał puszek. Więc poczekałem teraz i powiedziałem: Dewey Dell? I znowu poczekałem, a potem poszedłem zobaczyć, gdzie one siedzą w nocy, i zobaczyłem coś, o czym mi Dewey Dell nie kazała nikomu mówić.

-169-

DARL

Jakby się z ciemności materializował w ciemnych drzwiach, we wstającej łunie, chudy pod bielizną jak koń wyścigowy. Zeskakuje na ziemię z wściekłym niedowierzaniem na twarzy. Zobaczył mnie, choć nie odwrócił głowy ani oczu, w których łuna rozlewa się jak dwie małe pochodnie.

- Szybko - mówi i sady po zbocz w stronę stodoły.

Jeszcze chwilę biegnie w księżycu srebrny i zaraz pojawia się jak płaska figurka równo wycięta z blachy na tle nagłego i bezgłośnego wybuchu, kiedy cały stryszek nad stodołą naraz staje w ogniu, jak składnica prochu.

Pokazuje się front stodoły, stożkowata fasada z czworokątnym otworem wrót, a w nich tylko ciężka prostokątna trumna na kozłach jak jakiś stworzony przez kubistów owad. Za mną wyłaniają się z domu tata, Gillespie i Mack, Dewey Dell i Vardaman.

Zatrzymuje się przy trumnie, pochyla i spogląda na mnie z wściekłością na twarzy. Nad głową mu płomienie huczą jak grzmot; przeciąga po nas chłodny powiew: jeszcze w nim wcale nie ma żaru, garść sieczki nagle się podrywa, ale wciąga ją szybko w przejście między boksami, gdzie koń kwiczy.

- Prędko - mówię. - Konie.

Jeszcze chwilę świdruje mnie wzrokiem, potem patrzy na dach nad głową i skacze w stronę boksu, w którym kwiczy ten koń. Koń się wspina i wierzga, łomot miażdżących uderzeń

-170-

wsysa się w huk płomieni. Huczą jak pociąg bez końca przejeżdżający przez nie kończący się wiadukt. Mijają mnie Gillespie i Mack w nocnych koszulach po kolana, krzyczą, głosy mają wysokie, cienkie, nikłe, a jednocześnie zupełnie dzikie i smutne:

- ... krowa... boks...

Nocna koszula Gillespie podrywa się na przeciągu i wyprzedza go, i wydyma się nad owłosionymi udami. Furtka boksu się zatrzasnęła, Klejnot odpycha ją siedzeniem, plecy ma wygięte w łuk, mięśnie wyrzynają mu się przez ubranie, za łeb wyciąga konia. W blasku łuny oczy konia łyskają aksamitnym, płynnym, opalizującym ogniem, mięśnie mu się wybrzuszają i grają, kiedy podrzuca głową i unosi Klejnota w powietrze. Klejnot go dalej ciągnie, powoli, w strasznym wysiłku. Znowu rzuca mi przez ramię jedno wściekle, krótkie spojrzenie. Już są na zewnątrz, a koń wciąż się szarpie i wyrywa z powrotem we wrota, ale mija mnie Gillespie, nagi jak go Pan Bóg stworzył - koszulą okręcił łeb muła - i wali konia, aż ten odsuwa się od wrót.

Klejnot biegnie z powrotem; znów spogląda na trumnę. Ale nie zatrzymuje się.

- Gdzie krowa?! - krzyczy, kiedy mnie mija. Lecę za nim. W boksie Mack zмага się z drugim mułem. Kiedy muł odwraca głowę w świetle łuny, widzę, jak i on dziko przewraca oczami, ale nie wydaje żadnego głosu. Stoi, zerka bokiem na Macka i wierzga w niego zadem, ilekroć się zbliży. Mack ogląda się na nas, oczy i usta ma jak trzy okrągłe dziury na twarzy, a piegi wielkie jak groch. Głos ma cienki, wysoki, daleki.

- Nic nie poradzę... - Głos mu jakby zmiołło z ust i uniosło, poniosło, jakby odzywał się do nas z niezmiernego oddalenia, wyczerpany. Klejnot przemyka koło nas, muł się okręca i tnie kopytami, ale on już jest przy łbie.

Nachylałam się Maćkowi do

ucha:

- Koszulę. Na łeb mu.

Mack wytrzeszcza na mnie oczy. Zrywa z siebie koszulę i zarzuca ją mułowi na łeb, muł od razu potulnieje.

Klejnot wrzeszczy do Macka:

-171-

- Krowa? Krowa?!

- W głębi! - krzyczy Mack. - Ostatni boks!

Krowa się nam przygląda, kiedy wchodzimy. Cofnęła się w kąt, łeb opuściła, wciąż żuje, tyle że prędko. Ale się nie rusza. Klejnot zatrzymał się, spogląda w górę i nagle widzimy, jak rozpada się cały strop pod strychem. Cały staje w ogniu, leci w dół drobny pył iskier. Klejnot się rozgląda. W głębi pod żłobem stoi trójnóg do dojenia. Klejnot łapie go, wali nim w szalowanie ściany od tyłu. Leci w drzazgi jedna deska, druga, trzecia. Resztki wydzieramy. Jeszcze pracujemy nachyleni przy dziurze, jak coś wali na nas od tyłu. To krowa. Tylko świsnęła oddechem i runęła między nas, przez tę dziurę i w lunę na zewnątrz ze sztywno w górę sterzącym ogonem niby ze szczotką przybitą do zadu.

Klejnot zawraca w głąb stodoły.

- Ty - mówię. - Klejnot! - Łapię go, odtrąca moją rękę. - Głupi - mówię. - Nie widzisz, tędy nie przejdzie. -

Przejdzie między boksami wygląda jak reflektor puszczonego na deszcz. - Tędy - mówię. - Naokoło.

Przełazimy przez dziurę w ścianie i on rzuca się biegiem.

- Klejnot - mówię biegnąc. Klejnot śmiga naokoło. Dolatuję do rogu, a on jest już prawie przy drugim i leci na tle łuny jak figurka wycięta z blachy. Tata, Gillespie i Mack stoją trochę dalej i patrzą na stodołę, różowi na tle nocy, w której na chwilę księżyc został pokonany. - Łapcie go! - krzyczę. - Trzymajcie go!

Kiedy wybiegam przed stodołę, Klejnot szarpie się z Gillespie'em, jeden chudy w bieliźnie, drugi goły, jak go Pan Bóg stworzył. Jak dwie postacie z greckiego fryzu, wyłączone tą czerwoną luną z wszelkiej rzeczywistości. Zanim zdążam do nich dopaść, on rzuca Gillespie'ego o ziemię, zawraca i leci z powrotem do stodoły.

Już ten huk dosyć się uspokoił, jak wtedy huk rzeki. Przez rozpadające się proscenium wrót widzimy, jak Klejnot chyłkiem podbiega z tyłu do trumny i schyla się nad nią. Chwilę patrzy

-172-

do góry i na zewnątrz na nas przez deszcz płonącego siana jak przez portierę ognistych paciorków i widzę, jak mu się usta układają w moje imię.

- Klejnot! - krzyczy Dewey Dell. - Klejnot! - Zdaje mi się, że teraz słyszę, jak jej głos wzbierał przez ostatnie pięć minut, i słyszę, jak ona się szamocze i szarpie w rękach taty i Macka, i wrzeszczy. - Klejnot! Klejnot! - Ale on już na nas nie patrzy. Widzimy, jak mu się naprężają ramiona, kiedy unosi koniec trumny i sam jeden zsuwa ją z kozłów. Trumna wstaje niewiarygodnie wysoka i zasłania go - nie uwierzyłbym, że Addie Bun-dren

potrzebowała aż tyle miejsca, żeby wygodnie się ułożyć. Jeszcze chwilę trumna stoi na sztorc, chlusta na nią deszcz iskier, które się rozpryskują, jakby dotknąwszy trumny rodziły nowe iskry. Potem się przechyla do przodu, rozhuśtuje, odsłania Klejnota całego też pod deszczem iskier, jakby w przejrzystym nimbie ognia. Trumna w locie robi młynka, znowu staje na sztorc, zatrzymuje się, a potem wali się pomału do przodu i przedziera przez tę zasłonę. Teraz Klejnot siedzi na niej okrakiem, uczepiony, trumna trzaska o ziemię, wyrzuca go do przodu i zrzuca z siebie, a Mack skacze w lekki swąd przypiekanego ciała i zadusza rozszerzające się szkarłatne na brzegach dziury, które wykwitają jak kwiaty na podkoszulku Klejnota.

-173-

VARDAMAN

Kiedy poszedłem sprawdzić, gdzie one siedzą w nocy, coś zobaczyłem.

- Gdzie Darl? - pytają. - Gdzie Darl?

Zanieśli ją z powrotem pod jabłonkę.

Stodoła jeszcze czerwona, ale to już nie stodoła. Zapadła się i wiruje z niej czerwony słup. Uleciała w czerwonych strzępkach w niebo i gwiazdy, tak że gwiazdy się z powrotem cofnęły.

A wtedy Cash już nie spał. Obraca głowę na strony i pot ma na twarzy.

- Chcesz, żeby ci ją znowu polać wodą, Cash? - pyta Dewey Dell.

Casha noga i stopa szerniały. Podnosimy lampę i patrzymy na tę czarną nogę i stopę Casha.

- Twoja stopa, Cash, wygląda jak murzyńska - mówię.

- Chyba musimy rozłupać ten cement - powiada tata.

- Po licha żeście go zakładali? - pyta pan Gillespie.

- Myślałem, że mu trochę nogę przytrzyma - powiada tata. - Tylko pomóc mu chciałem.

Biorą żelazko i młotek. Dewey Dell trzyma lampę. Muszą mocno walić. A potem Cash usypia.

- Teraz śpi - mówię. - Nie może go boleć, kiedy śpi. Pękło tylko. Nie chce zejść.

-174-

- Razem ze skórą zejdzie - mówi pan Gillespie. - Po licha żeście go zakładali? Żadnemu do głowy nie przyszło, żeby mu przedtem nogę tłuszczem nasmarować?

- Tylko pomóc mu chciałem - powiada tata. - To Darl nakładał.

- Gdzie Darl? - pytają.

- Żadne z was na tyle oleju w głowie nie miało? - mówi pan Gillespie. - Choćby po nim czegoś lepszego bym się spodziewał.

Klejnot leżał na brzuchu. Plecy miał czerwone. Dewey Dell nasmarowała go lekarstwem. Lekarstwo jest zrobione z masła i sadzy, żeby ściągało gorączkę. Teraz plecy ma czarne.

- Czy to boli, Klejnot? - pytam. - Klejnot, twoje plecy wyglądają jak murzyńskie - mówię. Casha noga i stopa były jak murzyńskie. A potem rozłupali cement. Noga Casha krwawi.

- Wracaj na ganek i połóż się - mówi Dewey Dell. - Dlaczego nie śpisz?

- Gdzie Darl? - pytają.

Darl jest tam, pod jabłonką z nią, leży na niej. Siedzi tam, żeby kot nie przyszedł.

- Będiesz odganiał kota, Darl? - pytam.

Księżyc mży jabłko wicie i na niego. Na nią pada nieruchomo, a po nim mży od góry do dołu.

- Nie płacz - mówię. - Klejnot ją wyciągnął. Nie płacz, Darl. Stodoła jeszcze jest czerwona. Przedtem była czerwiejsza.

A potem zawirowała, aż gwiazdy poleciały w dół, choć nie spadły. Aż mnie ścisnęło w sercu jak na widok tej kolei.

Kiedy poszedłem zobaczyć, gdzie one siedzą w nocy, widziałem coś, o czym Dewey Dell nie kazała mi nigdy nikomu mówić.

-175-

DARL

Już jakiś czas mijamy tablice przy drodze - ogłoszenia drug-storów, magazynów odzieżowych, reklamy patentowanych leków, garaży i kawiarenek, tablice przydrożne z coraz mniejszą odległością, która coraz wyraźniej się kurczy: 3 mile. 2 mile. Ze szczytu wzgórza, kiedy z powrotem wsiadamy na wóz, widać nisko i płasko leżące dymy, na pozór nieruchome w bezwietrznym popołudniu.

- To już, Darl? - pyta Vardaman. - To już Jefferson?

On też schudł. Jak nasze i jego twarz ma wyraz napięty, zagubiony i wynędzniały.

- Tak - mówię.

Podnosi głowę i patrzy na niebo. Wysoko wiszą na nim w coraz mniejszych kołach, jak dym, na zewnątrz pozornie w jakiejś formie i z jakimś uzasadnieniem, choć nic nie wskazuje na to, żeby się poruszały, postępowaly czy cofały. Włazimy z powrotem na wóz, w którym Cash leży na trumnie z nogą w rozłupanej skorupie cementu o ostrych, nierównych brzegach. Wynędzniałe muły z brzękiem i klekotem spuszczaają się w dół pagórka. - Musimy go wieźć do doktora - powiada tata. - Miarkuję, że bez tego się nie obejdzie.

Na plecach koszuli Wejnota, w tych miejscach, gdzie dotyka do ciała, rozlewają się czarne tłuste plamy. Życie powstało w dolinach. Od pradawnych lęków, pradawnych żądź i pra-

-176-

dawnych rozpaczy wykopiało w górę, na wzgórze. To dlatego trzeba najpierw piechotą wejść na wzgórze, żeby móc z niego zjechać.

Dewey Dell siedzi na wozie z owiniętym w gazetę pakunkiem na kolanach. Kiedy zjeżdżamy w dół pagórka, gdzie droga biegnie płasko, między dwiema bliskimi ścianami drzew, zaczyna się powoli rozglądać po obu stronach drogi. Wreszcie powiada:

- Muszę zesiąść.

Tata spogląda na nią, profil ma już z góry kwaśno niezadowolony. Nie zatrzymuje mułów.

- Po co?

- Muszę w krzaki - powiada Dewey Dell.

Tata nie zatrzymuje mułów.

- Nie możesz się strzymać, jak będziemy w mieście? Już niecała mila.

- Zatrzymaj - powiada Dewey Dell. - Muszę w krzaki. Tata zatrzymuje pośrodku drogi i przyglądamy się, jak Dewey Dell zsiada z pakunkiem w rękę. Nie ogląda się.

- Możesz zostawić swoje placki - mówię. - Popilnujemy. Zsiada dalej, nie patrzy na nas.

- Skąd by wiedziała, gdzie pójść, jakby zaczekała do miasta? - pyta Vardaman. - Gdzie byś poszła w mieście, Dewey Dell?

Zdejmuje z wozu pakunek, odwraca się i znika wśród drzew i poszycia.

- Nie siedź dłużej, niż musisz - powiada tata. - Nie mamy czasu do tracenia. - Dewey Dell nie odpowiada.

Niedługo już jej w ogóle nie słyszymy. - Szkoda, żeśmy nie posłuchali Armstida i Gillespie i nie odkażaliśmy do miasta, żeby już go kopali - powiada.

- Dlaczegoś tego nie zrobił? - mówię. - Mogłeś zatelefonować.

- Na co? - mówi Klejnot. - Albo to kto nie potrafi wykopać dołu w ziemi?

-177-

Na wzgórzu pokazuje się auto. Zaczyna trąbić i zwalnia. Przejeżdża powoli brzegiem drogi, kołami z lewej strony w rowie, mija nas i jedzie dalej. Vardaman patrzy za nim, póki nie znika z oczu.

- Jak to jeszcze daleko, Darl? - pyta.

- Niedaleko - mówię.

- Trzeba nam było tak zrobić - powiada tata. - Tylko że nie chciałem o nic prosić nikogo obcego.

- Nie potrafi to kto wykopać cholernego dołu w ziemi? - mówi Klejnot.

- To lekceważenie mówić w ten sposób o jej mogile - powiada tata. - Żadnego poszanowania wy nie znacie. Nigdy jej naprawdę nie kochaliście, żadne z was.

Klejnot nie odpowiada. Siedzi trochę sztywno, wyprostowany, stara się nie dotykać plecami koszuli. Skacze mu zaczerwieniona szczeka. j

Wraca Dewey Dell. Patrzymy, jak się ukazuje zza krzaków z pakunkiem w rękach i wchodzi na wóz. Ma teraz na sobie nie-

dzielną sukienkę, korale, buciki i pończochy.

- Zdaje się, że ci mówiłem, żebyś to ubranie zostawiła w domu - powiada tata.

Dewey Dell nie odpowiada, nie patrzy na nas. Kładzie pakunek na wóz i sama wchodzi. Wóz rusza.

- Jak dużo jeszcze pagórków, Darl? - pyta Vardaman.

- Tylko jeden - mówię. - Już za tym, co przed nami, miasto. Ten pagórek jest z czerwonego piachu, po obu stronach

drogi stoją murzyńskie chaty; na niebie przed nami sieć drutów telefonicznych i między drzewami wznosi się zegar na budynku sądowym. Koła szepczą w piachu, jakby sama ziemia chciała przyciszyć nasze przybycie.

Zsiadamy z wozu, kiedy droga zaczyna się podnosić.

Idziemy za wozem, za szepczącymi kołami, mijamy chaty, w których nagle pojawiają się twarze łyskające białkami oczu. Słyszymy spłoszone krzykliwe głosy. Klejnot do tej pory rozglądał się na boki, teraz patrzy przed siebie i widzę, że uszy

-178-

mu jeszcze bardziej czerwienieją z wściekłości. Przed nami idzie drogą trzech Murzynów, dziesięć stóp przed nimi jakiś biały. Mijamy Murzynów, a oni odwracają nagle głowy z tym wyrazem zaskoczenia i instynktownego oburzenia.

- Boże wielki - powiada jeden. - Co oni tam wiozą? Klejnot rzuca się.
 - Skurwysyny - mówi.
 Akurat wtedy mijamy tego białego, który się zatrzymał. Klejnot jakby na chwilę oślepl, bo rzuca się akurat na tego białego.
 - Dar! - mówi Cash z wozu.
 Łapię Klejnota. Ten biały odsunął się o krok, głowę ma jeszcze rozdziawioną, ale zaraz szczęki mu tężeją i zamykają się. Klejnot pochyła się nad nim ze zbiegającymi szczękami.
 - Coś powiedział? - pyta."
 - No, no - mówię. - On tak tylko, proszę pana. Klejnot -mówię. Kiedy go dotykam, ten się rzuca na białego. Łapię go za rękę, szarpiemy się. Klejnot ani na mnie nie spojrzal. Wyrzywa mi rękę. Kiedy znów patrzę na tamtego, trzyma w ręku otwarty nóż.
 - Wolnego - mówię. - Już go trzymam. Klejnot - mówię.
 - Myśli, cholera, że jak jest z miasta... - dyszy Klejnot i wyrzywa mi się. - Skurwysyn - mówi.
 Tamten się porusza. Zachodzi mnie od tyłu i śledzi ruchy Klejnota z nożem nisko przy nodze.
 - Nikt mnie nie będzie skurwysynem nazywał - powiada. Tata zsiadł, a Dewey Dell trzyma Klejnota i odpycha. Puszczam go i odwracam się do tamtego.
 - Czekaście - mówię. - On nic złego nie myślał. Jest chory, poparzył się wczoraj w nocy przy pożarze i źle się czuje.
 - Pożar nie pożar, nikt mnie nie będzie wyzywał - powiada tamten.
 - Jemu się zdawało, że pan coś do niego powiedział - mówię.
 - Nic do niego nie mówiłem. Pierwszy raz go widzę.
 - Olaboga - powiada tata. - Olaboga.

-179-

- Wiem - mówię. - On was nie chciał obrazić. Odwoła to.
 - To niech odwoła.
 - Niech pan schowa nóż, to odwoła.
 Tamten spogląda na mnie. Spogląda na Klejnota. Klejnot już jest spokojny.
 - Niech pan schowa nóż - mówię. Tamten zamyka nóż.
 - Olaboga - powiada tata. - Olaboga.
 - Powiedz mu, Klejnot, że nie chciałeś go obrazić - mówię.
 - Zdawało mi się, że on coś powiedział - mówi Klejnot. -Myśli, że jak jest...
 - Cicho - mówię. - Powiedz mu, że go nie chciałeś obrazić.
 - Nie chciałem go obrazić - powiada Klejnot.
 - Nie radzę mu - mówi tamten. - Wyzywać mnie od...
 - Myślisz pan, że on się boi pana tak nazwać? - mówię. Tamten spogląda na mnie.
 - Tego nie mówiłem - powiada.
 - Ani nie myśl - mówi Klejnot.
 - Zamknij się - mówię. - Jedziemy. Ruszaj, tata.

Wóz rusza. Tamten stoi i patrzy za nami. Klejnot się nie ogląda.

- Klejnot by mu dał - powiada Vardaman. Dojeżdżamy do szczytu, gdzie się zaczyna ulica, gdzie w jedną i drugą stronę przejeżdżają auta; muły wciągają wóz na szczyt wzgórza i dalej, na ulicę. Tata je zatrzymuje. Przed nami ulica, dalej plac i pomnik przed budynkiem sądowym. Wsiadamy z powrotem, a ludzie oglądają się z tym wyrazem, który już znamy. Klejnot nie wsiada. Nie rusza, chociaż wóz już ruszył.
 - Wsiadaj, Klejnot - mówię. - No. Ruszajmy stąd.
 Ale on nie wsiada. Zamiast tego stawia stopę na piastę tylnego koła, ręką przytrzymuje się wozu, piasta mu się gładko obraca pod podeszwą, a on podnosi drugą nogę, przykuca i patrzy nieruchomo przed siebie, chudy, sztywny jakby kij połknął, jak skulona figura wycięta z suchego drewna.

-180-

CASH

Nie było innego wyjścia. Albo odesłać go do Jackson, albo niech nas Gillespie skarży, bo się jakimś sposobem

dowiedział, że to Darl ją podпалиł. Nie wiem jak, ale się dowiedział. Varda-man widział, ale przysiągł, że nikomu nie mówił oprócz Dewey Dell, a ona mu przykazała nikomu nie mówić. Ale Gillespie się dowiedział. Tylko i tak, prędzej czy później, nabraliby podejrzania. Mógł to zrobić już tamtej nocy z samego tego, jak Darl się zachowywał.

Więc tata powiada:

- Innej rady nie ma, jak miarkuję. A Klejnot na to:

- Chcesz się z nim załatwić już zaraz?

- Załatwić z nim? - pyta tata.

- No, złapać go i związać - mówi Klejnot. - Niech to diabli, chcesz czekać, aż podłożą ogień pod te cholerne muły i wóz?

Ale to było na nic.

- Nic nam z tego nie przyjdzie - mówię. - Możemy zaczekać, aż ona będzie w grobie.

Takiemu, co już ma do końca życia przesiedzieć pod kluczem, trzeba pozwolić, żeby użył swego, ile może, zanim pójdzie

za kraty.

- Chyba trzeba, żeby był przy tym - powiada tata. - Pan Bóg widzi, nie lekko mi. Jak się nie wie, to już chyba do końca.

-181-

Czasami to sam nie wiem, czy człowiek ma prawo mówić, kiedy kto jest normalny, a kiedy nie. Czasami myślę, że żadne z nas do końca nie zwariowało i żadne z nas do końca nie jest normalne, póki reszta gadaniem nie przeważy. Jakby nie tyle o to szło, co ktoś robi, ile o to, jak większość ludzi patrzy na to, co ktoś robi.

Bo Klejnot za surowy jest dla niego. Pewno, to Klejnota koń zapłacił za to, żeby ją aż tu dowieźć, i w jakimś sensie to wartość tego konia Darl chciał puścić z dymem. Ale zanim żeśmy się przedostali za rzekę i potem nieraz sobie myślałem, że Bogu by należało dziękować, jakby nas od niej uwolnił i załatwił się z nią w jakiś przyzwoity sposób, a kiedy Klejnot tak się trudził, żeby ją wyłowić z rzeki, wydało mi się, że w jakiś sposób sprzeciwia się wyrokowi boskim, a wtedy z Darlem to było tak, że się zdawało, że któryś z nas musi coś zrobić, jestem prawie pewny, że po swojemu zrobił, co należy. Ale nie uważam, żeby coś usprawiedliwiało podkładanie ognia pod czyjąś stodołę, narażanie mu bydła i niszczenie jego własności. Tak to, miarkuję, jest, kiedy człowiek zwariował. Tak to jest, kiedy nie ma tego samego spojrzenia na rzeczy, co inni. I miarkuję, że postąpią z nim tylko tak, jak według większości należy.

Ale swoją drogą to wstyd. Wygląda na to, że ludzie odchodzą od dawnej słusznej nauki, co powiada, żeby wbijać gwoździe i ociosywać kanty zawsze tak, jakby człowiek robił dla własnego użytku i wygody. To tak samo, jak niektórzy mają ładne gładkie deski na budowę sądu, a inni tylko surowe kloce, co się nadają najwyżej na kojec dla kur. Ale lepiej zbudować zgrabny kojec niż rozlatujący się sąd, i czy zbuduje się oba kiepsko, czy oba dobrze, taki sam jest człowiek zadowolony albo niezadowolony, czy to będzie sąd, czy ten kojec.

Więc jedziemy ulicą w stronę placu, a on mówi:

- Lepiej najpierw wieźmy Casha do doktora. Możemy go zostawić i wstąpić po niego wracając.

Tak to jest. To dlatego, że ja i on rodziliśmy się zaraz jeden po drugim, i to blisko dziesięć lat, zanim się zaniósł na Klejnota,

-182-

Dewey Dell i Vardamana. Czuję się ich bratem jak trzeba, ale czy ja wiem. I jestem najstarszy, i właśnie już przedtem, nim on to zrobił, ja to samo myślę - czy ja wiem.

Tata popatrzył na mnie, spogląda potem na niego i mlamle gębą.

- Nie stawajcie - mówię. - Najpierw tamto.

- Chciałbym, żeby nikogo nie brakło - powiada.

- Wieźmy najpierw Casha do doktora - mówi Darl. - Ona poczeka. Już dziewięć dni czekała.

- Co wy tam wiecie - powiada tata. - Człowiek z tym kimś był młody i człowiek przy niej się starzał i ona się

starzała przy człowieku, i razem nam starość w oczy zajrzała, i to był ktoś, kto ci powie, że to nic nie szkodzi, i człowiek wie, że to jedyna prawda na tym trudnym świecie i we wszystkich ludzkich załościach i doświadczeniach. Co wy tam wiecie.

- Jeszcze i kopanie nas czeka - mówię.

- I Armstid, i Gillespie ci mówili, żebyś odkazał naprzód -mówi Darl. - Nie chcesz to jechać do doktora Peabody, Cash?

- Nie zatrzymujcie - ja na to. - Nic mi ona teraz nie dokucza. Najlepiej niech każda rzecz ma swoją kolej.

- Gdyby to był już wykopany - powiada tata. - I szpadla naszego żeśmy zapomnieli.

- Tak - mówi Darl. - Wejść do sklepu żelaznego. Musimy kupić szpadel.

- To kosztuje pieniądze - powiada tata.

- Żałujesz jej tego? - pyta Darl.

- Idź i kup szpadel - mówi Klejnot. - No, dajcie pieniądze. Ale tata nie zatrzymuje wozu.

- Chyba znajdzie się jakiś szpadel - powiada. - Chyba nie brak tu chrześcijan.

Więc Darl usiadł spokojnie i jedziemy dalej, a Klejnot przysiadł z tyłu na wozie i patrzy na plecy Darla.

Wyglądał jak jeden z tych buldogów, z tych psów, co to nigdy nie szczekają, jakby przysiadł u końca linki i patrzył na to, na co ma ochotę skoczyć.

-183-

I siedział tak cały czas, kiedyśmy stali przed domem pani Bundren, z którego słychać było muzykę, i tymi swoimi twardymi białymi oczami patrzył na tył głowy Darla.

Muzyka grała w domu, w środku. Jeden z tych gramofonów. Całkiem jak kapela.

- Chcesz jechać do doktora Peabody? - pyta Darl. - Oni tu mogą zaczekać, powiedzą tacie, a ja cię zawiozę do doktora i wrócę po nich.

- Nie - mówię.

Lepiej ją pochować, jak już tu jesteśmy i czekamy tylko, aż tata pożyczy ten szpadel. Jechał ulicą dotąd, aż usłyszeliśmy tę muzykę.

- Może tu go będą mieli - powiada. I podjeżdża pod dom pani Bundren. Jakby wiedział. Czasami to sobie myślę, że też pracowity nie dojrzy tak łatwo okazji do pracy, jak łatwo dojrzy okazję do leniuchowania leniwy.

Zatrzymuje się tam, jakby wiedział, przed tym nowym domkiem z muzyką w środku. A my czekamy i słuchamy. Pewny jestem, że Suratt opuściłby mi do pięciu dolarów za ten swój. To kojąca rzecz, muzyka. -

Może tu jaki mają - powiada tata.

- Chcesz, żeby Klejnot poszedł -pyta Darl - czy wolisz, żebym ja?

- Chyba wolę sam - powiada tata.

Zsiada z wozu i zachodzi dróżką do drzwi od tyłu. Muzyka się urwała, a potem znów zaczęła grać.

- I dostanie ten szpadel - powiada Darl.

- Ano - mówię.

Zupełnie, jakby wiedział, zupełnie, jakby widział przez ściany i wiedział, co będzie za najbliższe dziesięć minut.

Tylko że minęło więcej niż dziesięć minut. Muzyka się urwała i przez dłuższą chwilę wcale nie zaczynała na nowo, kiedy ona i tata tam w środku rozmawiali. A my czekamy na wozie.

- Zgódź się, żebym cię odwiózł do doktora - mówi Darl.

- Nie - mówię. - Pochowajmy ją.

-184-

- Jeśli ten stąd kiedy wyjdzie - powiada Klejnot. Zaczyna kłać. I już złazi z wozu. - Idę - powiada.

Wtedy patrzymy, tata wraca. Wychodzi zza węgła z dwoma szpadlami. Położył je na wóz, wsiadł i ruszyliśmy. Muzyka już się nie odezwała. Tata oglądał się na dom. Rękę tak jakby odrobinę podniósł i zobaczyłem, że zasłonka w oknie się uchyliła, a za nią się pokazała jej twarz.

Ale najdziwniejsze, co ta Dewey Dell. To mnie zdumiało. Cały czas rozumiem, dlaczego ludziska gadają, że on jest dziwny, ale właśnie dlatego nikt tego nie mógł brać do siebie. Jakby i on był razem z człowiekiem na

zewnątrz, i wściekał się, tak jakby to było wściekanie się na kałużę, że człowieka uchla-pała błotem, kiedy w nią wdepnął. I cały czas niby wiedziałem, że on i Dewey Dell wiedzą różne rzeczy o sobie. Jakbym miał powiedzieć, że któregoś z nas ona bardziej lubiła od innych, to Darla. Ale kiedyśmy już grób zasypali i przykryli, i wyjechali z bramy, i skręcili w zaułek, gdzie czekali tamci, i kiedy tamci rzucili się na niego, a on się szarpał, to Dewey Dell pierwsza go przytrzymała, zanim jeszcze Klejnot zdążył. I wtedy to już chyba wiedziałem, skąd Gillespie się dowiedział, w jaki sposób zapaliła się jego stodoła.

Słowa nie powiedziała, nawet nie spojrzała na niego, ale kiedy tamci mu powiedzieli, czego chcą i że przychodzą po niego, a on się szarpnął do tyłu, ta skoczyła na niego jak dzika kotka, aż jeden z nich musiał się odłączyć i ją przytrzymać, i drapała go, i szarpała jak dzika kotka, a ten drugi z tatą i Klejnotem powalili Darla i rozłożyli go na łopatki, i Darl patrzy na

mnie.
- Myślałem, że mi powiesz - powiada. - Nie sądziłem, że mi nie powiesz.

- Darl - mówię. Ale on znowu się szarpie, szarpie się z Klejnotem i z tamtym, ten drugi trzyma Dewey Dell, Vardaman wrzeszczy, a Klejnot powiada:

- Zabić go. Zabić skurwysyna.

Tak, to było niedobrze. Niedobrze było. Nikomu się nie upieczce marna robota. Nikomu to nie ujdzie na sucho. Chciałem mu

-185-

to powiedzieć, ale ten tylko powiada: - Myślałem, że mi powiesz. Nie idzie mi o to, żebym... - mówi i śmieje się. Ten drugi odciągnął od niego Klejnota, A Darl siedzi na ziemi i śmieje się. Próbowałem mu powiedzieć. Gdybym to się mógł choć poruszyć, choć usiąść. Ale spróbowałem mu powiedzieć i przestał się śmiać, i patrzy na mnie.

- Chcesz, żebym tam szedł? - pyta.

- Tak będzie lepiej dla ciebie - mówię. - Tam będzie spokojnie, żadnego zawracania głowy i takich tam. Tak będzie lepiej dla ciebie, Darl - mówię.

- Lepiej - powiada. Znowu się zaczyna śmiać. - Lepiej - powiada. Ledwie mówi od śmiechu. Siedzi na ziemi, patrzymy na niego, a ten śmieje się i śmieje. Niedobrze było. Tak, to było niedobrze. Niech mnie cholera, nie widzę, z czego tu się śmiać. Toć przecież nic nie usprawiedliwia rozmyślnego niszczenia tego, co człowiek zbudował własnym potem i w czym przechowuje owoc własnego trudu.

Ale nie jestem ja taki pewny, czy człowiek ma prawo powiedzieć, co jest zwariowane, a co nie. Tak jakby w każdym siedział ktoś, kto robi rzeczy, co się nie mieszczą w normalności i w nienormalności, i kto się z taką samą zgrozą i z takim samym zdumieniem przygląda tym normalnym i tym nienormalnym rzeczom, jakie robi.

-186-

PEABODY

Powiadam:

- Zgodzę się, że jak człowiek nie ma wyjścia, to może pozwolić, żeby go Bili Varner łątał jak jakiego cholernego muła, ale niech mnie wszyscy diabli, taki, co się pozwala Anse'owi Bun-drenowi zalewać surowym cementem, chyba ma więcej nóg na zbyciu jak ja.

- Oni tylko chcieli odrobinę mi ulżyć - on na to.

- Chcieli, niech ich diabli - mówię. - A co, u cholery, myślał sobie ten Armstid, że im pozwolił bodaj kłaść cię z powrotem na wóz?

- Już ją było porządnie czuć - on na to. - Nie mieliśmy czasu do stracenia. - Patrę ja tylko na niego. - Wcale mi nie

dokuczała - powiada.

- Nie będziesz tu leżał i opowiadał mi, żeś jechał przez tydzień na wozie bez resorów ze złamaną nogą i że ci nie dokuczała.

- Nic mi nie przeszkadzało - on na to.
 - Chcesz powiedzieć, że Anse'owi to nic nie przeszkadzało - mówię. - Tak samo jak mu nie przeszkadzało rzucić tego bid-nego wariata publicznie na ulicy i pozwolić go zakuć jak jakiego cholernego mordercę. Już ty mi nie mów. I nie mów mi, że ci nie przeszkadza, jak stracisz z górą sześćdziesiąt cali kwadratowych skóry przy zdejmowaniu tego cementu. I nie mów mi, że ci nie

-187-

przeszkadza, że do końca życia będziesz musiał kuśtykać na jednej nodze krótszej... o ile w ogóle będziesz mógł z powrotem chodzić. Cement - powiadam. - Boże wszechmogący, nie mógł cię to Anse zataszczyć do najbliższego tartaku i wsadzić ci nogę pod piłę? To by ją wyleczyło. Wtedy moglibyście wszyscy po kolei wetknąć łby pod tę piłę i cała rodzina byłaby wyleczona... A swoją drogą, gdzie ten Anse? Co on jeszcze szykuje?

- Poszedł odnieść pożyczone szpadle - on na to.

- To się zgadza - mówię. - Jasne, musiał pożyczać szpadla, żeby żonę pochować. Chyba że i dół w ziemi dałoby się pożyczyć. Szkoda wielka, żeście go też tam nie zakopali... Boli?

- Nie ma o czym mówić - powiada, a pot mu leci po twarzy wielki jak szklane kulki i twarz ma mniej więcej koloru bibuły.

- Jasne, że nie - mówię. - Gdzieś tak za rok w lecie pierwszorzędnie będziesz hopsał na tej nodze. Wtedy cię nie będzie bolała, wtedy nie będzie o czym mówić... Jeżeliby to można nazwać szczęściem, to możesz powiedzieć, że masz szczęście, że to ta sama noga, co ją już raz łamałeś - powiadam.

- To samo tata mówi - on na to.

-188-

MACGOWAN

Tak się złożyło, że byłem za przepierzeniem, gdzie się recepty przygotowuje, i właśnie wylewałem polewę czekoladową, kiedy wsunął się Jody i powiada:

- Słuchaj, Skeet, od frontu czeka taka jedna, co chce się widzieć z doktorem, a kiedy zapytałem, z którym, to mówi, że z tym, co tu pracuje, a kiedy jej powiedziałem, tu żaden doktor nie pracuje, ani się nie ruszyła, tylko patrzy w tę stronę.

- Co to za jedna? - pytam. - Powiedz jej, niech idzie na górę do gabinetu Alforda.

- Jakaś ze wsi - on na to.

- To ją odesłaj do sądu - powiadam. - Powiedz jej, że wszyscy doktorzy pojechali do Memphis na zjazd cyrulików.

- Dobra - mówi i już idzie. - Niebrzydka jak na wiejską dziewczuchę - powiada jeszcze.

- Czekaj - ja na to. Zatrzymał się, a ja idę i wyglądam przez szparę. Ale nic nie widać, tyle że pod światło nogi miała niczego. - Młoda, powiadasz? - pytam.

- Wygląda na ciepłą sobie babkę - powiada.

- Trzymaj - mówię i daję mu tę czekoladę. Zdjąłem kitel i wychodzę. Całkiem niebrzydka. Taka z czarnymi oczami, co to wygląda, żeby jak nic nożem człowieka poczęstowała, gdyby ją kiwnął. Niebrzydka. Nikogo więcej w sklepie nie było, bo to pora obiadu.

-189-

- Czym mogę pani służyć? - pytam.

- To pan jest doktor? - ona na to.

- Jasne - mówię.

Już nie patrzy na mnie i tak jakoś się rozgląda.

- Nie moglibyśmy wejść do środka? - pyta.

Było akurat kwadrans po dwunastej, ale wszedłem i mówię Jody'emu, żeby niby uważał i gwizdnął, jakby starego zobaczył, choć stary nigdy przed pierwszą nie wraca.

- Lepiej daj temu spokój - powiada Jody. - Wywali cię na zbity pysk, że ani się obejrzysz.

- Nigdy przed pierwszą nie wraca - mówię. - Będziesz go widział, jak idzie na pocztę. No, przetrzyj ślepią i

gwizdź.

- Co chcesz zrobić? - pyta.

- Kapuj na niego. Potem ci powiem.

- A nie dopuścisz mnie w drugiej kolejności? - pyta.

- Co ty sobie, u diabła, wyobrażasz? - mówię. - Że to farma rozplodowa? Uważaj na starego. Ja idę na konferencję.

Więc idę od tyłu. Przed lustrem przystanąłem, przyglądałem włosy i wchodzę do niej za przepierzenie, gdzie się robi recepty, tam ona czeka. Patrzy na gablotę z lekarstwami, a potem na mnie.

- Słucham panią - powiadam. - Co pani dolega?

- To kobieca dolegliwość - ona na to i przygląda się mnie. - Pieniądze mam - powiada.

- O - mówię. - Ma pani kobiece dolegliwości czy chce pani sobie napytać kobiecych dolegliwości? Jeżeli tak, to dobrze pani trafiła.

Ci wsiowi. Najpierw nie wiedzą, czego chcą, a potem nie umieją tego powiedzieć. Na zegarze dwadzieścia po dwunastej.

- Nie - ona na to.

- Co nie? - pytam.

- Nie miałam ich - powiada. - O to chodzi. - I patrzy na mnie. - Pieniądze mam.

To już wiem, o czym ona mówi.

-190-

- Och - powiadam. - Nosi pani w brzuchu coś takiego, czego by pani wolała się pozbyć. - A ta spogląda na mnie. - Wolałaby pani mieć trochę więcej czy trochę mniej, hm?

- Pieniądze mam - ona na to. - On mówił, że dostanę coś na to w drugstorze.

- Kto mówił? - pytam.

- On - powiada i spogląda na mnie.

- Nie chce pani nikogo nazywać po nazwisku - mówię. - To ten, co panią tak urządził? On pani powiedział? -

Ona nic na to. - Nie jest pani mężatką, co? - pytam. Ale nie widzę obrączki. Choć jak nic one tam na wsi ani słyszały, że ktoś nosi obrączki.

- Pieniądze mam - powiada ona. I pokazuje pieniądze związane w chusteczkę: dziesięć dolarów.

- Słowo daję, pieniądze pani ma - mówię. - Od niego?

- Tak - powiada.

- Od którego? - mówię. Spojrzała na mnie. - Który z nich dał je pani?

- Jest tylko jeden - ona na to. I patrzy na mnie.

- No słucham - mówię. Ona ani słowa. Najgorzej, że z tej piwnicy tylko jedno wyjście, i to od tyłu przez schody w środku. Zegar pokazuje za dwadzieścia pięć pierwszą. - Taka przystojna dziewczyna jak pani - mówię.

Znowu na mnie spojrzała i zabiera się do chowania pieniędzy z powrotem w chusteczkę.

- Przepraszam na chwilkę - mówię. Wychodzę za przepierzenie. - Słyszałeś o tym facecie, co sobie ucho nadwyrężył? - pytam. - Potem i beknięcia nie słyszał.

- Lepiej ją zabieraj stamtąd, zanim stary wróci - powiada Jody.

- Siedź tylko tu od frontu, kiedy ci za to płacą, a nikogo on tam nie zastanie oprócz mnie - mówię.

Jody powoli rusza do drzwi.

- Co ty jej robisz, Skeet? - pyta.

- Nie mogę ci powiedzieć - mówię. - To by było wbrew etyce. Idź od frontu i uważaj.

-191-

- Powiedz, Skeet - on na to.

- Och, ruszaj się - mówię. - Nic nie robię, wypisuję receptę.

- Stary może i nic by nie powiedział, jakby ją zastał na zapleczu, ale jeżeli cię złapie na tym, że grzebiesz mu w receptach to cię jak nic wywali, aż się będziesz zbierał po całych schodach do piwnicy.

- Już lepsze skurczybyki próbowały jak on - mówię. - Wracaj już i uważaj na niego.

I idę z powrotem. Zegar pokazuje za piętnaście pierwszą. Ta babka zawiązuje pieniądze w chusteczkę.
 - Pan nie jest doktorem - powiada.
 - Jasne, że jestem - ja na to. Przyjrzała mi się. - Za młody jestem, czy może za przystojny? - pytam. - Mieliśmy tu kiedyś takich impregnowanych staruszków doktorów - powiadam. - Jef-ferson to był kiedyś przytułek dla starych doktorów. Ale interes zaczął upadać, bo ludzie byli za zdrowi, aż któregoś dnia się okazało, że kobiety to już w ogóle nie chcą chorować. I wtedy przegnali wszystkich tych staruszków i wzięli nas, młodych i przystojnych, co się podobamy kobietom, i zaraz kobiety na nowo zaczęły chorować i interes ruszył od początku. W całym kraju robią to samo. Nie słyszała pani? Może dlatego, że do tej pory doktor nie był pani potrzebny.
 - Teraz mi go trzeba - ona na to.
 - I przyszła pani do tego, co trzeba - mówię. - Już to pani powiedziałem.
 - Ma pan na to lekarstwo? - pyta ona. - Pieniądze mam.
 - No - powiadam - doktor, kiedy się uczy kręcić kalomel, musi o wszystkim nabrać pojęcia, choćby nie chciał. Ale o tym, co pani dokuczka, to ja nie wiem.
 - On mi powiedział, że coś dostanę. Że coś dostanę w drug-storze.
 - Nie mówił pani, jak to się nazywa? - pytam. - Lepiej niech pani wraca do niego i zapyta.
 Przeszła na mnie patrzeć i tak jakoś kręci tę chusteczkę w rękach.

-192-

- Muszę coś poradzić - powiada.
 - A bardzo pani na tym zależy? - pytam. Spojrzała na mnie. - Doktor oczywiście uczy się wszystkiego o rzeczach, co to ludzie nawet go nie podejrzewają, że wie. Ale nikt się nie spodziewa, że powie wszystko, co wie. To przeciwne prawu.
 - Skeet - powiada Jody od frontu.
 - Przepraszam na chwilkę - mówię. I idę do niego. - Widzisz go? - pytam.
 - Jeszcze nie skończył? - pyta. - Może lepiej będzie, jak ty tu staniesz i pouważasz, a ja przeprowadzę to badanie.
 - Spieprzaj - mówię. Wracam do niej. Spogląda na mnie. -Pani przecież rozumie, że jak zrobię to, co pani chce, to mogę się dostać do więzienia - mówię. - Stracę prawo praktyki i będę musiał iść do pracy. Rozumie pani?
 - Mam tylko dziesięć dolarów - ona na to. - Może mogłabym przynieść resztę za miesiąc.
 - Eee - mówię - dziesięć dolarów? Widzi pani, moja wiedza i doświadczenie nie mają ceny. A już na pewno nie da się ich kupić za jakieś nędzne dziesięć dolarów.
 A ona patrzy na mnie i nawet nie mrugnie.
 - To co pan chce?

Zegar pokazuje za cztery minuty pierwszą. Myślę więc sobie, lepiej się jej pozbyć.

- Niech pani zgaduje. Do trzech razy sztuka, a potem pani pokażę - mówię.
 Nawet okiem nie mrugnęła.
 - Muszę coś zaradzić - powiada. Spojrzała za siebie, rozejrzała się na boki i patrzy w stronę wejścia do sklepu. - Najpierw niech mi pan da to lekarstwo - powiada.
 - To znaczy, może pani zaraz? - pytam. - Tutaj?
 - Najpierw niech mi pan da to lekarstwo - ona na to.
 Wziąłem więc szklaneczkę z podziałką, na chwilę się odwróciłem plecami do niej, wyjąłem buteleczkę, co mi wyglądała bezpiecznie, jako że przecież gdyby ktoś trzymał na wierzchu truciznę w nieoznaczonej butelce, toby powinien siedzieć

-193-

w więzieniu. Pachniało terpentyną. Nalałem trochę do szklaneczki i dałem jej. Powąchała i patrzy na mnie nad szklaneczką.
 - Pachnie jak terpentyna - powiada.
 - Jasne - ja na to. - To dopiero początek kuracji. Niech pani przyjdzie znowu wieczorem o dziesiątej, a dam

pani resztę lekarstwa i zrobię operację.

- Operację? - pyta.

- Nie będzie bolało. Już pani raz miała taką operację. Najlepiej to klin klinem, nie słyszała pani?

- Pomoże to? - pyta.

- Jasne, że pomoże. Tylko niech pani przyjdzie.

Wypiła więc, co tam było, bez mrugnięcia okiem, i wyszła. A ja idę od frontu.

- Dostałeś? - pyta Jody.

- Co dostałem? - pytam.

- E, gadaj - mówi on. - Nie mam zamiaru bić twoich rekordów czasu.

- Och, ta babka - powiadam. - Ona tylko chciała trochę lekarstwa. Ma ciężką dyzenterię i wstydziła się o tym mówić przy kimś obcym za ścianą.

I tak wypadłaś mój dyżur tej nocy, więc pomogłem staremu skurczybykowi zrobić kasę, podałem mu kapelusze i wyprawilem go ze sklepu około pół do dziewiątej. Wyszedłem z nim aż do rogu i poczekałem, aż minie dwie latarnie i zniknie mi z oczu. Potem wróciłem do sklepu, odczekałem do pół do dziesiątej, zgasilem światła od frontu, zamknąłem drzwi, zostawiłem tylko jedno światło od tyłu, wróciłem do sklepu, wysypałem trochę talku w sześć kapsułek, ogarnąłem piwnicę i już byłem gotów.

Przyszła równo o dziesiątej, jeszcze zegar nie dobił do końca. Wpuściłem ją i weszła szybkim krokiem.

Wyjrzałem za drzwi, ale nikogo nie było widać, tylko jakiś chłopak w kombinezonie siedział na krawężniku.

- Chcesz czegoś? - pytam.

Ale on nic nie powiedział, tylko spojrzał na mnie. Zamknąłem drzwi na klucz, zgasilem światło i wszedłem do środka. Czekala. Już na mnie nie patrzyła.

-194-

- Gdzie lekarstwo? - pyta.

Dałem jej pudełko z tymi kapsułkami. Wzięła je do ręki i popatrzyła na kapsułki.

- Wie pan na pewno, że pomogą? - pyta.

- Ani chybi - mówię. - Jeżeli podda się pani i tamtej kuracji.

- Gdzie mam się jej poddać? - pyta.

- W piwnicy - mówię.

-195-

VARDAMAN

Teraz jest szersza i jaśniejsza, ale w sklepach ciemno, bo wszyscy poszli do domu. W sklepach ciemno, ale światło miga po szybach, kiedy przechodzimy. Lampy są w gałęziach drzew przy budynku sądu. Siedzą na gałęziach jak na grzędzie, ale budynek sądu ciemny. Zegar na nim spogląda na cztery strony, bo nie jest ciemny. I księżyc nie jest ciemny. Nie bardzo ciemny. A Darl on pojechał do Jackson to mój brat Darl to mój brat Ale ona tam była, lśniła po szynach.

- Chodźmy tamtędy, Dewey Dell - mówię.

- Po co? - powiada Dewey Dell. Szyny za oknem przeleciały z błyskiem, a ona czerwona na szynach. Ale ona mówi, że on jej nie sprzeda miastowym chłopakom. - Ale ona tam będzie na Boże Narodzenie - powiada Dewey Dell. - Będziesz musiał poczekać, kiedy on ją z powrotem przyniesie.

Darl pojechał do Jackson. Dużo ludzi nie pojechało do Jackson. Darl to mój brat. Mój brat jedzie do Jackson Idziemy, a światła wkoło nas kołują na drzewach jak na grzędzie. Ze wszystkich stron tak samo. Kołują wokoło sądu i wtedy ich nie widać. Ale je widać za nim, w ciemnych oknach. Wszyscy poszli do domu spać oprócz mnie i Dewey Dell.

Jedzie pociągiem do Jackson. Mój Brat

Światło się pali w jakimś sklepie tam daleko. W oknie stoją dwie wielkie szklanki wody sodowej, czerwona i zielona.

-196-

I dwóch chłopów by ich nie dało rady wypić. I dwa muły nie.

I dwie krowy nie. Darl

Jakiś chłop wychodzi przed drzwi tam daleko. Spogląda na Dewey Dell.

- Zaczekaj tutaj - powiada Dewey Dell.

- Dlaczego nie mogę wejść? - mówię. - Ja też chcę wejść.

- Ty tu zaczekaj - ona na to.

- Dobrze - mówię. Dewey Dell wchodzi.

Darl to mój brat. Darl zwariował

Na chodniku twardziej siedzieć niż na ziemi. Ten chłop staje w otwartych drzwiach. Spogląda na mnie.

- Chcesz czegoś? - pyta.

Włosy ma natłuszczone. Klejnot ma czasami natłuszczone włosy. Cash nie ma. Darl on pojechał do Jackson mój brat Darl Na ulicy zjadł banana. A nie wolisz bananów? Dewey Dell powiedziała. Poczekaj do Bożego Narodzenia. Wtedy tam będzie. Wtedy będziesz mógł ją zobaczyć. Więc będziemy mieli parę bananów. Będziemy mieli pełny worek, ja i Dewey Dell. Tamten zamyka drzwi na klucz. Dewey Dell jest w środku. Potem światło gaśnie.

Pojechał do Jackson. I zwariował, i pojechał do Jackson. Mnóstwo ludzi nie zwariowało. Tata i Cash, Klejnot i Dewey Dell, i ja nie zwariowaliśmy. 1 nie pojechaliśmy do Jackson. Darl

Słyszę z daleka, jak krowa kłapie kopytami po ulicy.

Potem wychodzi na plac. Idzie przez plac ze spuszczonym łbem, kłapie kopytami. Myczy. Zanim zamyczała, nic nie było na placu, ale nie był pusty. Teraz jest pusty, kiedy zamyczała. Idzie dalej, kłapie kopytami. Muczy. Mój brat to Darl. Pojechał

do Jackson pociągiem. Nie zwariował, kiedy wsiadł do pociągu. Zwariował na naszym wozie. Darl Ona już długo tam siedzi. I krowa już poszła. Dawno . Dłużej ona tam siedzi, niż ta krowa tu była. Ale nie tak długo, jak długo już jest pusto. Darl to mój brat. Mój brat Darl

Dewey Dell wychodzi. Patrzy na mnie. - Chodźmy teraz naokoło - mówię.

-197-

Spogląda na mnie.

- To nie pomoże - powiada. - Sukinsyn.

- Co nie pomoże, Dewey Dell?

- Już ja wiem, że nie pomoże - powiada. Nie patrzy na mnie. - Już ja wiem.

- Chodźmy tędy - mówię.

- Musimy wracać do hotelu. Późno jest. Musimy się cicho wemknąć.

- Tak czy owak nie możemy to iść tamtędy i rzucić okiem?

- A nie wolisz bananów? Nie wolisz?

- No dobrze. Mój brat on zwariował i naraz pojechał do Jackson. Jackson to dalej niż zwariować

- Nie pomoże - powiada Dewey Dell. - Już ja wiem, że nie.

- Co nie pomoże? - pytam. Musiał wejść do pociągu, żeby jechać do Jackson. Ja nie byłem w pociągu, ale Darl był w pociągu. Darl. Darl to mój brat. Darl. Darl.

-198-

DARL

Darl pojechał do Jackson. Wsadzili go do pociągu, śmiał się, przez cały długi wagon śmiał się, kiedy przechodził, głowy się odwracały jak sownie.

- Z czego się śmiejesz? - pytam.

- Tak tak tak tak tak.

Dwóch ludzi go wsadziło do pociągu. Marynarki mieli innego koloru jak spodnie, odstające tam, gdzie jest prawa boczna kieszeń. Karki wygolone równiutko, jakby przed chwilą jednocześnie dwóch fryzjerów posłużyło się takim samym kredą natartym sznurkiem, jakiego używa Cash.

- To z tych pistoletów się śmiejesz? - pytam. - Z czego się śmiejesz? - pytam. - To dlatego, że samego dźwięku śmiechu nie znosisz?

Zsunęli dwie kanapki razem, żeby Darl mógł siedzieć przy oknie i się śmiać. Jeden usiadł obok niego, drugi naprzeciwko, tyłem do kierunku jazdy. Jeden musiał jechać tyłem, bo moneta państwowa każda ma wierzch i spód, spód i wierzch, a jadą za pieniądze państwowe, i to jest kazirodztwo. Piątak ma po jednej stronie głowę kobiety, a po drugiej bawołu, dwa spody, ani jednego wierzchu. Nie wiem, co to jest. Darl miał mały teleskop przywieziony z Francji z wojny. Widać w nim było kobietę i wieprzka, dwa wierzchy, ani jednego spodu. Co to jest, wiem.

- To dlatego się śmiejesz, Darl?

-199-

- Tak tak tak tak tak tak.

Wóz jest uwiązany na placu, muły stoją, lejce okręcone o sprężynę siedzenia, tył wozu ustawiony w stronę sądu. Niczym się nie różni od stu innych wozów na placu; Klejnot stoi obok wozu i patrzy w ulicę jak tyłu innych chłopów w mieście tego dnia, ale coś jest wyraźnie innego. Ma w sobie tę nieomylną zapowiedź nieodwołalnego i nieuchronnego odjazdu, tak jak pociągi, może dlatego, że Dewey Dell i Vardaman na siedzeniu, a Cash na sienniku w skrzyni wozu jedzą banany z papierowej torby.

- To dlatego się śmiejesz, Darl?

Darl to nasz brat, nasz brat Darl. Nasz brat Darl w klatce w Jackson, lekko położył zasmarowane ręce na milczących prętach, wygląda na zewnątrz i toczy pianę.

- Tak tak tak tak tak tak tak.

-200-

DEWEY DELL

Zobaczył te pieniądze.

- To nie moje pieniądze - mówię. - To nie moja własność.

- A czyja?

- To pieniądze Cory Tull. To pani Tull. Za te placki.

- Dziesięć dolarów za dwa placki?

- Nie ruszaj ich. To nie moje.

- Wcale nie miałaś tych placków. Łzesz. To niedzielne ubranie miałaś w paczce.

- Nie waż się ich ruszać! Jak je weźmiesz, jesteś złodziejem!

- Moja własna córka oskarża mnie o kradzież. Własna córka.

- Tato. Tato.

- Karmię cię i daję ci dach nad głową. Daję ci miłość i staranie, a moja własna córka, córka mojej nieboszczki żony, nad grobem matki nazywa mnie złodziejem.

- Mówię ci, to nie moje. Gdyby były moje, Bóg mi świadkiem, mógłbyś je wziąć.

- Skąd masz dziesięć dolarów?

- Tato. Tato.

- Nie powiesz. Toś ty taką drogą do nich doszła, że się wstydzisz powiedzieć?

- To nie moje, mówię ci. Nie rozumiesz, nie moje.

- Wcale nie mówię, że ci ich nie oddam. A ta własnego ojca nazywa złodziejem.

-201-

- Nie mogę, mówię ci. Mówię ci, że to nie moje pieniądze. Bóg mi świadkiem, dałabym.

- Nie wziąłbym. Własna córka, com ją siedemnaście lat karmił, żeby mi żalowała pożyczyć dziesięć dolarów.

- To nie moje. Nie mogę.

- To czyje w takim razie?

- Dostałam. Żeby coś kupić.

- Żeby co kupić?

- Tato. Tato.

- To tylko pożyczka. Bóg mi świadkiem, nie cierpię, jak mi rodzone dzieciaki odmawiają czego. A ja bez gadania daję im swoje. A one mi teraz odmawiają. Addie. Lepiej, że nie dożyłaś tego, Addie.

- Tato. Tato.
- Bóg mi świadkiem, to pożyczka. Zabrał mi pieniądze i poszedł.

-202-

CASH

Więc kiedy żeśmy się tam zatrzymali, żeby pożyczyć szpadle, to słyszeliśmy, że w tym domu gra gramofon, a kiedy już nam te szpadle nie były potrzebne, tata powiada:

- Lepiej pójdę, odniosę.

Więc pojechaliśmy z powrotem do tego domu.

- Lepiej, jak my zaraz zawieziemy Casha do doktora Pe-abody - mówi Klejnot.

- To potrwa najwyżej minutkę - powiada tata. Zsiadł z wozu. Tym razem muzyka nie grała.

- Niech Vardaman odniesie - mówi Klejnot. - On to załatwi dwa razy szbciej jak ty. Albo dawaj, to ja...

- Miarkuję, że lepiej ja to zrobię - powiada tata. - Jako że to ja pożyczałem.

Czekaliśmy na wozie, ale muzyka tym razem nie grała. Chyba to dobrze, że my żadnego takiego nie mamy.

Chyba-bym nigdy nic nie miał zrobionego, jakbym tego słuchał. Czy ja wiem, odrobina muzyki to chyba najlepsze, co człowiek może mieć. Wygląda na to, że jak wróci wieczorem, to nic mu nie da takiego odpoczynku, jak odrobina muzyki. Widziałem takie, co się zamykają jak walizka, z uchwytem i w ogóle, że można taki nosić, gdzie się chce.

- Jak myślisz, co on robi? - pyta Klejnot. - Do tej pory to bym już te szpadle dziesięć razy zataszczył tam i z powrotem.

-203-

- Daj mu czas - mówię. - Nie taki chybki jak ty, pamiętaj.

- To dlaczego mnie nie dał odnieść? Musimy oporządzić twoją nogę, żebyśmy jutro mogli ruszać do domu.

- Mamy kupę czasu - mówię. - Ciekawe, ile też takie maszyny kosztują na raty.

- Jakie raty? - pyta Klejnot. - A masz to za co taki kupić?

- Kto tam wie - mówię. - Myślę, że mogłem wtedy kupić taki od Suratta za pięć dolarów.

I tata wyszedł, i pojechaliśmy do doktora Peabody. Kiedyśmy tam byli, tata powiedział, że idzie do fryzjera się ogolić. I tego wieczora powiedział, że ma jakiś interes do załatwienia, a jak to mówił, to tak jakoś nie patrzył na nas, a włosy miał uczesane na mokro i natłuszczone, i słodko pachnące od perfumy, ale powiedziałem, dajcie mu spokój; ja sam nic bym nie miał przeciw temu, żeby jeszcze trochę posłuchać tej muzyki.

I tak na drugi dzień rano znów sobie poszedł, a potem wrócił, kazał nam zaprzęgać i gotować się do drogi, a on nadejście, i kiedy wyszli, pyta:

- Miarkuję, że już nie masz więcej pieniędzy?

- Peabody dał mi tylko tyle, co. na hotel - mówię. - Nic więcej nam nie trzeba przecież.

- Nie - powiada tata. - Nie. Niczego nam nie trzeba. I stoi, i nie patrzy na mnie.

- Jak coś potrzeba, to myślę, może Peabody... - mówię.

- Nie - powiada. - Już nic. A wy wszyscy czekajcie na mnie na rogu.

Więc Klejnot zaprzęgał muły i przyszedł po mnie, i uścielili mi siennik w wozie, i przejechaliśmy przez ten plac do rogu, gdzie tata mówił, i czekaliśmy na wozie, a Dewey Dell i Var-daman jedli banany, i na koniec widzimy, idzie on ulicą. Idzie tata, a taki jednocześnie i zadziorny, i zepsiały, jak wtedy, kiedy namota coś takiego, o czym wie, że się to mamie nie spodoba, i niesie walizeczkę w ręku, a Klejnot powiada:

- Kto to?

-204-

Wtedy zobaczyliśmy, że to nie przez walizeczkę wyglądał inaczej, tylko na twarzy, i Klejnot powiada:

- To te zęby wstawił.

W rzeczy samej. Przez to się wydawał ze stopę wyższy, z głową taką jakąś zadartą do góry, naraz i zepsiały, i dumny, a potem zobaczyliśmy ją za nim z drugą walizką w ręku - jakaś do kaczki podobna, cała wystrojona, z tymi swoimi twardymi wyłupiastymi oczkami, jakby każdemu mówiła, tylko ty co powiedz. Siedzimy i przyglądamy się im, Dewey Dell i Vardaman z gębami nie domkniętymi i z nie dojeżdżonymi bananami w

rękach, a ta wychodzi zza taty i patrzy na nas, jakby mówiła, niech się tylko kto waży. I wtedy widzę, że ta walizeczka, co ona ją niosła, to jeden z tych małych gramofonów. I faktycznie tak było, cały zamknięty, śliczny jak obrazek, i za każdym razem poczta przyniesie nową płytę zamówioną z katalogu, i będziemy sobie w zimie siedzieli w domu, i słuchali, i będę myślał, co za szkoda, że Darla nie ma, żeby się cieszył razem z nami. Ale tak lepiej dla niego. Ten świat nie dla niego ani to życie.

- To jest Cash, to Klejnot, a to Vardaman i Dewey Dell - powiada tata, jakiś taki zepsiały i za jednym razem dumny, z tymi zębami i w ogóle, choć na nas ani nie spojrzysz. - A to jest pani Bundren - powiada.

-205-